

MAREK A. KOPROWSKI



MIĘDZY BUGIEM  
A STYREM



MAREK A. KOPROWSKI

**MIĘDZY BUGIEM  
A STYREM**





BIBLIOTEKA „WOŁANIE Z WOŁYNIA”  
T. 60

---

MAREK A. KOPROWSKI

# MIĘDZY BUGIEM A STYREM



„WOŁANIE Z WOŁYNIA”  
BIAŁY DUNAJEC-OSTRÓG 2008

© Copyright by Marek A. Koprowski, Częstochowa 2008

© Copyright by Ośrodek „Wołanie z Wołynia”,  
Biały Dunajec 2008

Redaktor serii  
*Ks. Witold Józef Kowalów*

Przygotowanie do druku i skład  
*Anna Koprowska*

Korekta  
*Irena Androszczuk, Łucja Zalewska*

Na I stronie okładki – wieża Zamku Lubarta w Łucku  
*Fot. Janusz Romaniuk*

Niniejsza książka została dofinansowana  
przez Konsulat Generalny RP w Łucku

**ISBN 978-83-88863-37-0**

Ośrodek „Wołanie z Wołynia”  
skrytka pocztowa 9  
34-520 Poronin, Polska

~~~~~  
**“Волення з Волині”**

**вул. Кардашевича, 1  
35800 м. Остріг, Рівненська обл.  
Україна**

 **Drukarnia Akcydensowa**  
orosz Andrzej  
Tel. (012) 636-96-66 - Kraków

## PRZEDMOWA

---

Kolejna książka Marka A. Koprowskiego, zatytułowana *Miedzy Bugiem a Styrem*, jest kontynuacją ostatniej jego publikacji pt. *Wołynia dzień dzisiejszy*, wydanej w 2004 r. i siódmą z kolei. Autor zachował w niej tę samą wypróbowaną już metodę – ukazywania dnia dzisiejszego na tle daleko sięgającej retrospekcji, do czasów świetności politycznej i kulturowej Wołynia w okresie Rzeczypospolitej Obojga Narodów, a niekiedy nawet dawniejszej. Piszac np. o dzisiejszym Włodzimierzu Wołyńskim cofa się do wydarzeń sprzed tysiąca lat i ukazuje ich trwające do dziś pomniki w postaci nadal czynnych świątyń. Na kartach książki odżywa dawny Wołyń z ośrodkami wysokiej kultury, wielonarodowy, wielowyznaniowy i wielokulturowy, jeszcze przed II wojną światową. Wołyń, ojczyzna wielu zasłużonych Polaków, których ciekawe losy możemy w niej śledzić.

Charakterystycznym dla stanu naszej obecnej świadomości historycznej paradoksem jest to, że ten bliski nam geograficznie, historycznie i kulturowo kraj, jest u nas obecnie niemal nieznany. Wielką zasługą Autora jest to, że nam go przypomina i ukazuje w budzącej zainteresowanie formie. A ponieważ sięga do źródeł historycznych i literatury przedmiotu, a miejsca i żyjących tam obecnie ludzi zna z autopsji, jego książka tętni życiem. Ludzie i wydarzenia z historii dawnej i najnowszej, dziś mało znane, a dla wielu zupełnie nieznane zostały ukazane w interesującej i barwnej formie. Koncentrują się one wokół tego, co ludzi najbardziej łączy i jednoczy: wobec odbudowywanych lub przywracanych do życia świątyń i pracujących w nich kapłanów.

W Przedmowie do poprzedniej książki Autora, *Wołyń* dzień dzisiejszy, przywołałem mityczną Atlantyde, na której istniała rozwinięta kultura, a którą zniszczył jakiś kataklizm i zatopiły wody oceanu. Ten obraz powraca przy lekturze drugiego zbioru reportaży z tego samego kraju. Przypomina go uderzający kontrast między tym czym był niegdyś Wołyń, i czym jest on obecnie, po nieopisanej tragedii, która się na ziemiach tej krainy rozegrała pod koniec pierwszej połowy XX wieku. Jej ilustracją mogą być losy Kościoła i ludności polskiej należącej do diecezji łuckiej. Przed wybuchem II wojny światowej liczyła 370 tys. osób, 165 parafii i 325 kościołów. Po okrutnym losie kilkudziesięciu tysięcy wiernych, ucieczce przed nim tych co przeżyli i po okresie panowania systemu komunistycznego, diecezja ta, reaktywowana po 51 latach w 1996 r., posiada zaledwie 36 parafii i ok. 30 tys. wiernych o innym już niż kiedyś, bo polsko-ukraińskim rodowodzie. Iskra nadziei zapala się w czytelniku, gdy śledzi odradzanie się na gruzach dawnej świetności, niektórych parafii i społeczności, dzięki pracy kapłanów często przybyłych z Polski oraz parafian, których sylwetki Autor ocala od niepamięci.

Dzięki bogatej dokumentacji reportaże Marka A. Koprowskiego ułatwiają poznanie historii Wołynia i tego, co stało się w tym kraju w latach 1939–1945, choć nie ułatwiają zrozumienia tego okresu. Ponieważ by nieco zrozumieć szal zabijania tysięcy bezbronnych ludzi, dzieci, kobiet, starców, a nierzadko i kapłanów, zgromadzonych na modlitwie w kościołach oraz niszczenia dzieł kultury w postaci świątyń, trzeba sięgać do odpowiednich źródeł. Wstrząsający jest przykład świetnego niegdyś Porycka, gniazda zasłużonego dla kultury Wołynia i Polski rodu Czackich. Autor ukazuje tragedie ludzkie, bo tego wymaga szacunek dla prawdy historycznej i dla tych, którzy zginęli. Czyni to nie po to, by

budzić upiory przeszłości. Jeśli bowiem wraca do przeszłości, podobnie jak potomkowie ocalałych od okrutnej śmierci Polaków, dawnych mieszkańców Wołynia, to dlatego, żeby pojednanie polsko-ukraińskie było oparte na prawdzie. Na drodze do niego istnieją wciąż zasadnicze przeszkody w postaci apologii tych sił, które są odpowiedzialne za straszliwe zło zabójstwa kilkudziesięciu tysięcy niewinnych ludzi. Bez wskazania odpowiedzialności, nazwania jej po imieniu i powiedzenia prawdy, ponawiane akty pojednania będą miały jedynie werbalny, a nie rzeczywisty charakter. Tylko ona bowiem może być trwałym fundamentem pojednania między ludźmi i narodami, gdyż wyzwala z zaklętego kręgu zła i nienawiści, zgodnie ze słowami Chrystusa: *„Poznacie prawdę, a prawda was wyzwoli”* (J 8, 32).

**Ks. Roman Dzwonkowski SAC**

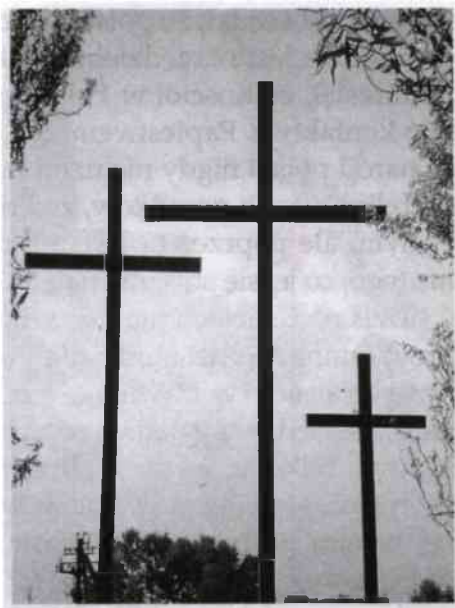
Lublin, 19 października 2007 roku

## PRAWDY NIE PLUGAWIĆ

---

**Do** Porycka trafić nie jest trudno, choć ta niewielka miejscowość leży z dala od uczęszczanych szlaków na południowo-zachodnim skraju Wołynia. Jadąc od Włodzimierza w stronę Łucka bez trudu można zauważyć tuż za polską granicą drogowy znak z napisem Poryck–Pawliwka. Ukraińskie władze zadbały bowiem, by polscy pielgrzymi udający się do miejsca, w którym 11 lipca 2003 r. został odsłonięty „Pomnik Pojednania”, mający czcić ofiary wołyńskich rzezi, bez trudu mogli do niego dotrzeć. Historia bardzo mocno odcisnęła swe piętno na tym miejscu wielokrotnie je przeorując.

Dziś jeżdżąc po Pawliwce, bo taką nazwę obecnie nosi Poryck aż trudno uwierzyć, że miejsce to tak bardzo wpisało się w dzieje naszego narodu, wydając tylu znamienitych synów. Swoją nazwę zawdzięcza Poryck kniaziom Poryckim, pieczętującym się podobnie jak Wiśniowieccy i Zbarascy herbem Korybut. Droga rodzinnych koligacji wszedł Poryck w XVII w. w posiadanie rodziny Czackich i od tej pory stał się ich gniazdem rodowym. W rękach tej zacnej rodziny znajdował się on aż do 1939 r., kiedy to wkroczyła do niego Armia Czerwona. Najbardziej znanym jej przedstawicielem wymienianym w każdym podręczniku historii był Tadeusz Czacki, twórca „Liceum Krzemienieckiego”, współzałożyciel Towarzystwa Przyjaciół Nauk i znakomity uczony. Mało pamięta się natomiast o jego wnuku Włodzimierzu Czackim urodzonym w Porycku 16 kwietnia 1835 r., który doszedł do godności kardynalskiej, stając się watykańskim mężem stanu. Jednym z najwybitniejszych w XIX w. Swoją karierę, jak



1. Trzy krzyże na cmentarzu  
w Pawliwce (d. Poryck). Fot.  
*Irena Androszczuk*

podkreślają to jego biografowie zawdzięczał przede wszystkim wychowaniu w domu rodzinnym znanym z przywiązania do dawnych polskich tradycji. Wyniósł z niego gorącą miłość Boga i Ojczyzny. Mimo długiego pobytu na obczyźnie pozostał zawsze w głębi serca wierny dewizie: *Być Polakiem, to żyć Bosko i szlachetnie.*

W dziele swojego życia zatytułowanym „Rzym i Polska” kard. Włodzimierz Czacki uświadamiał czytelnikom, jaką rolę religia katolicka pełniła w życiu narodu polskiego. Unaoaczał, jak wielkie zagrożenie stanowi dla niej car, który stara się podporządkować sobie Kościół. Ukazywał, że jedynym ratunkiem dla Kościoła katolickiego na ziemiach polskich jest bezwzględne dążenie do utrzymania kontaktów ze Stolicą Apostolską. Ta bowiem pozbawiona ich, wyciąga fałszy-

we wnioski i sądzi, że polskie duchowieństwo nie ma już siły na opór, że jest narzędziem Moskwy, a nie własnej polityki. Podkreślał, że Kościół w Polsce musi za wszelką cenę odnowić kontakty z Papiestwem, by udowodnić całemu światu, że naród polski nigdy nie uzna rządów carskich i nie wyprze się religii swych przodków, że Polska nie jest krajem rewolucyjnym, ale poprzez powstania narodowe domaga się jedynie tego, co jej się słusznie należy.

Dziś po Czackich nie ma w Porycku nawet śladu. Nic nie przypomina tej zasłużonej dla Polski zacnej rodziny. Poryck przekształcony w Pawliwkę zmienił swój wygląd i charakter. Jak kiedyś wyglądało to urokliwe miejsce można wnioskować tylko z lektury „Ilustrowanego Przewodnika po Wołyniu” wydanego w Łucku w 1929 r. Autor zamieszczonej w nim notki pisze m.in., że znajdował się w nim: *Kościół w stylu rokoka fundacji Michała i Konstancji z Wielohorskich Czackich rodziców Tadeusza*. Przed rokokowym wielkim ołtarzem wisiało serce Tadeusza Czackiego zrabowane przez bolszewików. Tutaj znajdował się też jego grobowiec. W 1915 r. dwie wieże kościoła podpalili w odwrocie Rosjanie, zabrawszy wpierw cenne ornaty, kapy, gobelinowej roboty z XVII i XVIII w. w liczbie 30. W czasie pożaru wnętrze ocalało. Zachował się też ołtarz z cennym obrazem Matki Bożej z XVII w. Zabytkiem z poprzedniego kościoła jest stara kamienna chrzcielnica. Dookoła kościoła krużganki ze starymi obrazami. Nad jeziorem Poryckim przed wojną stały dwa empirowe pałace Czackich zbudowane w 1806 r. przez Tadeusza Czackiego. Jeden przeznaczony jest na bibliotekę i zbiory. Główny pałac obrabowano, przy czym zniszczono bibliotekę i zbiory porcelany. Drugi pałac, w którym mieszkał Tadeusz Czacki, spalony w 1915 r. przez wojska austriackie, przedstawia się obecnie jako kompletna ruina. (...) Ponadto posiada Poryck cerkiew fundacji Czackich, stojącą





2. Pomnik nad grobem ofiar na cmentarzu w Pawliwce (d. Poryck). Fot. Irena Androszczuk

obok kościoła ładną figurkę Matki Boskiej oraz drewnianą synagogę XVII w.

Kulturotwórcze znaczenie nadał Poryckowi niewątpliwie Tadeusz Czacki. Jego rezydencja stała się zarazem czymś w rodzaju wołyńskiej Biblioteki Narodowej, a także Muzeum Kultury Polskiej na Wołyniu. Czacki z zapalem i znanstwem gromadził księgozbiór, a także zbiory sztuki. Z tego też powodu nie był mile widzianym gościem w wołyńskich dworach. W różnych pamiętnikach z tamtych czasów znajdujemy wzmianki, jak to współbracia, których Czacki zamierzał odwiedzić, skrzętnie chowali przed nim wszystkie cenniejsze przedmioty, albo w ogóle mu ich nie pokazywali. Niektórzy kronikarze odnotowali po prostu brak po wizycie Czackiego takiego czy innego przedmiotu lub książki. Twórca Liceum Krzemienieckiego wychodził z założenia, że cel uświęca środki. Nie bez racji uważał też, że brać szlachecka nie zawsze doceniała spuściznę materialną odziedziczoną po przodkach. Czacki nie gromadził tych skarbów rzecz jasna dla siebie. Liczącą 32 tys. tomów, czyli olbrzymią jak na owe czasy bibliotekę zapisał np. Liceum Krzemienieckiemu, po likwidacji którego trafiła ona do Kijowa, gdzie dała podwaliny zbiorom biblioteki tworzonego w Kijowie uniwersytetu. O klasie tej biblioteki najlepiej świadczy fakt, że zawierała ona także nabyty przez Czackiego księgozbiór króla Stanisława Augusta Poniatowskiego.

Osiem tysięcy tomów innych druków, a także prawie sto pięćdziesiąt tysięcy rękopisów zebranych przez Tadeusza Czackiego wdowa po nim sprzedała księciu Adamowi Czartoryskiemu do biblioteki w Puławach. Obcojęzyczną część zbiorów Czackiego nabył natomiast do swej ksiąźnicy Tytus hrabia Działyński.

Do I wojny światowej, choć w mniejszej skali, kolejni przedstawiciele rodu Czackich starali się utrzymywać kultu-

rodzinne. Ich goście podziwiali zwłaszcza wysokie biurko Tadeusza Czackiego, przy którym pisał on wyłącznie na stojąco, a także dębową szafę zawierającą ołtarz kardynała Włodzimierza Czackiego, przywieziony po jego śmierci z Rzymu. O starożytnych korzeniach rodu Czackich przypominał ryngraf Wojciecha Czackiego z czasów Zygmunta III Wazy, wykonany z połączanej miedzi. Właściciele Porycka szczycili się też piękną kolekcją porcelanowych serwisów. Ich biblioteka także wróciła do dawnej świetności. I wojna światowa, jak zaznaczono to w cytowanym wcześniej fragmencie przewodnika, mocno nadszarpięła substancję Porycka. Bardzo powoli dźwigał się on ze zniszczeń. Okrojone dobra nie pozwalały Czackim na remonty siedziby. O wspałości ich rodu przypominał tylko kościół w miasteczku, odnowiony w 1856 r. staraniem proboszcza Antoniego Staniszeńskiego i Stanisława Czackiego. W nim to w 1943 r. rozegrała się tragedia, którą upamiętniono w Porycku w 2003 r. Nikt by się jej wcześniej nie spodziewał. Współżycie Polaków, Ukraińców i Żydów zawsze układało się bardzo dobrze. Także w okresie międzywojennym, gdy zawiadywał nimi Stanisław Czacki. Składały się one wtedy z 6 majątków ziemskich i 4 tys. hektarów.

Sytuacja uległa zmianie w 1939 roku. Wtedy to z podziemia wyszły Organizacja Ukraińskich Nacjonalistów, a także żydowscy komuniści. Witali oni entuzjastycznie wkraczającą Armię Czerwoną. Wydali w jej ręce aresztowanych polskich policjantów, a także członków Związku Strzeleckiego. Później współpracowali z administracją radziecką w aresztowaniach oficerów rezerwy Wojska Polskiego i polskich urzędników państwowych. Po wkroczeniu do Porycka Niemców ukraińscy nacjonaści zaczęli wspierać ich we wszelkich poczynaniach, zwłaszcza wymierzonych w Polaków i Żydów. Szczególnie wyróżnili się w tym ukraińscy policjanci pozo-



3. Kolumny – pozostałość po zniszczonym kościele w Pawliwce (d. Poryck). Fot. Irena Androszczuk

stający w służbie niemieckiej. W 1942 r. dokonali pierwszego mordu zabijając 12 Polaków. Gdy wiosną 1943 r. zdezerterowali do lasu, łącząc się z bojówką UPA, jako wiano wnieśli siedmiu zamordowanych Polaków, których wcześniej uprowadzili. Do lata 1943 upowcy składali w Porycku częste wizyty w biały dzień, dokonując pojedynczych zabójstw i rabunków. Miejscowość była całkowicie sterroryzowana i żyła w ciągłym strachu. Przygotowania UPA do całkowitego wymordowania Polaków w Porycku i okolicznych miejscowościach stały się coraz bardziej ewidentne. Zniszczyła ona z jednej strony wszystkie mosty na rzece Łudze chcąc z jednej strony uniemożliwić Polakom ucieczkę, a z drugiej stro-

ny przyjsie im z pomocą przez niemiecki garnizon z Włodzimierza. W pierwszych dniach lipca 1943 r. informacje o mającym nastąpić pogromie ludności polskiej były już całkiem pewne. Kontrwywiad AK ustalił m.in., że w okolicznych lasach następuje koncentracja UPA i najpóźniej 20 lipca 1943 r. jej oddziały przystąpią do dokonywania masowych rzezi. Przed mającym nastąpić napadem uprzedzali także Polaków chłopci ukraińscy, z których część nie uległa nacjonalistycznemu amokowi. Oni też wywieźli do Iwanicz małżeństwo Zacharczuków, dzięki czemu ocalało. Zacharczukowa była lekarką leczącą za darmo biednych czym zaskarbiła sobie wielką wdzięczność Ukraińców. Jej mąż zanim wyjechał wraz z żoną starał się ostrzegać Polaków przed grożącymi rzeziami, ale ci wobec takich wieści byli bezradni.

W niedzielę 11 lipca 1943 r. proboszcz Porycka ks. Bolesław Szawłowski wiedział już, że atak na wieś może nastąpić lada godzina. Uprzedził go o tym Ukrainiec ze wsi Pawłowka Wołodymyr Kułaj. Usiłował ostrzec parafian, aby nie przychodzili na sumę. Czterej ministranci chodzili po miasteczku roznosząc hiobową wieść. Mężczyźni w większości zastosowali się do apelu księdza. Na sumę przyszli starcy, kobiety i dzieci. Nie wierzyli, że w czasie mszy Ukraińcy zaatakują kościół. Ci jednak o godz. 11.30 wtargnęli do świątyni. Podczas „Gloria” obrzucili nawę kościoła granatami, otwierając jednocześnie do wiernych ogień z karabinów maszynowych. Ci, którym udało się przeżyć ostrzał byli dobijani. Przetrwali tylko ci co udali zabitych, bądź ukryli się pod zwalami trupów, niektórzy zdołali się później wyczołgać i uratować. Ciężko ranny został też ks. proboszcz Bolesław Szawłowski, który wkrótce zmarł zaopatrzony Sakramentami przez wezwanego prawosławnego księdza.

Po dokonaniu rzezi członkowie UPA usiłowali jeszcze wysadzić świątynię w powietrze. W prezbiterium ułożyli



stertę słomy, w której umieścili pocisk artyleryjski. Po jej podpaleniu pocisk eksplodował, ale mury świątyni wytrzymały.

Część ocalałych z masakry za radą Ukraińców nie związanych z UPA zdecydowała się na natychmiastową ucieczkę, co jak się okazało uratowało ich życie. Następnego dnia bandyci z UPA wrócili, przeszukali Poryck dobijając rannych. Dokonali również rabunku pozostawionego przez Polaków mienia. Spędzili także okoliczną ludność w celu zakopania trupów w zbiorowej mogile. Banda UPA „odwiedziła” też kościół. Wtedy to w poszukiwaniu Lachów wdarła się do podziemi świątyni, rozbijając groby Czackich i wyrzucając na zewnątrz szczątki wydobyte z trumien.

Jakiś czas później banderowcy jeszcze raz odwiedzili Poryck, by zniszczyć opuszczony przez niewielki niemiecki garnizon, jeszcze przed mordem, pałac Czackich.

Akcją UPA w Porycku dowodził niejaki Ohorodniczuk vel Mykoła Kwiatkowskyj. Z relacji świadków wynika że wykazywał się wyjątkowym okrucieństwem i zezwierzęceniem. Osobiście dobijał rannych. Nie uszedł sprawiedliwości. Po wojnie został ujęty przez sowieckie organy bezpieczeństwa i jak wielu jego druhów stanął przed sądem. Beznamietnie przyznał się do popełnienia zbrodni w Porycku. Stwierdził m.in. 11 lipca 1943 r. razem z grupą UPA liczącą około 20 ludzi wszedłem w czasie Mszy św. do kościoła w Pawłowce (Poryck), gdzie w ciągu trzydziestu minut, wraz z innymi zabiłmy obywatele narodowości polskiej. W czasie akcji zabito 300 ludzi, wśród których były dzieci, kobiety i starcy. Po zabiciu ludzi w kościele w Pawłowce, udałem się z grupą do położonej w pobliżu wsi Radowicze oraz polskich kolonii Sadowa i Jeżyn, gdzie wziąłem udział w masowej likwidacji ludności polskiej. W wymienionych koloniach zabito 180 kobiet, dzieci, starców. Wszystkie domy spalono, a mienie i bydło rozgrabiono.

Sowiecki sąd nie miał żadnych wątpliwości jaki wydać wyrok. Został on wykonany...

Odpowiedź, dlaczego UPA zdecydowała się uderzyć tak bestialsko na Poryck jest dla historyków bardzo prosta. To tu zaczynał się jeden z dwóch biegnących przez Wołyń pas polskich wsi. Ciągnął się on następnie przez Włodzimierz Wołyński, Luboml, Kowel, Czartorysk, Stepań, Bereżne na tereny Zasłucza. (Drugi biegł od Wiśniowca w kierunku na Szumsk). Jego mieszkańcy znani byli zawsze z patriotycznego zaangażowania. Udzielali pomocy polskim powstańcom narodowym. Wiedząc o tym podczas Powstania Styczniowego wkroczyła do Porycka z Galicji grupa powstańcza licząca 900 ludzi, dowodzona przez Komorowskiego i Sienkiewicza. Po zażartej bitwie musiała się jednak wycofać. Władze carskie doskonale zdawały sobie bowiem sprawę, czym grozi na tym obszarze rozlanie powstania. Ukraińscy nacjonałiści, działając metodycznie, postanowili od Porycka zacząć likwidację polskiego pasa. Zniszczenie pałacu Czackich także było przejawem ich systematycznego działania. Rozkazy UPA publikowane przez Władysława Filara w pracy pt. „Wołyń 1939–1944. Eksterminacja czy walki polsko-ukraińskie”, nie pozostawiają co do tego żadnych wątpliwości. W jednym z nich czytamy: *Likwidować ślady polskości (...). Zniszczyć wszystkie ślady kościołów i innych polskich budynków kultowych. Zniszczyć drzewa przy zabudowaniach tak, aby nie pozostały nawet ślady, że tam kiedykolwiek ktoś żył. Zniszczyć wszystkie polskie chaty, w których uprzednio mieszkali Polacy. (...)* Zwraca się uwagę raz jeszcze na to, że jeżeli cokolwiek polskiego pozostanie, to Polacy będą mieli pretensje do naszych ziem.

Po wojnie zrujnowany kościół w Porycku został rozebrany. Ofiary mordu spoczywały przez lata w bezimiennej mogile obok dzwonnicy kościoła. Szybko uległa ona zapomnieniu. Odkryto ją ponownie po latach przy kopaniu funda-



4. Msza św. z okazji 65. rocznicy tragicznych wydarzeń w Porycku-Pawlika, 12 lipca 2008 r. Fot. Irena Androszczuk



mentów pod budowę sklepu. Szczątki wydobyto i przeniesiono na dawny katolicki cmentarz. Po latach uległ on zapomnieniu. W 1991 r. na nowo został uporządkowany i poświęcony przez ks. Ludwika Kamilewskiego, dziekana okręgu wołyńskiego i rówieńskiego, ogromnie zasłużonego dla odrodzenia Kościoła katolickiego na Wołyniu. Wtedy to po raz pierwszy modlono się za ofiary poryckiej tragedii i upominano się o ich prawo do pamięci.

U progu 60. rocznicy mordu w Porycku cmentarz uporządkowano i urządzono od nowa. Choć uroczystość jego otwarcia starannie przygotowano, nie obyło się bez małych skandali. Niektóre napisy zostały zmienione, inne usunięte, co wyraźnie świadczyło, że nie wszyscy ukraińscy politycy chcieli zaakceptować całą prawdę o Porycku. Ostatecznie głównym miejscem na drugim cmentarzu obok, prawosławnym, stał się pomnik-płyta w kształcie krzyża zwieńczony dzwonem z napisem: „*Pamięć. Żal. Pojednanie*”.

Cmentarz w Porycku, jak powiedziano podczas jego otwarcia, ma symbolizować te wszystkie miejsca na ziemi wołyńskiej, gdzie często w nieznanych i bezimiennych mogiłach leżą Polacy, ofiary czystek etnicznych. Ma przypominać o kainowej zbrodni, która się na tej ziemi, z takim natężeniem wtedy dokonywała. W swoim kazaniu na uroczystości odsłonięcia nekropolii Sławoj Leszek Głódź Biskup Polowy Wojska Polskiego powiedział m.in.: *Wiemy dobrze, jak bardzo się starano, aby dramat Wołynia usunąć ze świadomości powojennych generacji, a niekiedy przedstawić w krzywym zwierciadle, czynić z kata ofiarę, zamykać oczy na zbrodnię ludobójstwa. A przecież była to droga do nikąd. Nie zbuduje się niczego dobrego na przemilczeniach, półprawdach, fałszach, manipulowaniu historią. Bo przecież Chrystus mówi nam, że „prawda was wyzwoli”. Jedynie spotkanie w prawdzie – choćby to była prawda tragiczna – może stać się pod-*

*stawą do budowania lepszej przyszłości, do otwierania ku sobie serc.*

*Czas najwyższy stanąć wobec tej prawdy, zmierzyć się z nią, rozpoznać, utrwalić w świadomości. Nie przeinaczać. Więcej nie plugawić, jak to się niekiedy zdarza.*

Wizyta w Porycku dla każdego Polaka jest z pewnością ogromnym przeżyciem. Krzysztof Kołtun po odwiedzeniu go napisał tomik wierszy „Psalterz z Porycka”. Zawarty w nim wiersz „Rozstrzelany kościół” budzi wzruszenie i wyciska łzy. Powinien zostać wyryty na kamiennej tablicy, bo jest on poetyckim zapisem tego, co wydarzyło się w Porycku przed ponad sześćdziesięciu laty. Jego strofy brzmią następująco:

Chowali się z karabinami  
w sadzie, za murem  
– w kościele modliły się dzieci.  
Weszli Ukraińcy  
– butami podeptali modlitwę,  
jak do litanii, zaczęli strzelać.  
Do każdego  
W głowę, piersi  
– tarcze Chrystusowe.  
Łuski poraniły Dzieciątko  
Przytulone do Matki Bożej  
Krwią obryzgał ołtarz,  
Progiem kościoła, stróżką  
Spłynęła na drogę  
– miała prowadzić  
przez Ukrainę.  
Łzy matek, perłami dzwoniąc  
padały, wokół Hostii  
Czyż nie mogłeś posłać Aniołów  
Herbowych, świętych

Z wołyńskich kościołów,  
Boże Mocny!  
Od sutanny zabitego księdza,  
Z wiązek słomy  
– rozpalili ogień.  
Nie zapalił się kościół  
Wysłany trupami  
– długo konających,  
wołając Miłość Najdroższą  
utulenie do wiecznego snu  
– młodych oczek.  
Porzucali ciała do dołu  
– przed dzwonnica.  
Zakopali Polaków...  
Spokój...  
Nigdy dotąd Wołyn z Męczenników  
– nie słynał  
Teraz – odpowiadają w świecie  
– Męczenników Jerozolima –  
w niej Poryck, Kisielin, Chrynów, Zabłoćce  
i zamordowany Chrystus.

Ten wstrząsający wiersz świadczy, że krzyk tragicznie doświadczonego Wołynia nie milknie. To dobrze, bo gdyby ucichł, jak stwierdził w swoim cytowanym kazaniu bp Sławoj Leszek Głódź „Kamienie wołać będą” (Łk 19, 40) i przypominać o kainowej zbrodni, która się na tej ziemi z takim natężeniem wtedy dokonała.

## LIPIŃSCY WRACAJĄ NAD TURJĘ

---

Zaturce położone są na odwiecznym szlaku biegnącym niegdyś z Kijowa do Krakowa, który dziś na polskim odcinku jest trochę zapomniany. Leżą nad Turją, dopływem Prypeci w połowie drogi między Łuckiem w północnej części dawnego powiatu horochowskiego k. Kisielina. Są one niewątpliwie osadą prastarą, o czym świadczą ślady ruskiego horodyszczca, choć pierwsza wzmianka o Zaturcach pochodzi dopiero z XVI w. Znajduje się w opisie zamku włodzimierskiego. Należały wówczas Zaturce do rodu Hulewiczów-Zaturzeckich. Podzielone potem przez jednego z Hulewiczów między córki, dostały się Zaturce w XVII w. w ręce dwóch rodzin: Podhorodeńskich i Łabodowskich. Pierwsi z nich fundują w 1620 r. kościół i klasztor augustianów. Na początku XIX w. część dóbr będąca własnością Łabodowskich przeszła w ręce rodziny Lipińskich herbu Brodzicz, która przeniosła się tu z Mazowsza. Dziś Zaturce to zwykłe ukraińskie „seło” czyli po prostu wieś. O dawnej świetności miejscowości przypomina tylko widoczny z szosy, leżący nad malowniczym jeziorkiem zabytkowy XVII-wieczny kościół. To główny i jedyny zabytek osady, która pomimo swego wiejskiego charakteru jest znana nie tylko na Wołyniu. W dużej mierze jest to zasługa rodu Lipińskich, dla których Zaturce przez wiele pokoleń stanowiły rodowe gniazdo. Najbardziej znanym przedstawicielem tej rodziny był Wacław Lipiński, jeden z najwybitniejszych teoretyków konserwatyizmu pierwszych dziesięcioleci XX w. Jego postać przypomina pomnik stojący na dawnym katolickim cmentarzu, na którym został pochowany w 1931 r. Mógł stanąć



5. Kościół parafialny w Zaturcach. Fot. ze zbiorów autora

oczywiście niedawno. Choć, w którymś momencie swojej życiowej drogi poczuł on łączność z narodem ukraińskim, poświęcając mu swoje siły i intelekt. Jego koncepcje nie były wygodne ani dla ukraińskich socjalistów, komunistów i nacjonalistów. Powołana przez niego w 1917 r. Ukraińska Partia Demokratyczno-Agrarystyczna, była główną siłą opozycyjną wobec działającej w Kijowie zdominowanej przez partię socjalistyczne Ukraińskiej Centralnej Rady, pretendującej do miana reprezentacji ogólnonarodowej. Jako ideolog konserwatyzmu Lipiński odrzucał ustrój demokratyczny, jako że dopuszcza on do sprawowania władzy ludzi o niskich horyzontach umysłowych, nieprzygotowanych pod względem

merytorycznym, a nierzadko także o niskiej moralności. Lipiński zwalczał też ruch anarchistyczny i rewolucyjny. Zdecydowanie potępiał również ruch nacjonalistyczny twierdząc, że stanowi on drogę do nikąd. Podkreślał, że nacjonalistyczni działacze i kierowane przez nich społeczeństwo przyzwyczajone do działań destrukcyjnych po zdobyciu niepodległości dalej starać się będą używać metod destrukcyjnych, a poprzez nie rujnujących zdobytą państwowość. Szczególnie ostro zwalczał on teoretyka ukraińskiego nacjonalizmu Dymytra Doncowa i redagowane przez niego we Lwowie czasopismo „Zarzewie” i „Wiadomości literacko-naukowe”. Uważał, że integralny nacjonalizm nie tylko ma charakter antychrześcijański, a poprzez to jest amoralny, ale



6. Wieża kościoła parafialnego w Zaturcach. Fot. ze zbiorów autora

także uniemożliwia on odzyskanie przez Ukrainę niepodległości. Według niego nawet socjalizm jest mniej groźny dla Ukrainy, bo jego ideologia zdążyła się już skompromitować, podczas gdy idee głoszone przez Doncowa, nowe w ukraińskim życiu politycznym nie miały okazji obnażyć swej aktualnej miałkości w praktyce. Zarazie socjalizmu i nacjonalizmu Lipiński przeciwstawiał koncepcje wychowania społeczeństwa w duchu konstruktywnego budowania, wynikającego z zasad moralności chrześcijańskiej i poszanowania tradycji.

O tym, że Wacław Lipiński był wizjonerem można się przekonać zwłaszcza obserwując życie religijne Ukrainy. Jego uogólnienia w tej kwestii, jak pisze polski badacz jego myśli dr Stanisław Stępień dyrektor Południowo-Wschodniego Instytutu Naukowego w Przemyślu: *nie straciły na aktualności. Mamy bowiem sytuację, przed którą przestrzegają. Brak harmonii między instytucjami państwowymi a kościelnymi. Instrumentalne traktowanie religii. Rywalizacja różnych Kościołów w ramach prawosławia. Separatyzmy regionalne. Uzewnętrzniające się, wygórowane ambicje personalne niektórych hierarchów. Słaba współpraca, a nawet uprzedzenia między duchownymi Kościoła greckokatolickiego i rzymskokatolickiego. Zadziwiające wpływy różnych sekt katolickich.*

Dopiero w latach dziewięćdziesiątych niektóre środowiska na Ukrainie zaczęły przypominać myśl praktyczną Wacława Lipińskiego i jej aktualność w dzisiejszych czasach.

W samych Zaturcach powstało też środowisko złożone z miejscowych nauczycieli, które postanowiło kultywować pamięć nie tylko Wacława, ale całej rodziny Lipińskich. To jego dziełem było m.in. uporządkowanie zniszczonego w latach siedemdziesiątych, zamkniętego cmentarza katolickiego i postawienie pomnika na miejscu, gdzie najprawdopodobniej znajdowała się mogiła Wacława Lipińskiego. Pamięć



7. Kościół w Zaturcach od strony południowej. Fot. ze zbiorów autora

pozostałych zmarłych, spoczywających na terenie dawnego cmentarza upamiętniona została ukraińskim zwyczajem, kurhanem, na którym ustawiono z daleka widoczny katolicki krzyż. Grupa czcicieli pamięci Wacława Lipińskiego, której przewodniczy Witalij Kusznir, postanowiła też wystąpić z inicjatywą utworzenia w Zaturcach muzeum poświęconego Wacławowi Lipińskiemu i całej rodzinie Lipińskich. W osadzie przetrwał bowiem szczęśliwie dwór Lipińskich, w którym w czasach sowieckich mieściło się biuro gospodarującego w dobrach Lipińskich sowchozu. Budowla ta na początku lat dziewięćdziesiątych była opuszczona i zdewastowana, ale obecnie co przyznaje żyjący jeszcze bratanek Wacława dr Jan Lipiński, zaczyna z wolna przybierać wygląd jego domu rodzinnego. Przeskakując wąziutką Turję, która w Zaturcach bierze swój początek, poprzez łąkę można





8. Kościół w Zaturcach od strony północnej. Fot. ze zbiorów autora

dojść do zapuszczonego parku, w którym znajduje się re-staurowany powoli dwór.

– Współpracujemy z panem dr. Janem Lipińskim z Kra-kowa, którego mieliśmy przyjemność wielokrotnie w Zatur-cach gościć – podkreśla Witalij Kusznir. – Udało już się nam zgromadzić wiele pamiątek, które czasowo znajdują się w Muzeum Etnograficznym w Łucku. Na razie w naszej Średniej Szkole Ogólnokształcącej w Zaturcach mamy Izbę Pamięci Rodziny Lipińskich. Może się ona pochwalić dużą ilością zdjęć z życia rodziny Lipińskich sprzed wojny...

Ekspozycja w szkolnej izbie, która powstała dzięki pani Lilii Radczuk robi wrażenie. Widać, że została przygotowana z sercem.

Inicjatywa stworzenia w Zaturcach muzeum Lipińskich jest z pewnością warta poparcia. Dzięki powstaniu placówki

można bowiem żywić nadzieję, że zarówno postać, jak i spuścizna duchowa Wacława Lipińskiego, będąca pomnikiem myśli konserwatywnej pierwszych dziesięcioleci XX wieku nie zostanie zapomniana. Stosunki polsko-ukraińskie byłyby z pewnością lepsze, gdyby elity ukraińskie czerpały inspiracje z jego dorobku. Konserwatysta z Zaturzec mógłby być patronem polsko-ukraińskiego zbliżenia. Jego postawa udowadnia, że będąc patriotą jakiejś nacji, niekoniecznie trzeba przeciwnika nienawidzić.

Dobrze, że organizatorzy muzeum w Zaturcach postanowili, że powinno ono udokumentować cały wkład rodu Lipińskich nie tylko w rozwój tej miejscowości, ale także w wołyńskie rolnictwo, a zwłaszcza hodowlę roślin. Należący do nich niewielki majątek liczący w sumie 7132 ha, należał do rolniczej awangardy specjalistycznej gospodarstw II Rzeczypospolitej. Jego funkcjonowanie przeczy tezie głoszonej przez ukraińskich historyków, że polskie ziemiaństwo bezlitośnie eksploatowało Wołyń, ciemiężąc ukraiński lud. To dobrze świadczy o środowisku w Zaturcach potwierdzając, że miejscowość ta ma swoje *genius loci*. Analizując doświadczenia swoich przodków i współczesnych Wacław Lipiński mógł wysunąć tezę, że do sprawowania władzy uprawnione są tylko elity permanentnie kształtujące się w drodze własnej aktywności intelektualnej oraz ekonomicznej. Jego brat Stanisław – rolnik gospodarujący w rodzinnych Zaturcach – po zdobyciu wykształcenia zawodowego na politechnice kijowskiej uzyskał jeszcze stopień doktora filozofii na wydziale filozoficznym uniwersytetu w Lipsku. Dopiero wtedy uznał, że ma kwalifikacje, by zostać producentem chleba. Zasłynął jako hodowca roślin. Jego dziełem było m.in. wytworzenie nowych odmian pszenicy, jak Wołynianka Wczesna, Zaturzecka Biała. W latach wojny wyhodował Stylową i Wygnankę, mającą stanowić roślinną



9. Kolejny remont ścian kościoła w Zaturcach. Fot. ze zbiorów autora

pamiętkę wygnania Polaków z Wołynia. Stanisław Lipiński zajmował się także hodowlą ziemniaków, stając się jednym z najwybitniejszych polskich specjalistów w tej dziedzinie. Osiągnięcia tego ziemianina są tym bardziej godne uznania, że gospodarowanie w Zaturcach zaczynał na gołej ziemi. I wojna światowa obróciła je w perzynę. W „Księdze Pamiętkowej” wydanej na 75-lecie „Gazety Rolniczej” Stanisław Lipiński tak opisuje tą sytuację: *Latem 1915 r. cofające się wojska rosyjskie zarządzają ewakuację całej ludności i palą dwór oraz większą część zabudowań folwarcznych. Od czerwca 1916 r. po ofensywie Brusilowa ustala się nowa linia frontowa, przechodząca przez terytorium folwarku i zacięte walki precyzyjne odbywają się tu w ciągu prawie dwóch lat aż do zakończenia wojny europejskiej. Pociski armatnie burzą mury spalonego dworu i gorzelni, ginie park i reszta zabudowań. Wszystkie pola pokrywa sieć*

większych i mniejszych okopów i wszędzie widnieją jeden obok drugiego głębokie leje od wybuchu pocisków. (...)

Dawne Zaturce w okresie wielkiej wojny jakby zupełnie przestały istnieć i dopiero powrót właścicieli w 1918 r. zapoczątkowuje nowe życie na zupełnym pustkowiu, gdzie nawet śladów dawnego zasobnego folwarku trudno było odnaleźć. Wieś również była spustoszona, a ludność jej przeniesiona do guberni charkowskiej. Od jesieni 1918 r. rozpoczyna się powrót ewakuowanej ludności i powraca też część dawnej służby folwarcznej. (...) Dorobkiem pracy 1918 r. był pierwszy budynek mieszkalny, zdobycie 6 lichych koni i trochę krów oraz obsianie dwóch morgów oziminą. W listopadzie 1918 r. wycofują się wojska austriackie, które zajmowały zachodni skrawek Wołynia, obalone też zostają ukraińskie władze hetmańskie i rozpoczyna się zupełna anarchia. (...) W styczniu 1919 r. zmuszeni jesteśmy opuścić majątek, a zapoczątkowana praca i remanenta giną. Z wiosną 1920 r. uprawiamy kilkanaście morgów pod jarzyny lecz przed żniwami następuje inwazja bolszewicka i wyjeżdżamy na zachód trzema wozami ze służbą i inwentarzem. Po kilkumiesięcznym pobycie w jednym z majątków za Wisłą w okolicy Opatowa, by jeszcze nadążyć wsiąć dwa korce zarobionej pracą koni w Opatowskim „Sandomierki”. Podjeżdżając wówczas do Zaturzec, dostrzegamy z radością, że zbudowany w 1918 r. dom i stajnia ocalały.

W okresie międzywojennym Stanisław Lipiński systematycznie rozwijał swój majątek wzbogacając go m.in. o tartak, gorzelnie i cały szereg obiektów gospodarczych w tym spichlerz, oborę dla krów, stajnię, stodołę oraz czworak i trzy domy mieszkalne dla służby. W latach 1928/1929 Stanisław Lipiński odbudował też zniszczony dwór. Wspomagał również znacząco odbudowę kościoła, mocno zrujnowanego w czasie I wojny światowej. Przypominają zresztą o tym ufundowane przez Jana Lipińskiego z rodziną w odzyskanej przez wiernych świątyni memoriałowe tablice. Na



10. Obraz boczny w kościele w Zaturcach. Fot. ze zbiorów autora

początku lat dziewięćdziesiątych w Zaturcach odrodziła się bowiem zlikwidowana w latach czterdziestych minionego wieku parafia.

Tuż przed wybuchem II wojny światowej parafia w Zaturcach liczyła 1775 wiernych, zamieszkujących w 17 miejscowościach. Nie była to zwykła parafia. Wyróżniała się starożytną historią sięgającą początku XVII w. i fundatorami, wśród których był m.in. kasztelan i miecznik wołyński. Zdaniem jednego z ukraińskich historyków jej świątynię zbudowano w miejscu, w którym kiedyś znajdowała się cerkiew prawosławna, ale to tylko hipoteza. Aż do kasaty zakonów przez władze carskie, kościół nie pełnił też parafialnej funkcji. Był przyklasztorną świątynią augustianów i lokalnym ośrodkiem kultu maryjnego. Znajdował się w nim uznawany za Cudowny Obraz Matki Bożej Pocieszenia pochodzący

z końca XVII w. Był to olejny wizerunek na desce o wymiarach 105×65 cm, przedstawiający Matkę Najświętszą w całej postaci, wspartą na półksiężycu i trzymającą na lewym ramieniu Dzieciątka Jezus ufnie wyciągające przed siebie ramiona. Tło pokryte było ornamentem roślinnym. Szata Maryi częściowo złocona, układała się w grube fałdy. Szata Dzieciątka także była złocona, zaś reszta sukienki srebrna. Przy prawej ręce Madonny widniała wstęga z napisem: „*Pójdźcie do mnie wszyscy, którzy w utrapieniach zostajecie, a ja was pocieszę*”.

W ołtarzach bocznych świątyni znajdowały się natomiast obrazy olejne przedstawiające Świętego Stanisława Kostkę i Świętą Annę. Były one malowane przez Henrykę Rokicką teściową dra Stanisława Lipińskiego, babcię Jana Lipińskiego. Według relacji tego ostatniego, jego babcia w okresie zimowym w dworze Lipińskich oddawała się swojej pasji malarskiej, tworząc całą kolekcję religijnych obrazów. Obrazy te podobnie jak kościół szczęśliwie wyszły z wielu opresji, w tym również z pogromów ludności polskiej, dokonywanych przez ukraińskich nacjonalistów w 1943 r. Dzięki zorganizowanej w majątku Lipińskich samoobronie, UPA nie odważyło się formalnie zaatakować Zaturzec i wymordować jego mieszkańców, jak stało się to w sąsiednim Kisielinie w lipcu 1943 r., gdzie Ukraińcy podobnie jak w Porycku napadali na Kościół w czasie Mszy św.

Jednym z organizatorów samoobrony w Zaturcach i zastępcą jej dowódcy Adama Peretiatkowicza był Jan Lipiński, syn Stanisława, ostatniego właściciela Zaturzec, który w 1941 r. po wkroczeniu na Wołyń Niemców wrócił do rodzinnej wsi. We wrześniu 1939 r. jego ojciec nie czekał bowiem na Armie Czerwoną. Wraz z rodziną wyjechał do centralnej Polski. W 1941 r. po wkroczeniu Niemców na Wołyń jego syn Jan wrócił do Zaturzec zobaczyć, co się w nich



dzieje. Niemcy mianowali go kierownikiem majątku, w którym wcześniej władze sowieckie, doceniając jakość gospodarstwa Lipińskich, urządzili centrum sowchozu, do którego włączyli okoliczne majątki. Początkowo pracował sam, a później otrzymał niemieckiego nadzorcę. W 1943 r., gdy na Wołyniu rozpoczęła się fala mordów, w Zaturcach zorganizowano placówkę samoobrony, w której przed rzezią chroniło się od 300 do 500 osób z pobliskich wsi. Jan Lipiński jako zastępca komendanta placówki odpowiadał za ich aprowizację. Dzięki samoobronie Polacy z Zaturzec nie zostali wymordowani, choć wielu w okolicznych koloniach padło ofiarą nacjonalistycznego terroru.

W 1945 r. większość Polaków mieszkających w Zaturcach wyjechało za Bug, zabierając ze sobą wyposażenie odnowionego przed wojną kościoła. Wielu z nich osiedliło się w Te-



11. Zniszczone ściany kościoła w Zaturcach. Fot. ze zbiorów autora

ratynie, niewielkiej miejscowości położonej kilkanaście kilometrów od Hrubieszowa. Cudowny Obraz Matki Bożej Pocieszenia wierni z Zaturzec zamieszkali w Teratynie zdeponowali w kościele parafialnym w Hrubieszowie. Kiedy w 1947 r. ks. Paweł Sokołowski z pobliskich Uchań na polecenie ks. Bpa Stefana Wyszyńskiego ówczesnego ordynariusza lubelskiego i przyszłego Prymasa Polski poświęcił w Teratynie dawną prawosławną cerkiew, a następnie erygowano tam rzymskokatolicką parafię, byli zaturczanie sprawdzili do świątyni swój umiłowany wizerunek Matki Bożej. Zaczęli go otaczać jeszcze większą czcią. Panowało wśród nich powszechne przekonanie, że to jej wstawienictwu zawdzięczają ocalenie z wszystkich wojennych opresji. Każdego roku podobnie jak w Zaturcach w trzecią niedzielę sierpnia uroczystie obchodzili odpust związany ze świętem swojej patronki.

W teratyńskiej świątyni umieszczono też obrazy wykonane przez panią Rokicką jak i wywiezione z Zaturzec paramenty liturgiczne.

Kościół w Zaturcach ukraińskie władze sowieckie w 1946 r. zamieniły na magazyn materiałów budowlanych i skład chemikaliów. Proboszcz parafii ks. Gracjan Rudnicki do 1946 r. trwał na posterunku. Wyjechał w ślad za ostatnimi parafianami. Podkreślić trzeba, że kapłan ten ogromnie zasłużył się dla polskiej społeczności Zaturzec i jej przetrwania w okresie II wojny światowej. Na jego plebanii spotykali się członkowie samoobrony. W niej po niedzielnych Mszach św. podejmowali kluczowe dla Polaków w Zaturcach decyzje.

Kościół w Zaturcach zwrócono wiernym dopiero w 1992 r. Proboszczem odrodzonej parafii został urodzony w 1965 r. w Tomaszowie Lubelskim ks. Marek Gmitrzuk. Ukończył on Wyższe Seminarium Duchowne w Lublinie i w 1992 r. przybył na Wołyń, zostając wikariuszem katedry w Łucku, pro-



boszczem w Rożyszczach i Zaturcach, a później także i innych parafii. Z ogromną energią i oddaniem przystąpił do remontu zaturzeckiej świątyni. Dzięki jego wysiłkowi w zdobywaniu funduszy udało mu się w ciągu dwóch lat przywrócić świątynię do stanu używalności. We wrześniu 1994 r. ówczesny sufragan lwowski Marcjan Trofimiak dokonał poświęcenia świątyni. W uroczystości wzięła udział pielgrzymka byłych mieszkańców Zaturzec, żyjących w Teratynie. Ofiarowali oni odrodzonej świątyni kopię obrazu Matki Bożej Pocieszenia. Podczas koncelebrewanej Mszy św. odbył się też pierwszy w parafii po pięćdziesięciu latach ślub młodej pary, która dzień wcześniej po przygotowaniu przy-



12. Grób Wacława i Marii Lipińskich na cmentarzu katolickim w Zaturcach.

*Fot. ze zbiorów autora*

jęła sakrament chrztu. Fakt ten stanowił niejako zapowiedź odrodzenia się zatureckiej wspólnoty. Po nabożeństwie Bp Marcyan Trofimiak w asyście księży uczestniczących w uroczystości poświęcił też tablicę epitafium Rodziny Lipińskich ku pamięci ostatnich właścicieli Zaturzec Marii, zmarłej w 1939 r. i Stanisława, zmarłego w Sopocie w 1954 r., którzy kiedyś znacznie przyczynili się do odbudowy świątyni po zniszczeniach, jakie doznała ona po I wojnie światowej.

Dla byłych mieszkańców Zaturzec pierwsza po latach pielgrzymka do rodzinnej miejscowości stanowiła z pewnością duże przeżycie. Miejscowość znacznie zmieniła swój wygląd. Dawny majątek Lipińskich stanowiący serce sowchozu był zdewastowany i rozszabrowany. Wieś robiła przykre wrażenie. Mimo tego na następne uroczystości odpustowe zawsze przyjeżdżała do Zaturzec spora grupa ich dawnych mieszkańców. Wśród nich były też oczywiście kolejne pokolenia rodziny Lipińskich. Proboszcz parafii ks. Marek Gmitrzuk starał się zresztą utrzymywać z nimi stałe kontakty.

Aktualnie po wyjeździe ks. Marka Gmitrzuka na studia do Rzymu obowiązki administratora parafii w Zaturcach objął ks. Bazyli Żyński dojeżdżający do niej z Kiwerc. Czyni to raz w tygodniu w niedzielę. Tutejsza wspólnota jest niewielka i liczy trzydzieści parę osób. Składa się z potomków dawnych mieszkańców Zaturzec, którzy po II wojnie światowej zdecydowali się pozostać w wiosce. Większość z nich to młode małżeństwa z dziećmi. Osoby starsze można policzyć na palcach jednej ręki. Niektórzy uważają się za Polaków. Młodszy deklaruja, że są Ukraińcami. Zintegrowali się mocno z miejscowym środowiskiem i nie chcą się z niego wyróżniać poprzez narodowościowe deklaracje. Nie znają już też języka przodków. Ksiądz Bazyli w duszpasterstwie używa więc ukraińskiego.

– Gdyby kapłan mieszkał tu na stałe, wspólnota być może szybciej by się rozwijała i była liczniejsza – dywaguje. – Zaturce to przecież duża wieś licząca około 2,5 tys. mieszkańców. Osób o katolickich korzeniach z pewnością mieszka w nich więcej. Co najmniej połowa Zaturczan nie jest też związana z żadnym Kościołem czy wyznaniem. Jest więc z pewnością z kim pracować i komu głosić Ewangelię. Na razie jednak osiedlenie się kapłana w Zaturcach jest nierealne. Diecezji brakuje księży. Musimy obsługiwać po dwie parafie. W Zaturcach nie ma też plebanii. Zniszczona po wojnie została rozebrana. O zbudowaniu nowej nie ma na razie mowy. W pierwszym rzędzie musimy ratować świątynię. Okazało się bowiem, że jej mury tak nasiąkły różnymi chemikaliami, że do wysokości trzech metrów położony nowy tynk zaczął odpadać. Trzeba go kłaść na nowo, szukając jednocześnie sposobu wywabienia ze ścian szkodliwych substancji. Oczywiście najpierw musimy zlecić fachową ekspertyzę, która da odpowiedź jak to zrobić, a później będziemy szukać zagranicznego sponsora. Dzięki Bogu w zeszłym roku udało nam się wymienić dach świątyni i obecnie nie zagraża jej zaciekanie. Pomogła nam w tym niemiecka fundacja „Kirche in Not”.

Mimo koniecznych prac remontowych kościoł w Zaturcach prezentuje się nieźle. Stanowi godny Dom Boży. O jego uroku przesądza niewątpliwie obecność w nim Zaturzeckiej Matki Bożej Pocieszenia. Zaprasza Ona wszystkich do odwiedzin i pogrążenia się choć na chwilę w modlitwie. Czeka na wszystkich, którzy szukają pocieszenia i pomocy w ziemskiej pielgrzymce do Jej Syna Jezusa Chrystusa.

## W CIENIU LUBARTOWEJ WIEŻY

---

Trafić do katedry w Łucku jest bardzo łatwo. Wraz z sąsiadującymi obiektami znajduje się ona pośrodku wzniesienia dawnej wyspy, która jest teraz rezerwatem historycznym Łucka. Razem z dawnym klasztorem brygidek, wieżą Czartoryskich i b. klasztorem szarytek tworzą kompleks monumentalnych obiektów, okalających zamek, składających się na planowy układ starego miasta. Katedra to jedyna katolicka świątynia odzyskana w Łucku przez wiernych. Świadczy o jego katolickich tradycjach i związkach z łacińską kulturą. Obok zamku Lubarta to główny zabytek grodu nad Styrem. Po raz pierwszy miasto Łuck, które wyrosło u jego podnóża zostało wspomniane w dokumentach w 1085 r. Stanowiło wówczas silną twierdzę strzegącą zachodnich rubieży Rusi. Stało na terenie, gdzie krzyżowały się interesy Polski i Litwy. Ostatecznie na początku XIV w. Łuck trafił pod panowanie Litwy, stając się drugą nieformalną stolicą Wielkiego Księstwa Litewskiego. Właśnie z tych czasów pochodzi zamek noszący imię Lubarta Gedeminowicza – pierwszego samodzielnego księcia łuckiego – „Dux Lucensis”. Późniejszy jego następca Witold szczególnie przyczynił się do rozwoju Łucka, czyniąc z niego europejską metropolię.

Zawarcie w 1569 r. Unii Lubelskiej rozpoczęło w dziejach Łucka i Wołynia nowy okres. Odtąd bowiem powstało województwo wołyńskie z centrum w Łucku, które zostało przyłączone do Korony. Miasto stało się też ważnym ośrodkiem katolicyzmu na Wschodzie. Współcześni zaczęli go nazywać wręcz „Rzymem Wschodu”, tak bowiem dynamicznie



13. Wieża Zamku Lubarta  
w Łucku. Fot. Janusz Ro-  
maniuk

zarówno w nim, jak i w całym województwie rozwijały się struktury Kościoła katolickiego. Rozwijało się też kościelne życie intelektualne, kwitł ekumeniczny dialog. To właśnie tu w jego toku dojrzewała idea Unii Kościołów, której głównym promotorem był łucki biskup rzymskokatolicki, późniejszy Prymas Rzeczypospolitej Bernard Maciejowski. Razem z władcykami ruskimi Hipacym Pociem – włodziemskim i Cyrylem Terleckim – łuckim w swojej rezydencji Torczynie k. Łucka sporządził on list do papieża Klemensa VIII, który był wstępem do powstania Unii Brzeskiej. Dopiero, gdy Rzeczpospolita chyliła się ku upadkowi, Łuck stał się również prowincjonalną miasteczką. Zdaniem historyków

„dobiły” go zwłaszcza wojny kozackie, powodujące w nim wiele zniszczeń. Jako stolica już nie województwa, ale powiatu stracił nie tylko znaczenie i chwałę, ale również wiele bezcennych zabytków architektonicznych, które niegdyś stanowiły jego wizytówkę. Łuck w XIX w. przestał też być siedzibą biskupa. Diecezja łucka została przekształcona w łucko-żytomierską. Jej ordynariusz przeniósł się do Żytomierza. Władze skasowały też w dawnym „Rzymie Wschodu” zakonne klasztory i kościoły. Świadkiem upadku Łucka był Józef Ignacy Kraszewski, który we „Wspomnieniach z Wołynia, Polesia i Litwy” poświęcił mu obszerny szkic. Po zwiedzeniu miasta napisał m.in.: *Dzisiejszy Łuck ledwie jest resztką i pamiątką dawnego – życie go opuściło. Tyle wojen, oblężeń, najazdów, tylu sławnych ludzi przeszło tędy, a oprócz zamku*



14. Dziedziniec Zamku Lubarta w Łucku. Fot. Janusz Romaniuk

*nic już o tym nie świadczy. Mieszkańcy jego żyją, jak owi Grecy, którzy w ruinach świątyń pobudowali sobie budy i szałasze, nie wiedząc nic o popiołach, na których usiedli.*

Odrodzenie Polski Niepodległej rozpoczęło nowy okres dziejowy Łucka. Miasto ponownie stało się stolicą województwa, a później odrodzonej diecezji, co spowodowało jego ponowny rozwój.

Z czasem jednak sytuacja w Łucku się stabilizowała. Miasto dowartościowało niewątpliwie uczynienie z niego ponownie stolicy diecezji. Jej ordynariusz bp Adolf Piotr Szelażek wiele zrobił dla podniesienia rangi swojej stolicy. Tworzył diecezjalne instytucje z Seminarium Duchownym na czele. Drukarnia diecezjalna wydawała tygodnik „Życie Katolickie” i „Miesięcznik Diecezjalny Łucki”.

Z Łuckiem związało swe losy wielu wybitnych kapłanów, będących prawdziwymi świadkami wiary. Jednym z nich był ks. Władysław Bukowiński, który w 1936 r. przeniósł się z archidiecezji krakowskiej do diecezji łuckiej. Był m.in. wykładowcą historii Kościoła w Seminarium Duchownym w Łucku, a od 1938 r. dyrektorem diecezjalnego Instytutu Akcji Katolickiej. Pełnił także funkcję katechety w miejscowych szkołach średnich. 17 września 1939 r. mianowano go również proboszczem katedry łuckiej. Od 1935 r. Łuck stał się też ponownie ośrodkiem pielgrzymkowym. Biskup Szelażek sprowadził bowiem do Łucka Cudowny Obraz Matki Bożej Łatyczowskiej, pochodzący z dawnej diecezji kamienieckiej, cieszący się dużym kultem wśród wiernych. Była przez nich traktowana jako „Patronka Podola i Wołynia”.

U progu II wojny światowej Łuck liczył 40 715 mieszkańców, w tym 41 proc. Polaków, 39 proc. Żydów, około 17 proc. Ukraińców. Niewielki odsetek mieszkańców stanowili także Niemcy, Rosjanie, Czesi.



Druga wojna światowa i okupacja najpierw sowiecka, później niemiecka i znów sowiecka sprawiły jednak, że Łuck jako stolica diecezji przestał istnieć. Wszystkie struktury kościelne zniszczono. Księży na czele z biskupem Szełażkiem aresztowano i poddano represjom. Wielu z nich zamordowano. Łuck stał się miejscem ich kaźni. Część zginęła z rąk NKWD w czasie masakry dwóch tysięcy więźniów na początku 1941 r. Nie mogąc ewakuować więźniów, Sowieci postanowili ich wymordować. Cudem ocalał z ludobójczego pogromu wspomniany wcześniej ks. Władysław Bukowiński. Od kul bojców uchroniły go zwały trupów. Podczas pierwszej sowieckiej okupacji prowadził on dyskretną, lecz bardzo ożywioną działalność charytatywną. Wywożonym z Łucka do Kazachstanu Polakom podawał na stacji żywność i książeczki do nabożeństwa. Aresztowany otrzymał wyrok



15. Grób Pański w katedrze łuckiej. Fot. ze zbiorów autora

8 lat łagrów. Po uniknięciu cudem śmierci powrócił na stanowisko proboszcza katedry. W czasie okupacji niemieckiej pomagał ukrywać dzieci żydowskie. Wraz z ks. Zygmuntem Chmielnickim odprawiał też w katedrze Msze św. za prowadzonych obok niej na śmierć Żydów. Katedra stała między zamkiem Lubarta a południowo-wschodnią częścią Łucka, gdzie od listopada 1941 r. Niemcy zorganizowali getto. Od reszty miasta oddzielał go nie mur, ale zakazy administracyjne. Dziesięć miesięcy później Niemcy przystąpili do likwidacji getta. Ofiary pędzono na zamek, pakowano w ciężarówki i wywożono do lasów pod Boremlem na rozstrzelanie. Księża Chmielnicki i Bukowiński widzieli pochody łuckich Żydów i odprawiali za nich Msze św. Czynili to, jak podkreśla biograf ks. Chmielnickiego Piotr Weisser bez *żadnych eufemizmów i półsłówek*. Te Msze św. słynne były w całym mieście.

Księża z katedry zaangażowali się też w prace Katolickiego Komitetu Opieki, dla którego katedra była głównym oparciem. W budynku przy katedrze zorganizowano sierociniec prowadzony przez siostry zakonne. Małymi dziećmi zajmowały się siostry zakonne, a większymi osoby cywilne. Członkowie Komitetu wychodzili na peryferie Łucka i zbierali dzieci szukające w mieście ratunku. Komitet rozdawał także uchodźcom żywność pochodzącą ze zbiorów. W miarę możliwości starał się też znaleźć dla nich schronienie wśród polskich rodzin. Jak wynika to ze wspomnień dawnych mieszkańców Łucka zdarzało się, że nie tylko w jednym domu, ale nawet w jednym mieszkaniu żyło po kilka rodzin.

Świadczenie pomocy Polakom w Łucku wiązało się oczywiście z dużym ryzykiem. Nacjonałści ukraińscy współpracujący z Niemcami starali się niszczyć żywioł polski w różny sposób, w tym poprzez donosy. Według ustaleń Ewy i Władysława Siemaszków należeli do nich m.in. wiceburmistrz

Skorobogatow, adwokat Czerewko i dr Zaleski. Atmosferę w mieście tworzył też metropolita autokefaliczny Cerkwi prawosławnej archierej Polikarp (Sikorśkyj) związany z OUN Stepana Bandery, który w swoich kazaniach zachęcał do rżnięcia Polaków. Oddziały UPA uderzały też na przedmieścia Łucka, dokonując licznych zbrodni. Ofiarą zemsty nacjonalistów padł m.in. ks. Zygmunt Chmielnicki. Donos na niego złożył osobiście wspomniany doktor Zaleski. Aresztowany przez Niemców poniósł śmierć męczeńską w Gross-Rosen.

Proboszczowi łuckiej katedry ks. Władysławowi Bukowińskiemu udało się szczęśliwie dotrzeć do ponownego wkroczenia Sowietów. Pomimo sugestii opuszczenia miasta postanowił w nim pozostać, dzieląc los wiernych i trwają-



16. Kapłani diecezji łuckiej ze swoim Pasterzem przy ołtarzu w katedrze.  
*Fot. ze zbiorów autora*

cego na posterunku ordynariusza Adolfa Piotra Szelażka. Ponownie aresztowany po wyroku w Kijowie rozpoczął „łagrową wędrówkę” i najbardziej heroiczny okres swojego apostołstwa.

Po zakończeniu działań wojennych niemal wszyscy Polacy opuścili Łuck, w efekcie czego tutejszy Kościół stracił praktycznie wszystkich wiernych. Do 1947 r. ich oparciem była katedra, w której posługiwał ks. Jan Rutkowski. W 1947 r. katedrę zamknięto zamieniając na magazyn. Parafii jednak nie zlikwidowano, pozwalając jej funkcjonować w kaplicy cmentarnej aż do śmierci ks. Rutkowskiego w 1955 r.

Katedra wykorzystywana na pomieszczenia magazynowe niszczała i ulegała dewastacji, podobnie jak cała łucka starówka. W latach 1970–1976 przeprowadzono jej remont z przeznaczeniem na Muzeum Ateizmu. Otwarto je w 1980 r., a w 1982 r. według projektu miejskiego architekta wykonano ekspozycję „Kosmos”. Spowodowało to zniszczenia głównego ołtarza i części mebli kościelnych. W tym czasie zginęło 20 bezcennych obrazów malarzy polskich i zagranicznych z XVII i XIX w. Zachowały się w nim tylko fragmenty empirowej ambony, konfesjonały i część mebli. Katolicy mimo, że zabrano im również po śmierci ks. Jana Rutkowskiego kaplicę na cmentarzu, trwali jednak w wierze, korzystając z podziemnego duszpasterstwa. Spotykali się na nabożeństwach w domach prywatnych. Dojeżdżał do nich początkowo o. Serafin Kaszuba kapucyn. Po jego oficjalnym wydaleniu z Wołynia od 1961 r. czynił to o. Rafał Kiernicki franciszkanin, pracujący we Lwowie. O tym, że ich posługa była owocna najlepiej świadczy fakt, że już w 1969 r. łuccy wierni złożyli wniosek o rejestrację wspólnoty rzymskokatolickiej, co świadczyło o ich dużej odwadze. Wniosek nie został nawet przyjęty. Od 1974 r. systematycznie dojeżdżał do wiernych w Łucku ówczesny proboszcz w Krzemieńcu ks. Mar-

cjan Trofimiak, obecny ordynariusz diecezji. W 1990 r. komitet parafialny w Łucku formalnie zarejestrowano. Mógł on podjąć oficjalne starania o odzyskanie katedry. Najpierw zwrócono mu tylko jedną z kaplic w czynnym jeszcze muzeum ateizmu. Pierwszą Mszę św. odprawił w niej ks. Antoni Andruszczyszyn ze Sławuty we wrześniu 1990 r. Od tej pory w każdą niedzielę odbywały się w niej Msze św. Oficjalne przekazanie świątyni wiernym nastąpiło w czerwcu 1991 r. Przez kilka lat jej proboszczem był ks. Ludwik Kamiński, któremu udało się odzyskać także część dawnego klasztoru szarytek i rozwinąć wszechstronne duszpasterstwo, kładąc podwaliny pod reaktywowanie diecezji łuckiej, co nastąpiło w 1996 r. Dwa lata później katedra była świadkiem pierwszego po 73 latach ingresu biskupiego. Nowym ordynariuszem łuckim Stolica Apostolska mianowała bpa



17. Jasełka w katedrze łuckiej. Fot. ze zbiorów autora

Marcjana Trofimiaka. Wchodząc w progi katedry hierarcha słusznie podkreślił, że nie wstępuje w nie jako obcy, ale „jako swój”.

W dziejach łuckiej katedry z chwilą objęcia stanowiska ordynariusza diecezji przez biskupa Marcjana Trofimiaka zaczął się nowy etap. Przyspieszono toczące się w niej prace remontowe, zdynamizowano duszpasterstwo. Włączył się w nie także sam biskup. On też po odejściu księdza Kamińskiego do Żytomierza pełnił nawet obowiązki proboszcza świątyni.

Obecnie choć katedra tak jak cała starówka leży na ubożu miasta, to jej otoczenie tętni życiem. Bywa, że na placu przed kurią trudno znaleźć miejsce dla zaparkowania samochodu. W odzyskanej i wyremontowanej już wcześniej części



18. Kopia Całunu Turyńskiego w kaplicy katedry łuckiej. Fot. ze zbiorów autora



dawnego klasztoru szarytek mieści się całe multum instytucji. Na piętrze mieszka i urzęduje ksiądz biskup. W swojej prywatnej bibliotece przyjmuje wszystkich interesantów i gości. Pod jego „apartamentami” znajduje się kuchnia i jadalnia-refektarz, a także „Caritas”. W skrzydle bocznym na piętrze pracownia komputerowa, mieszkają księża pracujący przy katedrze, a także ci dojeżdżający do innych pobliskich parafii. Na parterze ma także siedzibę „Maltańska Służba Pomocy Bliźniemu” i sale katechetyczne parafii. Pomimo, iż wszyscy są zabiegani, panuje tu domowa i wręcz rodzinna atmosfera. O godzinie czternastej wszyscy pracujący w gmachu, zarówno księża jak i świeccy zatrudnieni w kurii oraz ewentualni goście spotykają się na obiedzie w refektarzu, bo obiad – jak mówi biskup Marcján – to rzecz święta! – Oczywiście nie tylko dlatego, że podczas niego można napełnić



19. Nawiedzenie białoruskiej kopii Całunu Turyńskiego w katedrze łuckiej. Fot. ze zbiorów autora



brzuchy. Jest to okazja, by spotkać się, porozmawiać z ordynariuszem, podzielić się osiągnięciami i kłopotami. W ubiegłym roku kurii udało się odzyskać drugą część dawnego klasztoru, w której obecnie są prowadzone wstępne prace remontowo-badawcze. Zostały już odsłonięte ściany piwnic, by osuszyć całą dolną mocno zawilgoconą kondygnację. Aktualnie specjalistyczna ekipa dokopała się do fundamentów budynku, po osuszeniu których założy na nich izolacje pionowe.

– Następnie stopniowo będziemy rewaloryzować cały obiekt zaczynając od wymiany dachu – mówi proboszcz katedry, a także kanclerz kurii diecezjalnej w Łucku ks. Jan Buras. Wszystkie prace wykonujemy oczywiście pod nadzorem konserwatorów zabytków. I to nie tych z Łucka, ale z Kijowa. Ministerstwo Kultury uznało bowiem, że dawny klasztor szarytek jest zbyt cenny, by jego służby nie trzymały pieczy nad rozpoczętą przez nas rewaloryzacją. Obiekt z zewnątrz musi spełniać jego wymagania. W nowej części chcemy w połączeniu z tą wcześniej odzyskaną urządzić rezydencję ordynariusza, a także biura kurii i wszystkich urzędów, które zgodnie z prawem kanonicznym w jej strukturach powinny funkcjonować. Stworzymy tam również pomieszczenia dla sióstr zakonnych, pokoje gościnne dla księży, okresowo nas wspierających, a także dla gości, nie mających obecnie gdzie zanocować...

Ksiądz kanclerz i proboszcz zarazem żyje i urzęduje w mieszkaniu, z którego może patrzeć na fronton katedry. Jest ona niewątpliwie jego oczkiem w głowie. To kapłan z dużym doświadczeniem pracy na Wschodzie. Przez 9 lat pracował na terenie archidiecezji lwowskiej. Potem wrócił do diecezji przemyskiej, z której pochodzi, by po trzech latach zgodzić się na ponowny wyjazd na Wschód i podjęcie posługi w diecezji łuckiej.

– Muszę przyznać, że przed wyjazdem na Wołyń trochę się wahałem – wspomina. – Miałem bowiem świadomość, że jest to zupełnie inny teren niż Galicja, że tutejsi mieszkańcy mają odmienną mentalność, a Kościół katolicki funkcjonuje w głębokiej diasporze. Obawiałem się różnorodnych konfliktów i problemów. Rzeczywistość okazała się jednak nie taka straszna. Będąc tu już prawie dwa lata nigdy nie doświadczyłem ze strony władz czy też zwykłych Ukraińców jakiegokolwiek nieżyczliwości.

Życzliwość i sympatia jest ks. Janowi z pewnością potrzebna. Obowiązków mu nie brakuje. Tym bardziej, że kontynuując dzieło poprzedników, prowadzi dalej renowację katedry. Jest ona konieczna nie tylko po to, aby przywrócić jej dawny blask, lecz by zabezpieczyć ją przed niszczeniem.



20. Ks. kan. Jan Buras błogosławi dzieci. Fot. ze zbiorów autora

– W minionym roku zakończyliśmy naprawę głównego dachu – mówi. – Wymieniliśmy całą konstrukcję drewnianą, a także poszycie nad nawą główną, pokrywając je blachą miedzianą. Obecnie zabraliśmy się za żmudny remont wnętrza zakrystii. Odtworzyliśmy już wszystkie odlewy gipsowe zniszczonej sztukaterii. Obecnie przystępujemy do malowania pomieszczenia. Konserwatorzy dobierają odpowiednie kolory. W przyszłości planujemy podjęcie podobnych czynności w całym kościele.

Odnawianie świątyni i budynków kurii nie wypełnia oczywiście całego czasu ks. Burasa. Wraz z wikarym ks. Grzegorzem Oważanym i siostrami zakonnymi poświęca jego większość pracy duszpasterskiej. Parafia katedralna należąca do największych w diecezji łuckiej jest specyficzną wspólnotą. Posługujący w niej kapłan musi wykazać wiele tactu, wyczucia i zrozumienia. Choć Polacy żyjący w Łucku odegrali główną rolę w odzyskaniu katedry i stworzeniu przy niej załóżka parafii, to dzisiaj już nie oni nadają jej ton. Ma ona charakter wielonarodowy. Należą do niej także Czesi, Niemcy, Rosjanie, Białorusini, Litwini i oczywiście Ukraińcy. Jest to spadek po Związku Radzieckim, kiedy to miasto będące ośrodkiem administracyjnym obwodu wołyńskiego, gwałtownie rozbudowało się, potrzebując różnych specjalistów. Z nakazami pracy trafiali do niego przybysze z różnych stron ówczesnego państwa. Znajdowali zatrudnienie w przemyśle samochodowym, precyzyjnym, jedwabniczym, drzewnym i spożywczym, a także nauce i oświacie. W mieście powstał Instytut Pedagogiczny, muzea, teatr i liczne placówki kultury. Na początku lat dziewięćdziesiątych Łuck liczył 218 tys. mieszkańców. Odrodzenie religijne po odzyskaniu przez Ukrainę niepodległości sprawiło, że wielu z nich zaczęło szukać sensu życia i wracać do religijnych korzeni. Niektórzy odkrywali, że mają korzenie katolickie i za-



21. Nabożeństwo w katedrze łuckiej poświęcone pamięci ks. bpa Adolfa Piotra Szelażka. Obok bpa Marcjana Trofimiaka bp Jan Purwiński z Żytomierza i bp Leon Dubrawski z Kamieńca Podolskiego. Fot. ze zbiorów autora

częli szukać możliwości powrotu do nich, trafiając do katedry. To oni stanowią większość członków funkcjonującej przy niej wspólnoty.

– Podkreślić chciałbym, że wśród wiernych coraz częściej zdarzają się osoby o czysto ukraińskim pochodzeniu, nie mającym nic wspólnego z polskością – mówi ks. Buras. – Fascynuje ich zachodnia kultura i rzymska liturgia. Bywa, że chcą się uczyć języka polskiego. Przychodzi np. do nas dziewczyna, która jest dyrygentką w chórze prawosławnym, ale swoją religijność chciałaby realizować w Kościele katolickim. Rozmawiała o tym ze swoim proboszczem, który odniósł się do jej zamiaru bardzo pozytywnie mówiąc, że Bóg

jest jeden. Oczywiście nie wszyscy księża prawosławni odnoszą się w taki sposób do ludzi mających duchowe rozterki. Bywa też, że sami wierni prawosławni skłaniają osoby poszukujące do przyścia do nas. Łucka wspólnota nie jest oczywiście duża. Nawet według najbardziej optymistycznych rachunków liczy około sześciuset wiernych. Ksiądz Jan optymistycznie ocenia jednak jej perspektywy. Na podstawie swojej dwuletniej posługi wie, że powierzona mu „trzódką” systematycznie się powiększa. Wciąż przychodzą nowi ludzie. Parafia jest też rozwojowa. Należy do niej około setki dzieci i młodzieży. Wyróżnia się również składem społecznym wiernych. Zdecydowana większość z nich to przedstawiciele inteligencji. Znaczącą grupę tworzą zwłaszcza lekarze, wśród których jest sporo łuckich znakomitości, jak np. ordynatorów szpitali, którzy stosunkowo niedawno odna-



22. Pamiątkowe zdjęcie w katedrze łuckiej. Fot. ze zbiorów autora

leżli drogę do Boga. Spory odsetek wiernych stanowią też nauczyciele i urzędnicy.

Ksiądz Jan ma też inne powody do zadowolenia z parafii. Cieszą go kolejki do konfesjonałów, a także fakt, że gros wiernych, uczestniczących w Mszach św. przystępuje do Komunii.

– Nie czynią tego tylko osoby, które z powodów formalnych mają kanoniczne przeszkody – podkreśla ks. Jan. – Wszyscy pozostali mają świadomość, że pełne uczestnictwo w Eucharystii to także Komunia św.

W niedzielę są w katedrze trzy Msze św. Jedna o dziewiątej rano po polsku, która jest najbardziej uczęszczana i dwie o jedenastej i osiemnastej przeznaczone dla młodzieży, odprawiane po ukraińsku.

– Języka polskiego oczywiście z nabożeństw nie eliminujemy – podkreśla ks. Jan. – Osoby starsze, które go rozumieją, mają pełne prawo się w nim modlić. Zresztą można zauważyć, że osoby młode też uczą się języka polskiego bez większych trudności, znają go i rozumieją. Wielu z nich przychodzi też na polską Mszę św. W tygodniu są trzy Msze św. rano i trzy wieczorem. Poranne odprawiane są po polsku, wieczorne po ukraińsku. Na Msze św., co mnie bardzo cieszy, przychodzą całe rodziny, czyli małżeństwa z dziećmi już ochrzczonymi w kościele. Frekwencja na Mszach św. jest przyzwoita, co jest tym bardziej godne podkreślenia, że większość wiernych mieszka w nowych dzielnicach miasta, położonych często z dala od katedry o osiem i więcej kilometrów. Niektórzy muszą dojeżdżać nawet dwoma autobusami, co dla rodziny z dziećmi oznacza duży wydatek.

W parafii dużą wagę przywiązuje się do katechezy. Na lekcje religii, organizowanych dla różnych grup dzieci i młodzieży, uczęszcza około osiemdziesiąt dziewcząt i chłopców. Ksiądz Jan stara się, by ich uczestnicy otrzymali solidną por-





23. Siostry Terezjanki na audiencji u ks. bpa Marcjana Trofimiaka. Fot. ze zbiorów autora

cję wiedzy religijnej, stanowiącej później fundament w ich dalszym życiu zgodnie z zasadami wiary.

W każdy pierwszy czwartek miesiąca dla dzieci i młodzieży odprawiana jest w katedrze Msza św. Jej uczestnicy sami przygotowują do niej komentarze i modlitwy. W parafii jest spora, bo licząca 18 chłopców, grupa ministrantów. Wiele dziewcząt należy natomiast do „Honoratek” czyli do stowarzyszenia, których członkinie podczas Mszy św. trzymają kościelne chorągwie i sztandary.

W parafii nie zapomina się także o katechizowaniu dorosłych. Siedem starszych osób niedawno przyjęło Sakrament Bierzmowania. W czasie ostatniej wizyty duszpasterskiej proboszcz ustalił, że 32 wiernych jeszcze do niego nie przystąpiło. Zaproponował wszystkim odrobienie tej „zaległo-



ści". Zgłosiło się siedem osób, które po kilkumiesięcznym przygotowaniu uzupełniło brak. Ksiądz Jan ma oczywiście nadzieję, że w ich ślady pójda następni.

Obecnie jest w parafii tworzona „Oaza Rodzin”. Sześć młodych małżeństw zgłosiło już do niej akces.

Starsi wierni należą do trzech „Róż Różańcowych”, stanowiących zaplecze modlitewne parafii.

Integralną częścią duszpasterstwa realizowanego w katedrze jest też opieka nad chorymi. Od roku w każdy pierwszy piątek miesiąca jeden z kapłanów odwiedza z Panem Jezusem osoby, które nie są już w stanie dotrzeć do świątyni. Wiernymi tymi na co dzień opiekują się też wolontariusze. Odwiedzają ich w domach. Przynoszą medykamenty, żywność, pomagają w porządkach itp. Dwa razy w roku, w okresach wielkanocnym i bożonarodzeniowym chorych przywozi się też na specjalne nabożeństwa do katedry.

Chlubą katedralnej parafii jest też chór, wykonujący utwory sakralne. Jest on znany nie tylko w Łucku, ale i w całej Ukrainie. Niedzielną Msza św. z jego udziałem stanowi dla wiernych duże przeżycie.

## POLACY NAD STYREM

---

Równoległe z religijnym w Łucku nastąpiło też oczywiście odrodzenie polskośći. Powstały w nim polskie towarzystwa oświatowo-kulturalne. Najważniejszym z nich jest Stowarzyszenie Kultury Polskiej na Wołyniu im. Ewy Felińskiej. Już sam wybór patronki w momencie jego tworzenia we wrześniu 1991 r. świadczył, jakie ambicje ma ta organizacja. Matka Błogosławionego Zygmunta Szczęsnego Felińskiego może bowiem służyć za wzór polskiego trwania na wołyńskiej ziemi, a także patriotyzmu i religijności. Przeszła ona twardą szkołę życia. Osierocona od siódmego roku życia była wychowywana przez zamożnych krewnych. W wieku osiemnastu lat wyszła za mąż za Gerarda Felińskiego. Po ślubie zamieszkała wraz z mężem w majątku Wojutyn niedaleko Łucka. Tu przez kilkanaście lat prowadziła wraz z nim niewielki folwark, rodząc kilkoro dzieci. Nie uznawała życia ponad stan. Starala się zawsze pomagać poddanym. Zajmowała się m.in. leczeniem włościan. Gdy w 1833 r. umarł jej mąż, została jedyną opiekunką sześciorga dzieci, trzech synów i trzech córeczek, z których najstarsze miało dwanaście lat. Po śmierci męża, nagłona potrzebą kształcenia dzieci, wydzierżawiła majątek Wojutyn i zamieszkała w Krzemieńcu wraz z dziećmi i sparaliżowaną matką staruszką. Tu w lipcu 1938 r. została aresztowana za udział w spisku Szymona Konarskiego, a następnie zesłana najpierw do Berezowa na Sybirze, a później do Saratowa nad Wołgą. Po powrocie z wygnania w 1844 r. Ewa Felińska zamieszkała w Wojutynie. Tu zmarła w 1859 r. Jej trudne życie upłynęło na ofiarnym spełnianiu obowiązków wobec dzieci,

rodziny i ojczyzny. Wywarła ona zasadniczy wpływ na ukształtowanie osobowości swego syna Zygmunta Szczęsnego, późniejszego arcybiskupa warszawskiego, którego droga na ołtarze stawia go niewątpliwie wśród najwybitniejszych synów ziemi wołyńskiej.

Polacy tworzący stowarzyszenie w Łucku celowo odwoływali się do osoby Ewy Felińskiej. Chcieli ją „odkurzyć”, a zarazem uświadomić tutejszym Polakom, że mają do czego się odwoływać i kogo naśladować. Zaczęli od razu popularyzować jej biografię wśród swych członków, by stała się im bliska, uświadamiając jednocześnie znaczenie rodziny. Nie było to specjalnie trudne, bo zdecydowana większość żyjących w Łucku Polaków lub ich przodkowie mieli w swoim życiu doświadczenia podobne do tych, które stały się udziałem matki arcybiskupa. Zdecydowana większość z nich to potomkowie Polaków deportowanych z dawnych Kresów Rzeczypospolitej na Syberię i do Kazachstanu, którym po zakończeniu II wojny światowej pozwolono wrócić na Wołyń. Polskich rodzin mających przedwojenne korzenie w Łucku mieszka zaledwie kilkanaście, góra dwadzieścia...

Ilu Polaków mieszka w mieście nad Styrem, dokładnie nie wiadomo. Działacze stowarzyszenia szacują ich liczbę na cztery tysiące, ale jest to liczba hipotetyczna. Oznacza ona raczej ilość osób o polskich korzeniach. Nie wszyscy z nich przyznają się do polskiej narodowości. W okresie władzy sowieckiej większość z nich starannie ją ukrywało, deklarując się jako Ukraińcy lub Rosjanie. Był to bowiem warunek dostania się na studia lub zdobycia lepszej pracy.

Dopiero po odzyskaniu przez Ukrainę niepodległości, sytuacja ta uległa zmianie i Polacy mogli oficjalnie zacząć wychodzić z „podziemia” i przyznawać się do swej narodowości. Jednym z liderów, który zaczął im przewodzić była pani Irena Kostecka, która jeszcze przed powstaniem stowa-

rzyszenia w swoim własnym mieszkaniu zaczęła uczyć kilkoro dzieci.

Od początku rozwój stowarzyszenia był związany z odrodzeniem się w Łucku katedralnej parafii i odzyskiwaniem samej katedry. To wracający do swych korzeni Polacy stanowili bowiem zdecydowaną większość wiernych zarejestrowanej w Łucku w 1990 r. katolickiej wspólnoty. Nie ma się więc co dziwić, że w pierwszych latach swojej działalności stowarzyszenie przytuliło się do katedry, korzystając z życzliwości jej ówczesnego proboszcza ks. Prałata Ludwika Kamilewskiego. Najpierw członkowie stowarzyszenia spotykali się w katedralnej zakrystii, później otrzymali lokal w jednym z odzyskanych przez kościół pomieszczeń. Z biegiem lat stowarzyszenie krzepło i rozwijało się. Od początku miało ono zasięg obwodowy, tworząc swoje oddziały wszędzie tam, gdzie mieszkali Polacy. Powstały one m.in. w Maniewiczach, Kiwercach, Lubieszowie, Zaturcach, Rożyszcach, Kowlu i Włodzimierzu Wołyńskim. W sumie liczy ono około siedmiuset członków. Największy z nich jest oczywiście łucki, skupiający 250 osób. On też, co jest zupełnie naturalne, jest najaktywniejszy. Tu mieszka w obwodzie najwięcej Polaków, a zwłaszcza tych, którzy mają wyższe wykształcenie. W terenie bowiem dominują ludzie prości. Oddział od początku koncentrował się na pracy u podstaw, a zwłaszcza na nauce języka. Dzięki temu już w połowie lat dziewięćdziesiątych ponad trzysta osób w różnym przedziale wiekowym od przedszkolaka do emeryta nauczyło się języka polskiego. Stowarzyszenie zaczęło także odradzać na Wołyniu kulturę polską. Jego wizytówką stał się chór „Wołyń”, który szybko ze względu na swój poziom stał się bardzo znany zarówno na Ukrainie, jak i w Polsce, zdobywając mnóstwo nagród na festiwalach polskich i ukraińskich. Po wieloletnich zabiegach stowarzyszeniu udało się dzięki po-

mocy z Polski stworzyć bibliotekę liczącą prawie 10 tys. tomów. Szybko zaczęli z niej korzystać nie tylko Polacy, ale również i Ukraińcy, zwłaszcza zaś studenci i pracownicy wyższych uczelni.

Przy stowarzyszeniu powstały też inne zespoły i kluby, takie jak dziecięcy zespół muzyczny „Jaskółeczki”, chór młodzieżowy „Życzenia”, Koło Nauczycieli Języka Polskiego, Koło Lekarzy, Kluby: „Sybiracy”, „Gospodyni” i „Poznaj swój kraj”. Trwanie i rozwój stowarzyszenia był możliwy dzięki poparciu polskich władz konsularnych, Stowarzyszenia „Wspólnota Polska”, a także władz polskich ościennych władz wojewódzkich, samorządowych i rozmaitych organizacji, a także osób prywatnych, w tym byłych Wołyńian. Podtrzymywanie więzi z tymi ostatnimi stowarzyszenie uznało za jeden ze swoich statutowych obowiązków.

Ważną dziedziną działalności stowarzyszenia stała się też pomoc charytatywna dla osób starszych, samotnych, chorych i rodzin wielodzietnych, których w Łucku wśród polskiej diaspory jest sporo.

Dzięki swojej aktywności Stowarzyszenie Kultury Polskiej na Wołyniu im. Ewy Felińskiej zdecydowanie zaczęło się wyróżniać wśród innych towarzystw mniejszości narodowych, których w Łucku działa kilka. Są m.in. organizacje skupiające: Niemców, Czechów, Słowaków, Żydów i Rosjan.

Dzięki działalności stowarzyszenia w jakiejś mierze odżyła w Łucku idea wielokulturowości tego miasta, powoli zaczęło ono przypominać sobie o swych korzeniach. Przynajmniej w niewielkim wymiarze. Oczywiście w swoim funkcjonowaniu napotykało ono na trudności i problemy. Atmosfera w Łucku nie zawsze była życzliwa dla polskości. Tutejsi ukraińscy nacjonałści robili wszystko, by utrudnić mu życie. Odrodzenie polskości było dla nich kamieniem obrazy. Poprzez najrozmaitsze działania propagandowe starali

się je ograniczyć. Szczególnie, gdy zbliżała się sześćdziesiąta rocznica mordów wołyńskich. W tutejszych księgarniach można było kupić całe multum wydawnictw wychwalających wyczyny UPA i oskarżających Polaków o ludobójstwo na ukraińskich mieszkańcach Wołynia w czasie II wojny światowej. Tuż przed uroczystościami w Porycku, Łuck i miasta zostały zalepione ulotkami i plakatami, którymi nacjonaliści starali się osłabić ich wydźwięk i „obudzić Wołyń”. Jakie nastroje wśród Polaków mieszkających w Łucku wywołały te działania, nie trzeba chyba pisać.

Utworzenie w Łucku Konsulatu RP wzmocniło nad Styrem „polskie lobby”, choć i ta instytucja stała się obiektem protestów i pikiet nacjonalistów. Niewątpliwie jednak jej powstanie dla wspierania procesów odradzania polskości na całym Wołyniu miało ogromne znaczenie.

Ordynariusz diecezji łuckiej bp Marcján Trofimiak jest jednak optymistą, jeśli chodzi o pojednanie i zbliżenie między Polakami i Ukraińcami.

– Uważam, że mimo historycznych zaszłości narody polski i ukraiński mają się ku sobie – podkreśla. – Myślę, że poparcia przez Polskę „Pomarańczowej Rewolucji” Ukraińcy nigdy nie zapomną. Było ono nie tylko znaczące, ale wręcz najważniejsze dla jej zwycięstwa. Byłem wtedy na Majdanie Niezależności w Kijowie i z perspektywy trybuny widziałem, jak kilkaset tysięcy zebranych na nim ludzi skandowało – Polska, Polska, a potem już – Polska, Polska, gdy skończyli swoje wystąpienia pan premier Jerzy Buzek, czy pan prezydent Lech Wałęsa. Ich przyjazd do swojej stolicy Ukraina niewątpliwie doceniła. Podobnie jak uczestnictwo prezydenta Aleksandra Kwaśniewskiego w „Okrągłym Stole”, które doprowadziło, że na Ukrainie nie doszło do wprowadzenia stanu wojennego wiszącego na włosku. Podjęcie przez niego mediacji i zaangażowanie prezydenta Litwy

Valdasa Adamkusa, a także reprezentującego Komisję Europejską Sekretarza Javiera Solany doprowadziły ewidentnie do pokojowego rozwiązania na Ukrainie. Gdyby nie oni, mogłoby się wylać morze krwi. Tymczasem nie polala się ani kropla. Wkład Polski, by ukraińska rewolucja była właśnie taka, jest niepodważalny. Zapisala się ona złotymi zgłoskami. Wiem, że Ukraina zdaje sobie z tego sprawę, o tym pamięta i jest wdzięczna.

Biskup Marcyan poprzez swoją posługę stara się budować polsko-ukraińskie mosty i tworzyć korzystną atmosferę dla funkcjonowania struktur Kościoła katolickiego na Ukrainie. Dzięki jego taktowi i dyplomacji nawet najwięksi nacjonaliści przekonali się, że Kościół realizując swoją misję, działa na rzecz niepodległej Ukrainy, dążąc do wychowania nowego człowieka odnowionego moralnie, który jak pokazały wydarzenia z ostatnich miesięcy jest koniecznie potrzebny...

Kierując diecezją łucką bp Marcyan stara się też nie odrzucać wielowiekowej historycznej spuścizny diecezji i przypominać, że łacińska kultura przez nią przyniesiona nadal może podtrzymywać związki Ukrainy z Zachodem. Dzięki jego patronatowi katedra łucka stała się ważnym ośrodkiem życia kulturalnego w stolicy obwodu.

– Sława koncertów organowych i chóralnych, które odbywają się w katedrze daleko wykracza poza granice diecezji – przyznaje biskup. – Nasz chór jest słynny w całym kraju. O jego poziomie świadczy chociażby fakt, że jako jedyny chór kościelny uzyskał tytuł „Narodowego Chóru Ukrainy”. W jego repertuarze znajdują się utwory najwybitniejszych zachodnich kompozytorów. Gdy Ojciec Święty był we Lwowie, to podczas odprawianej przez niego Mszy św. na jego śpiewie wspieranym przez Orkiestrę Symfoniczną z Łucka była oparta cała liturgia. Obecnie Chór daje systematyczne koncerty w katedrze, cieszące się ogromną popularnością.



Bilety na nie rozchodzą się od ręki bez specjalnej reklamy. Szczególnie przychylne recenzje zyskała np. „Koronacyjna Msza św.” Mozarta, wykonana z orkiestrą symfoniczną. Duży aplauz zyskała też „Cantata” Bacha czy „Completorium” Grzegorza Gerwazego Gorczyckiego, kompozytora polskiego baroku, niesłusznie w Polsce zapomnianego. Chór włączył do swego repertuaru także „Te Deum” Haydna, Msze św. św. Cecylii Gunoda. W 2003 r. w 60. rocznicę rzezi wołyńskich i 70. rocznicę głodu na Ukrainie chór po raz pierwszy wykonał „Requiem” Mozarta, co w Łucku odbiło się szerokim echem. Dzięki chórowi muzyka sakralna najwybitniejszych zachodnich kompozytorów jest obecna na Wołyniu, wzbogacając tutejszą kulturę.

## W BISKUPIM TORCZYNIE I HOŁOBACH

---

**M**iedzy Łuckiem a Zaturcami leży Torczyn, niewielkie miasteczko liczące 10 tys. mieszkańców. Jest to stara osada istniejąca już w XI w. Była własnością biskupów łuckich, stanowiąc centrum ich dóbr. Ordynariusze łuccy posiadali tu zamek, który był ich ulubioną rezydencją. To w nim podczas zjazdu 2 grudnia 1594 r. episkopat ruski proklamował „Dekret o wolnym wyborze i postanowieniu metropolity i biskupów ruskich o podjęciu communii z Świętym Kościołem Rzymskim”, który dał podwaliny Unii Brzeskiej. Pierwszy kościół rzymskokatolicki powstał w Torczynie jednak już znacznie wcześniej. W 1540 r. biskup łucki Georgi Chwalczewski ufundował w Torczynie drewnianą świątynię, wyposażając ją w „pola i łąki”. W roku 1548 z przywileju króla Zygmunta Starego ustanowiono w miejscowości parafię pod wezwaniem św. Trójcy. W 1778 r. na miejscu zestarzałego już kościoła biskup Feliks Paweł Turski postawił nowy, także drewniany, który w swoim zasadniczym kształcie przetrwał aż do II wojny światowej.

Upadek znaczenia Torczyna nastąpił po rozbiorach Rzeczypospolitej. Wtedy to rząd carski zlikwidował dobra biskupie. Zamek biskupów łuckich rozebrano i dziś nie ma po nim śladu.

Do najnowszych dziejów polsko-ukraińskich wpisał się Torczyn w 1919 roku. Wtedy to na jego rogatkach rozegrała się bitwa między wojskami polskimi idącymi na odsiecz Lwowa, a ukraińskimi oddziałami Ukraińskiej Republiki



24. Kościół parafialny w Torczynie. Fot. ks. Witold Józef Kowalów

Ludowej. W walkach o miasteczko poległ dowódca akcji legendarny mjr Leopold Lis-Kula, szef Polskiej Organizacji Wojskowej na Ukrainie. Parafia w Torczynie liczyła w 1937 r. około 3500 wiernych. Terytorialnie była jednak bardzo rozległa. Zajmowała ogromny obszar, na którym znajdowało się 64 miejscowości. Proboszczem parafii był wtedy ks. Władysław Sielawa, pełniący także funkcję dziekana łuckiego. W 1939 r. nie czekał on na wkroczenie wojsk sowieckich, słusznie spodziewając się aresztowania. Zastąpił go do 1945 r. ks. Stanisław Jadczyk.

W okresie okupacji sowieckiej w latach 1939–1941 ludność polska była oczywiście poddana prześladowaniom i deportacjom. Aresztowania objęły tak jak wszędzie: zie-

mian, oficerów rezerwy, działaczy państwowych, policjantów, inteligencję, kupców, rzemieślników itp.

Po zajęciu Torczyna przez Niemców w 1941 r. Polacy mogli czuć się w miasteczku w miarę bezpiecznie. Ukraińcy bali się niemieckiego garnizonu i ograniczyli się do współpracy z hitlerowcami przy likwidowaniu torczyńskiego getta. UPA dokonywała też w okolicy Torczyna licznych napadów mordując nie tylko Polaków, ale wielu także własnych ziomków, którzy pomagali ukrywać się Polakom...

W 1944 r. wykorzystując fakt, że Niemcy opuścili Torczyn, cofając się przed Armią Czerwoną, UPA uderzyła na Torczyn pałac m.in. drewniany, zabytkowy kościół. Po wojnie Polacy wyjechali z Torczyna do Polski. Miejscowe władze dokończyły niestety po wojnie dzieła UPA, zacierając



25. Ks. Grzegorz Oważany, administrator parafii w Hołobach, razem z wiernymi w oczekiwaniu na Biskupa. Fot. ze zbiorów autora



26. Najmłodsi parafianie w Hołobach witają Pasterza diecezji łuckiej. Fot. ze zbiorów autora

praktycznie polskie ślady w miasteczku. Liczący 350 lat cmentarz zamieniono w park i pastwisko do wypasu bydła. Stojące na nim nagrobki i pomniki użyto do budowy dróg.

Parafia w Torczynie odrodziła się w 1994 r. za sprawą ks. Marka Gmitrzuka, ówczesnego proboszcza w Rożyszczach i Zaturcach, a także wikariusza katedry w Łucku. Dopin-gowany przez dziekana okręgu wołyńskiego Ludwika Ka milewskiego zajął się także Torczynem. Organizując w nim spotkania i nabożeństwa w prywatnym mieszkaniu, skupił około sześćdziesięciu wiernych. Doceniając historyczne zna-czenie parafii w Torczynie i licząc na Bożą Opatrzność, ka-plan ten podjął się budowy na dawnym cmentarzu nowego kościoła.

Dzięki wsparciu przede wszystkim rodaków z kraju i zagranicy, a także ofiarodawców z Niemiec do lata 1997 r. udało mu się zalać fundament, podnieść mury kościoła i ogrodzić przysły teren kościelny.

Rok później we wrześniu 1998 r. w przeddzień święta Podwyższenia Krzyża Świętego, w 450 roku od powstania pierwszej parafii w Torczynie, ordynariusz diecezji łuckiej bp Marccjan Trofimiak dokonał konsekracji nowo zbudowanego kościoła pw. św. Jana Chrzciciela i Podwyższenia Krzyża Świętego. Była to pierwsza konsekracja zbudowanej od podstaw świątyni na Wołyniu od odrodzenia na nim Kościoła katolickiego. W swojej homilii bp Marccjan podczas uroczystości powiedział m.in.: *Stoimy na miejscu dawnego cmentarza. I cieszymy się, że na tym miejscu powstała świątynia,*



27. Bp Marccjan Trofimiak i ks. kanclerz Jan Buras wśród wiernych w Hołobach. Fot. ze zbiorów autora

28. Msza św. pontyfikalna w Hołobach. Obok ks. bpa Marcjana Trofimiaka ks. kanclerz Jan Buras i ks. Grzegorz Oważany. Fot. ze zbiorów autora



że to miejsce pozostało świętym. Możemy modlić się za tych, którzy tu spoczywają i prosić, aby Pan Bóg pokazał im swoje jaśniejące oblicze. Do 2000 r. ks. Gmitrzkowi udało się również wznieść plebanię i stworzyć na części dawnego cmentarza symboliczny cmentarzyk-pomnik upamiętniający pokolenia pochowanych na nim dawnych parafian, a także ofiary wołyńskich rzezi. Choć jest niewielki i skromny, ma swój wyraz i robi wrażenie.

Na zielonej murawie obok świątyni wśród starych świerków i jesionów stoi szereg symbolicznych nagrobków, z których wyrastają duże polerowane marmurowe płyty z nazwiskami osób spoczywających na dawnym cmentarzu. Osobno





29. Msza św. pontyfikalna w Hołobach. Obok ks. bpa Marcjana Trofimiaka ks. kanclerz Jan Buras, ks. Tomasz Czopor i ks. Grzegorz Owazański. Fot. ze zbiorów autora

stoi tylko nagrobek Leopolda Lisa-Kuli. Czytając inskrypcje na płytach można się dowiedzieć, jakie nazwiska nosili Polacy mieszkający niegdyś w tym miasteczku leżącym wśród lasów i wzgórz. Sporo jest wśród nich najprzedniejszych historycznych nazwisk, takich jak Ossolińscy, Korczyńscy, Kalinowscy, Jaworscy, a także bardziej pospolitych jak Wiśniewscy, Krajewscy czy Siateccy. Ksiądz Marek otrzymał je od dawnych mieszkańców Torczyna lub ich znajomych, tworząc dzięki temu zaczątek unikatowej nekropolii. Może i powinna być ona dalej rozwijana i wzbogacana. Na cmentarzyku jest jeszcze wiele miejsca dla nowych tablic z nazwiskami tych, których kości spoczywają pod murawą. Nie

wszyscy zapewne żyjący jeszcze torczynianie i ich potomkowie wiedzą, że w ten sposób mogą przywrócić na Wołyniu pamięć o swoich przodkach. Zwłaszcza o tych, którzy padli ofiarą nacjonalistycznych rzezi.

Obecnie proboszczem parafii w Torczynie po wyjeździe ks. Gmitrzuka na studia do Rzymu jest ks. Grzegorz Oważany, młody kapłan pochodzący z diecezji bielsko-żywieckiej. Ukończył Wyższe Seminarium Duchowne Diecezji Bielsko-Żywieckiej w Krakowie, a następnie jako diakon przyjechał do Łucka. Tu w maju 2003 r. po zakończeniu praktyki diakońskiej wyświęcono go na kapłana. Stopniowo wchodząc w obowiązki duszpasterskie zaczynał od funkcji wikariusza w parafii katedralnej, a następnie jako administrator objął najpierw parafię w Hołobach, a potem w Torczynie.

– W dzień powszedni na Msze św. przychodzi w Torczynie dwie, trzy osoby – mówi ks. Grzegorz. – Choć bywa, że zjawia się tylko jedna osoba. W niedzielę we Mszy św. uczestniczy kilkunastu wiernych. Przy okazji większych świąt zjawia się ich w świątyni więcej. Nie są to wielkie liczby, ale pocieszające jest to, że wśród nich dominują ludzie młodzi. Jest też kilka matek z małymi dziećmi. Torczyńska wspólnota ma więc przed sobą przyszłość. Starsze pokolenie, które zaczynało z ks. Gmitrzukiem ją tworzyć odchodzi już niestety do Pana.

Parafia w Hołobach odrodziła się podobnie jak w Torczynie i Zaturcach za sprawą ks. Marka Gmitrzuka. Kościół w tej miejscowości wznosił w 1727 r. podstoli podlaski Józef Jeruzalski. Miejscowość ta leży 59 km od Łucka przy drodze na Kowel.

W 1882 r. wieś była już gminą. Liczyła 145 domów i 700 mieszkańców. Wizytówką Hołobów był oczywiście kościół o krzyżowym założeniu. Jego wnętrze zdobiły rokokowe freski. Obok kościoła znajdowało się probostwo o wyglądzie

staropolskiego dworu z połowy XVIII w. Zagłada parafii nastąpiła w czasie II wojny światowej. Ukraińscy nacjonaści kierowani przez miejscowego księdza prawosławnego Nowoseleckiego napadali na Polaków, stanowiących jedną piątą mieszkańców wsi, mordując wiele rodzin. W 1943 r. usiłowali rękami hitlerowców wymordować polską inteligencję. Ekspedycji niemieckiej wskazali jako komunistów: księdza Franciszka Czechmistrzyskiego i polskich nauczycieli. Egzekucji na placu przed kościołem zapobiegł w ostatniej chwili miejscowy volksdeutsch. Chcąc się zemścić, w kilka tygodni potem Ukraińcy obrabowali i zdewastowali kościół. Parafia istniała do 1944 r., kiedy to ostatni jej wierni wyjechali do Polski. Początkowo opuszczonym kościołem administrowała Armia Czerwona. W następnych



30. Słowo kapłana prawosławnego w czasie uroczystej Mszy św. w Hołobach. Fot. ze zbiorów autora

latach wielokrotnie zmieniali się „gospodarze” świątyni, w rezultacie czego popadała ona w coraz większą ruinę. Mimo zniszczeń bryła kościoła trwała, przypominając o historii Hołobów, które w czasach sowieckich ze wsi przekształciły się w liczące siedem tysięcy mieszkańców miasteczko. Awans cywilizacyjny Hołobów był oczywiście korzystny dla odrodzenia w tej osadzie katolickiej wspólnoty. Osiedliło się w niej trochę osób o polskich korzeniach z innych regionów Ukrainy. To oni na początku lat dziewięćdziesiątych podjęli starania o odzyskanie kościoła i zabudowań do niego należących. Od razu napotkali na trudności. Miejscowy proboszcz parafii prawosławnej chciał bowiem zorganizować na bazie tych obiektów żeński monastyr. Dzięki jednak swemu uporowi i życzliwości władz admini-



31. Bp Marcján Trofimiak w otoczeniu pielgrzymów z Łucka i miejscowych parafian w Hołobach. *Fot. ze zbiorów autora*

stracyjnych w Kowlu katolicy odzyskali swoją własność. Do zarejestrowanej parafii zaczął dojeżdżać z Łucka ks. Marek Gmitrzuk. On też rozpoczął wstępny remont świątyni, przystępując do wymiany więźby dachowej.

Ksiądz Grzegorz Oważany pierwszy raz przyjechał do Hołobów we wrześniu 2003 r. Początkowo jeździł do nich w zastępstwie. Dekret mianujący go administratorem tamtejszej parafii otrzymał we wrześniu 2004 r. Dojeżdża do niej raz w tygodniu w niedzielę.

– Częściej niestety nie ma sensu, jest to bowiem bardzo mała wspólnota – podkreśla. – Teoretycznie wiernych jest może i dużo. Ksiądz Gmitrzuk twierdzi nawet, że ludzi o korzeniach katolickich uzbierałoby się ze dwieście osób, ale tyle nie przychodzi do kościoła nawet od wielkiego dzwonu. Wciąż niestety nie ma wśród katolików w Hołobach, podobnie zresztą jak i w innych miejscowościach zakorzenionej świadomości, że niedziela jest dniem świętym, w którym każdy wierzący powinien koniecznie uczestniczyć we Mszy św. Obecnie na niedzielną Mszę św. przychodzi dwanaście, góra piętnaście osób. Z tego systematycznie czyni to siedem. Pozostali przychodzą co dwa, trzy tygodnie. Wśród wiernych dominują też niestety ludzie starsi. Mało jest dzieci mimo, że w każdy piątek siostra dojeżdża do Hołobów prowadzić katechezę.

Sen z powiek ks. Grzegorzowi spędza też stan techniczny kościoła. Wymaga on dalszych prac remontowych. Sól, która przeżarła ściany bez przerwy daje o sobie znać. Tynki kładzione na jego ścianach do wysokości trzech metrów odpadają, w rezultacie czego dalej przypomina on ruinę. Nie ma środków na jego ostateczną rewaloryzację. Mimo tych problemów ks. Grzegorz jest optymistą.

– Przyjeżdżając na Wołyń wiedziałem, że warunki pracy będą tutaj zupełnie inne niż w Polsce – podsumowuje. – Nie jestem więc zaskoczony czy przerażony. Ksiądz nie może się tu załamywać. Niezależnie, ile osób jest w kościele, musi im głosić Słowo Boże. Musi być z ludźmi. Oni tego bardzo potrzebują. Myślę, że cierpliwa praca księży w Hołobach za jakiś pokolenie z pewnością wyda owoce.

## W KOLEJARSKIEJ PARAFII

---

18 km na północny-wschód od Łucka leżą Kiwerce. Stolica rejonu licząca 22 tys. mieszkańców, będąca ważnym węzłem kolejowym na linii Warszawa – Kowel – Równe – Kijów. Z kolejowego punktu widzenia można by nawet pokusić się o stwierdzenie, że to Łuck leży pod Kiwercami, a nie odwrotnie. Stacja kolejowa w Łucku w porównaniu z kiwercowską to taka sobie stacyjka, niezbyt nadająca się na wizytówkę obwodowego miasta. Z Łucka nie odjeżdżają też międzynarodowe pociągi w kierunku Warszawy i zachodniej Europy. Jego mieszkańcy, jeżeli chcą z nich skorzystać, muszą wcześniej dojechać do Kiwerc. Jest to spadek po carskich czasach, gdy Rosjanie wytyczali na Wołyniu linie kolejowe dla celów wojskowych, a nie po to, by służyły cywilom. Nie uwzględniały one potrzeb lokalnych, omijając miasta i miasteczka. Dla Kiwerc praktyka carskich strategów była jednak korzystna. Dzięki niej powstały. Zaczęły się tworzyć przy stacji kolejowej założonej w 1870 r., która początkowo nazywała się „Łuck”. Dopiero gdy w 1890 r. dociągnięto boczną linię kolejową do Łucka, zmieniono jej nazwę na Kiwerce, zapożyczając ją od pobliskiej wsi. Budowniczymi linii kolejowej na Wołyniu, tak jak w całym Cesarstwie Rosyjskim w znacznej mierze byli Polacy. Z nich też rekrutowano personel stacji. W miarę jak rola stacji się zwiększała, liczba zatrudnionych na niej naszych rodaków rosła. Potwierdza to m.in. fakt budowy w 1883 r. drewnianej kaplicy rzymskokatolickiej, stanowiącej filię parafii łuckiej. Stacja szybko się rozwijała. Sprzyjało temu zlokalizowanie w niej innych jednostek kolejowych, związanych z utrzymaniem



ruchu. Zbudowano w Kiwercach m.in. zajezdnię lokomotywową, a także firmę specjalizującą się w produkcji drewnianych podkładów kolejowych. Osada krzepła, przekształcając się po I wojnie światowej w miasteczko. Obok stacji powstało kilka dużych tartaków, nadleśnictwo, leśnictwo i sąd pokoju. Wśród mieszanego lasu sosnowo-dębowego, stało kilkadziesiąt willi, a między nimi kolonia urzędnicza. Jak można wyczytać w „Ilustrowanym Przewodniku po Wołyniu” pióra dra Mieczysława Orłowicza, do letniska w Kiwercach przyjeżdżali wczasowicze nie tylko z Wołynia, ale i z lubelskiego. Magnesem, który ich przyciągał był nie tylko specyficzny klimat, możliwość kąpieli w jeziorze, ale i sąsiedztwo moczarowatych i zalesionych równin Wołyńskiego



32. Kościół pw. Najświętszego Serca Pana Jezusa w Kiwercach. Fot. ze zbiorów autora

Polesia, poprzez które biegła z Kiwerc ku północy kolej wąskotorowa Kiwerce–Sitnica, zbudowana w czasie I wojny światowej. Kiwerce słynęły też z dobrej kuchni. Najlepsza restauracja była na dworcu. Niewiele jednak ustępowały im lokale prowadzone przez Bronisławę Markowską i Klarę Jankelsohn, a także gospody Moszka Jankelsohna, Arona Kirchmana i Hersza Bidy.

Wielu turystów przyciągała też do Kiwerc ich literacka legenda. We wsi Kiwerce, od której jak wcześniej zaznaczono kolejowa osada wzięła nazwę, urodziła się w 1857 r. Gabriela Zapolska, czołowa komediopisarka polskiego naturalizmu. Idąc jej śladami, turyści mogli zobaczyć jeszcze dwór, w którym się urodziła. Nie należał on już jednak do Piotrowskich, z których autorka „Moralności Pani Dulskiej” się wywodziła, ale do rodziny Kulczyckich.

W 1923 r. w osadzie została formalnie utworzona parafia. W latach 1929–1933 ze składek jej wiernych, głównie polskich kolejarzy w Kiwercach, w miejscu drewnianego kościółka wzniesiona została murowana świątynia. Poświęcił ją w 1933 r. bp Adolf Piotr Szelązek. Proboszczem parafii był wówczas ks. Tadeusz Bączkowski, kapłan pochodzący z diecezji łucko-żytomierskiej, a następnie łuckiej. W 1920 r. był wicedziekanem i proboszczem parafii katedralnej w Łucku, a potem dziekanem i proboszczem w Kiwercach. Za swe zasługi dla Kościoła został mianowany kanonikiem honorowym Kapituły Ołyckiej i proboszczem konsultorem. W skład parafii przed II wojną światową wchodziły oprócz Kiwerc, liczących dwa tysiące mieszkańców, kilkanaście innych miejscowości. Łącznie z nimi w 1938 r. wspólnota liczyła prawie 5 tys. wiernych. W Jeziorze-Przebrażu posiadała ona kaplicę, na bazie której powstała tuż przed wybuchem II wojny światowej samodzielna parafia z ks. Stanisławem Szczypią jako proboszczem.

W 1939 r. ks. Bączkowski niemal natychmiast został aresztowany przez NKWD i wszelki ślad po nim zaginął. Według ustaleń ks. prof. Romana Dzwonkowskiego najprawdopodobniej zamordowano go w Bykowni. Zastąpili go kolejni kapłani.

Ksiądz Bączkowski nie był jedyną ofiarą NKWD w Kiwercach. Z meldunku NKWD USRS z zestawieniem zapotrzebowania na tabor kolejowy do przewozu wysiedlanych rodzin osób represjonowanych wynika, że z Kiwerc i okolic do Kazachstanu zostało wysiedlonych 119 osób. Wywieziono ich pięcioma bydlęcymi wagonami w kwietniu 1940 r.

W czasie wojny Kiwerce należały do stosunkowo bezpiecznych. Stacjonował w nich silny niemiecki garnizon. Ukraińscy nacjonaści dokonywali w nich tylko pojedynczych mordów. Napadali jednak na pobliskie wioski, nale-



33. Wnętrze kościoła parafialnego w Kiwercach. Fot. ze zbiorów autora

żące do kiwerskiej parafii. 13 czerwca 1943 r. – jak piszą Ewa i Władysław Siemaszkowie – na polecenie władz niemieckich wydane 12 czerwca księdzu Kazimierzowi Batowskiemu odbył się pogrzeb 150 Polaków z okolic Kiwerc, których Ukraińcy złożyli pod obeliskiem z napisem „*Smert' lacham, szcze ne wmerła Ukrajina i Zemla i Wola*”. Pod koniec lipca 1943 r. bojówka UPA zdecydowała się jednak uderzyć na Kiwerce. „Przygotowała” się do tego w chacie k. cmentarza w asyście prawosławnego batiuszki, który święcił kosy i noże. Strzegący stacji garnizon węgierski bez trudu jednak odparł atak. Trzydziestu członków UPA zostało ujętych i rozstrzelanych wraz z biorącym udział w napadzie księdzem prawosławnym.

W 1945 r. większość żyjących w Kiwercach Polaków wyjechało do Polski. Część z nich zdecydowała się jednak pozostać. Jest bardzo prawdopodobne, że władze sowieckie potrzebując wykwalifikowanych pracowników do obsługi stacji, niektórych po prostu zatrzymały. Musiało być ich sporo, bo tuż po wojnie w Kiwercach był jeszcze czynny kościół. Obsługiwał go dojeżdżający z Łucka ks. Jan Rutkowski. W 1946 r. świątynię jednak zamknięto, a ci Polacy, którzy zdecydowali się nie wyjeżdżać do ojczyzny musieli ze swoją wiarą i polskością zejść do podziemia... tak jak na całym Wołyniu, na długie dziesięciolecia. Rozwój miasteczka, które w porównaniu z czasami powojennymi wielokrotnie zwiększyło liczbę mieszkańców sprawił, że rozmyła się w nim całkowicie, uległa ukrainizacji. Świadectwem związków miasteczka z polską kulturą pozostała tylko bryła kościoła pełniąca funkcję magazynu. W końcu lat dziewięćdziesiątych chciano ją przekształcić w salę sportową. Projekt ten nie został jednak zrealizowany. Władze przekazały kościół w 1991 r. do tymczasowego użytkowania parafii prawosławnej Ukraińskiego Kościoła Prawosławnego Kijowskiego

Patriarchatu, której proboszczem był ks. Bogdan, pełniący tę funkcję do dziś, bardzo pozytywnie nastawiony do Kościoła katolickiego. Gdy wskutek starań odrodzonej parafii rzymskokatolickiej władze zwróciły dla jej potrzeb prezbiterium świątyni, obie wspólnoty użytkowały kościół razem. Prawosławni modlili się w nawie, a katolicy we wspomnianym prezbiterium. Czynili to w absolutnej zgodzie dając przykład, że ekumeniczne współzycie między wyznawcami najbliższych sobie Kościołów chrześcijańskich jest możliwe. Gdy prawosławni zbudowali własną świątynię i do niej się przeprowadzili, kiwerska wspólnota katolików przystąpiła do remontu kościoła. Prowadził go początkowo ks. Stanisław Pawlina, a następnie ks. Roman Burnik. W grudniu 1997 r. ówczesny wikariusz diecezji łuckiej bp Marcyan Trofimiak dokonał uroczystości poświęcenia odnowionego



34. Plebania w Kiwercach. Fot. ze zbiorów autora

z grubsza wnętrza świątyni. Wiosną następnego roku probostwo w Kiwercach objął ks. prałat Ludwik Kamilewski dziekan łucki. Kontynuował on remont świątyni i budowę domu parafialnego. Po jego wyjeździe na Żytomierszczyznę opiekę duszpasterską nad Kiwercami bp. Marcjań powierzył ks. Markowi Gmitrzukowi. Od niego obowiązek ten przejął w grudniu 2000 r. ks. Grzegorz Umiłowski. Swoją zaangażowaną posługą i postawą przyczynił się do ustabilizowania kiwerskiej wspólnoty, pozostając w jej wdzięcznej pamięci. We wrześniu 2004 r. obowiązki proboszcza przejął od niego ks. Bazyli Żyński, młody człowiek pochodzący z diecezji kamieniecko-podolskiej, mający bardzo ciekawą drogę do kapłaństwa. Pochodzi z polskiej biednej, ale głęboko religijnej rodziny ze Sławuty, która chcąc polepszyć swój byt, pracy musiała szukać w dalekim Kazachstanie, a później na Syberii. On sam urodził się w 1974 r. w Jakucku. Po kilkuletniej tułaczce za chlebem rodzice Bazylego wrócili do Sławuty sądząc, że tu łatwiej będzie wychować im po chrześcijańsku dzieci.

– W Sławucie nie było wprawdzie czynnego kościoła, ale w Połonnem odległym o 80 km funkcjonował promieniujący na całą okolicę – wspomina ks. Bazyli. – Jeździliśmy do niego z mamą. Później, gdy zaczęto budować świątynię w Szepetówce, mieliśmy bliżej. W końcówce lat osiemdziesiątych modlić się mogliśmy już w Sławucie. Spotykaliśmy się w domu pewnej babci, która zgodziła się przekształcić jego część w tymczasową kaplicę. Gdy zmarła, zburzyliśmy go i na jego miejscu, wypełniając ostatnią wolę staruszki, zaczęliśmy budować kaplicę. W 1989 r. poświęcił ją ks. Antoni Andruszczyszyn, który także w odrodzonej parafii został proboszczem. Od początku byłem jego ministrantem, szybko stając się jednym z głównych pomocników tego gorliwego kapłana. W dziesiątej i jedenastej klasie spędzałem u ks.



Antoniego całe dnie. Jeździliśmy po całym Wołyniu, gdzie wiernym udało się odzyskać świątynię i trzeba było dla nich odprawiać Msze św., pomagać w remontach itp. Byliśmy w Łucku, Równem, Klewaniu, Ostrogu, Sarnach i Korcu. Co niedzielę byliśmy w dwóch, trzech miejscowościach. Patrząc na pracę tego „bożego człowieka”, sam też postanowiłem zostać księdzem. Nie byłem jedynym ze Sławuty, który poczuł powołanie. W sumie ośmiu wychowanków ks. Antoniego ze Sławuty zostało księżmi, a dziesięć dziewcząt, w tym i moja młodsza siostra, siostrami zakonnymi. Ja już w 1992 r. wstąpiłem do Seminarium Duchownego, które śp. Bp Jan Olszański utworzył w Gródku Podolskim, niemal natychmiast po reaktywowaniu diecezji kamieniecko-podolskiej. Po sześcioletnich studiach otrzymałem święcenia diakonatu. Najpierw przez rok jako diakon pracowałem w historycznym Barze. W 1999 r. wyświęcono mnie na kapłana, kierując do parafii w Chmielniku. Tam znów przez rok pełniłem posługę wikarego. Następnie przez rok i siedem miesięcy posługiwałem w Chmielnickim, z którego w 2001 r. trafiłem do diecezji łuckiej. Najpierw pełniłem funkcję wikarego w łuckiej katedrze, by przed rokiem jako administrator objąć parafię w Kiwercach i Zaturcach. Początkowo mieszkalem przy katedrze, by niedawno przenieść się na własne „śmieci” do wykończonej plebanii przy kościele w Kiwercach.

– Zaczynając swoją posługę, dojeżdżałem do Kiwerc z Mszą św. i katechezą cztery razy w tygodniu w środy, piątki, soboty i w niedziele na Mszę św. – informuje. – W niedzielę jechałem też do Zaturzec odległych od Łucka o 45 km z Mszą św. i katechezą. Parafia w Kiwercach, jak zdążyłem się zorientować dojeżdżając do niej przez te kilkanaście miesięcy, nie jest zbyt duża. Na niedzielną Mszę św. przychodzi jakieś trzydzieści pięć, czterdzieści osób. Większość z nich to ludzie młodzi, potomkowie Polaków, którzy



mimo tragicznych przejść zdecydowali się pozostać na Wołyniu. Wśród wiernych jest też kilka rodzin czysto ukraińskich. Katolików ochrzczonych, bądź osób o katolickich korzeniach żyje w miasteczku oczywiście więcej. Trzeba ich jednak szukać. Jest to dla mnie główne zadanie, gdy na stałe zamieszkałem w Kiwercach. Obecnie wszyscy wiedzą co prawda, że parafia bez nich funkcjonuje, ale jakoś stronią przed włączeniem się do istniejącej przy niej wspólnoty. Należy ich do tego zachęcić, pokazać im drogę.

Ksiądz Bazyli nie adresuje swego orędzia oczywiście tylko do Polaków, czy osób o katolickich korzeniach. Według jego obliczeń do katolickiego kościoła, dwóch tutejszych cerkwi należących do patriarchatów Kijowskiego i Moskiewskiego, a także do protestanckich domów modlitwy uczęszcza najwyżej piętnaście procent mieszkańców miasteczka. Pozostali nie są związani z żadną religią czy Kościołem.

– To niewierzący będący produktem minionego systemu, który ich okaleczył, odzierając ze wszystkich duchowych wartości – mówi ks. Bazyli. – Trzeba im pokazać drogę do Pana Boga, prowadząc ewangelizację. Na Dobrą Nowinę czeka tysiące ludzi. Dlatego też w duszpasterstwie używamy języka ukraińskiego w pełni zrozumiałego dla wszystkich. W katechezie jest on wręcz niezbędny. Dzieci i młodzież nawet wywodzące się z czysto polskich rodzin, nie znają niestety już polskiego języka. Pod względem narodowym kiwerscy Polacy nie są aktywni. O ile w drugiej mojej parafii w Zaturcach istnieje np. oddział Stowarzyszenia Kultury Polskiej im. Ewy Felińskiej na Wołyniu, to w Kiwercach nie ma niestety nic.

Głównym problemem parafii, tak jak i innych na Wołyniu są oczywiście finanse, a raczej ich brak. Bez pomocy różnorodnych ofiarodawców i dobroczyńców nie mogłaby nawet

marzyć o jakichkolwiek inwestycjach, a zwłaszcza o wzniesieniu plebanii.

– Za pożyczone pieniądze wykonaliśmy w kościele posadzkę i doprowadziliśmy do niego gaz, dzięki czemu będziemy go mogli zimą ogrzewać – wylicza ks. Bazyli. – To bardzo ważne, bo jest on w dalszym ciągu zawilgocony i trzeba go osuszać. Na jednej ze ścian pojawił się grzyb.

Pomimo, że w kiwerskiej świątyni zrobić trzeba jeszcze bardzo dużo, to już teraz niewątpliwie stanowi ona godny Dom Boży, w którym są odpowiednie miejsca do modlitwy.

– Każdy z moich poprzedników starał się coś zrobić i zostawić po sobie materialny wkład – przyznaje ks. Bazyli. – Dzięki temu mamy w świątyni m.in. piękny konfesjonał, będący pamiątką Jubileuszu dwóch tysiącleci chrześcijaństwa, a także organy ofiarowane przez jedną z parafii z Niemiec. Wymieniała ona swój instrument na nowy i przekazała nam stary, który będzie jeszcze służył przez kilka lat.

Pomimo różnorodnych trudności ks. Bazyli optymistycznie ocenia przyszłość parafii w Kiwercach.

– Wraz z moim przyjściem skończył się tymczasowy okres w życiu tutejszej wspólnoty – podkreśla. – Będzie w niej teraz prowadzone regularne, systematyczne duszpasterstwo, które powinno wydać owoce.

Ksiądz Bazyli nie ukrywa, że liczy również na wsparcie z Polski. Niedawno wykorzystując fakt, że Kiwerce nawiązały partnerską współpracę z Tomaszowem Lubelskim zadzierzgnął kontakty z parafiami w tej miejscowości. Odwiedził obu dziekanów i burmistrza.

## ROŻYSZCZE I DUBISZCZE

---

Następną stacją kolejową za Kiwercami są Rożyszcze, osiedle typu miejskiego liczące około 14 tys. mieszkańców. Miejscowość ta znana jest od 1377 r. Wtedy należały do Litwy. W 1569 r. przeszły do Korony. Z nadania księcia Lubarta było Rożyszcze centrum dóbr włądyków ruskich. Miasteczko było trzykrotnie lokowane. W 1777 r. zamieszkał w nim biskup Cyprian Stecki – egzarcha metropolii ruskiej. Z czasem właścicielami Rożyszcz zostali Strojnowscy, potem Bagration Imertyński, a następnie rodzina Siemiątkowskich.

W XIX w. była w Rożyszczach katolicka kaplica należąca do pobliskiej parafii Wiszenki. Samodzielną parafię powołano w osadzie późno, bo dopiero w 1921 r. Jej murowany kościół powstawał etapami. Zaczęto go wznosić w 1921 r., by trzy lata później zakończyć jego budowę w stanie surowym. Po odejściu z parafii proboszcza ks. Telesfora Kawczyńskiego, wykańczaniem świątyni zajął się jego następca ks. Jerzy Zwoliński. W 1931 r. kościół został konsekrowany przez bpa Stefana Walczykiewicza sufragana łuckiego. W kościele tym był już wtedy umieszczony obraz Miłosiernego Pana Jezusa Tarnorudzkiego, który podobnie jak wizerunek Matki Bożej Łatyczowskiej dzielił losy Polaków Podola, którzy z wyroku historii pozostali poza granicą II Rzeczypospolitej. Z Tarnorudy przez Tarnopol, Kraków i Łuck „Chrystus-Tułacz” trafił do Rożyszcz w 1929 r. Z Łucka był do nich niesiony w uroczystej procesji. Jego umieszczenie w rożyskim kościele sprawiło, że kult tego wizerunku na Kresach znów odżył. W 1937 r. parafia liczyła 3572 wiernych. W jej skład



35. Fasada kościoła w Rożyszcach. Fot. ze zbiorów autora

oprócz Rożyszcz wchodziło jeszcze 47 mniejszych miejscowości.

Same Rożyszcze według „Ilustrowanego Przewodnika po Wołyniu” dra Mieczysława Orłowicza prezentowały się na tle innych osad wołyńskich całkiem nieźle. Z uwagi na to, że mieszkało w nich wiele Niemców ewangelików było dobrze zorganizowane i należało do najczystszych. Posiadało oświetlenie elektryczne, kino, dwa hotele, restaurację, kawiarnię, a także kościół, synagogę i cerkiew.

Tuż przed II wojną światową miasto liczyło 6470 mieszkańców, w tym 63 proc. Żydów. Resztę stanowili Polacy, Ukraińcy i Niemcy. W 1938 r. parafia w Rożyszczach została też podzielona. Część wiosek, które do niej należały przekaza-

zono do nowo utworzonej wspólnoty w Perespie, proboszczem której mianowano ks. Wojciecha Krasnowskiego.

W czasie II wojny proboszczem parafii w Rożyszczach był ks. Michał Prażmowski. Tuż przed wkroczeniem sowietów ukraińscy nacjonaści dokonali licznych mordów, robiąc swoisty „zwiastun” swoich zamiarów i możliwości. Do momentu wkroczenia wojsk niemieckich w 1941 r. NKWD deportowało do Kazachstanu z Rożyszcz 90 osób, wywiezionych czterema wagonami. Tyle wynika z „Meldunku NKWD USRS z zestawienia zapotrzebowania na tabor kolejowy do przewozu wysiedlanych rodzin osób represjonowanych”. Liczba ta nie oddaje zapewne ilości wszystkich aresztowanych i zesłanych, zwłaszcza w późniejszym okresie, ale szacunki mówiące o tysiącach deportowanych wydają się przesadzone. Świadczy o tym m.in. siła stworzonej później przez polską społeczność w Rożyszczach samoobrony.

Po wkroczeniu Niemców na Wołyń Rożyszcze były w miarę bezpieczne. Stacjonował w nich bowiem niemiecki garnizon. Polacy szybko zorganizowali też na terenie całej parafii oddział samoobrony. Na jego czele stanął miejscowy nauczyciel ppor. Jan Garczyński „Gryf” vel „Lama”. Pracował w punkcie skupu zboża i poprzez kontakty z licznymi rolnikami rozszerzał organizację na sąsiednie wsie. Stworzył on system obrony polskich wsi, który w praktyce okazał się dość skuteczny. W rejonie Rożyszcz nie doszło do masowych mordów ludności polskiej. Jest to zasługa dobrej współpracy Rożyszcz z sąsiednimi placówkami samoobrony, m.in. w Perespie, na czele której stał ks. Wojciech Krasnowski i placówka w parafii Wiszenki, którą zorganizował ks. Stanisław Dąbrowski.

Oddział samoobrony nie dopuścił też do zajęcia Rożyszcz przez UPA w 1944 r., gdy w wyniku cofania frontu opuścił je

niemiecki garnizon. Sowieci po zajęciu miasteczka początkowo bardzo nieufnie odnosili się do Polaków. Rozwiązali ich samoobronę i aresztowali niektórych jej członków. Forowali Ukraińców, chcąc stworzyć z nich struktury cywilnej administracji. Gdy okazało się, że stanowią oni „piątą kolumnę UPA”, władze sowieckie utworzyły w Rożyszczach „Istriebitielnyj batalion”. Podniosło to znacznie poziom bezpieczeństwa polskiej ludności. Szerzej o jego działalności pisze Adam Peretiatkowicz w „Polskiej Samoobronie w okolicach Łucka”. Uczestnicząc w walkach z UPA, wielu jego członków poległo i zostało uroczystie pochowanych na placu przed kinem. Spoczywają tam po dzień dzisiejszy.

W maju 1945 r. Polacy musieli jednak Rożyszcze opuścić. W lipcu tegoż roku ich transport dotarł do Paśłka. Każdy z nich jechał z obrazkiem Pana Jezusa Tarnorudzkiego,



36. Pierwsza komunia św. w Rożyszczach. Fot. ze zbiorów autora

otrzymanego przed wyjazdem od proboszcza Michała Prażmowskiego. Z rodzinnej miejscowości oprócz dobytku zabrali wyposażenie kościoła, cenne przedmioty kultu, trzy zabytkowe obrazy i rzeźbę Madonny z Dzieciątkiem. Cudowny Obraz Pana Jezusa Tarnorudzkiego zabrał ze sobą do Malborka ks. Michał Prażmowski.

Władze sowieckie zamknęły po wyjeździe Polaków kościół w Rożyszczach, zamieniając go w stajnię dla koni. Następnie umieściły w nim magazyn żywności. W efekcie ich gospodarowania w świątyni została ona zdewastowana popadając częściowo w ruinę. Jej wnętrze przebudowano. W bocznych ścianach wykuto drzwi.

W 1992 r. staraniem ówczesnego dziekana łuckiego ks. Ludwika Kamilewskiego w Rożyszczach zarejestrowano po-



37. Pamiątkowe zdjęcie we wnętrzu kościoła w Rożyszczach. Fot. ze zbiorów autora



nownie parafię. Wspólnocie tej szybko udało się odzyskać świątynię. W 1993 r. ówczesny bp pomocniczy archidiecezji lwowskiej Marcján Trofimiak dokonał jej poświęcenia. Duszpasterstwo w parafii prowadził wówczas ks. Marek Gmitrzuk. Od niego obowiązki administratora parafii przejął ks. Czesław Tworko. Kapłan ten jednak poważnie zachorował na serce i musiał wrócić do Polski, gdzie niestety w 1997 r. zmarł. Probostwo w Rożyszczach ponownie objął ks. Marek Gmitrzuk. Po nim, gdy wyjechał na studia do Rzymu proboszczem mianowano ks. Romana Burnika, który duszpasterzuje w nich po dzień dzisiejszy, wykonując w diecezji jeszcze inne obowiązki. Mieszka już w nowej plebanii



38. Pamiątkowa fotografia z ks. Romanem Burnikiem. Fot. ze zbiorów autora

wzniesionej obok kościoła, w której ma nie tylko niezłe warunki do życia, ale również do przeprowadzenia pracy duszpasterskiej. W budynku jest bowiem obszerna sala mogąca służyć zarówno do spotkań parafialnych, jak i katechezy. Sam kościół jest już w miarę odremontowany i prezentuje się całkiem niezle.

Ksiądz Roman podobnie jak ks. Jerzy z Ołyki pochodzi z Tarnopolszczyzny, jest więc również kapłanem miejscowym. W toku rozmowy sam się śmieje, że bez trudu można poznać to po jego akcencie. Nie jest zbyt rozmowny i trzeba go ciągnąć za język, by coś się od niego dowiedzieć.

– Po studiach w Wyższym Seminarium Duchownym Diecezji Lubaczowskiej i święceniach w 1996 r. trafiłem na Wołyń – wspomina. – Pracowałem wcześniej krótko w Rożyszczach, Kiwercach, Ołyce, Hołobach i Beresteczku. Tam po prostu, gdzie brakowało kapłanów, byłem kierowany przez ordynariusza. Parafii w Rożyszczu proboszczuję już kilka lat. Udało mi się dokończyć remont świątyni i budowę plebanii. Staram się również wzmacniać i cementować tutejszą wspólnotę, co niestety nie jest zadaniem łatwym. Gdy zaczynałem swoją posługę w Rożyszczach, wspólnota liczyła w nich około dwustu osób. Tyle osób zawsze przychodziło do kościoła na Boże Narodzenie i Wielkanoc. Dziś czyni to pięćdziesięciu wiernych mniej. Nie znaczy to jednak, że zerwali z Kościołem. Wyjechali po prostu za chlebem do południowej Europy, głównie Włoch, Hiszpanii i Portugalii. Wątpię, by wrócili. Obecnie w niedzielnej Mszy św. uczestniczy od czterdziestu do sześćdziesięciu osób. Reprezentują oni różne zawody i grupy społeczne. Są wśród nich lekarze, nauczyciele, urzędnicy, jak i ludzie prości często nie mający pracy, z trudem wiążący koniec z końcem. W parafii jest też trochę dzieci i młodzieży. Dzieci uczestniczy w jej życiu więcej. Młodzież bowiem po ukończeniu szkoły średniej idzie

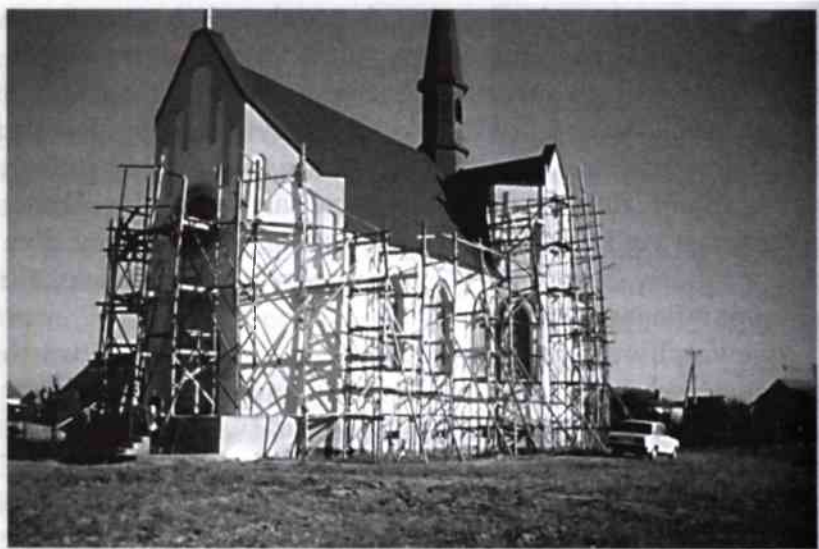
na studia na różnych ukraińskich uczelniach i niezmiernie rzadko wraca w rodzinne strony, tracąc więc z naszą wspólnotą. Nie widzi po prostu dla siebie w Rożyszczach żadnej przyszłości. Wierzę jednak, że kiedyś ta sytuacja poprawi się. Generalnie trzeba podkreślić, że sytuacja wspólnoty powoli się stabilizuje. Rozwija się w niej życie sakramentalne. Dzieci uczęszczają na katechezę. W roku ubiegłym mieliśmy dwa chrzty i jeden ślub. Z polskiej perspektywy to niewiele, ale nasza parafia jest przecież nieduża.

Niewątpliwym potwierdzeniem, że w Rożyszczach warto pracować jest fakt, że wydały już one kapłana. Wywodzący się z nich Aleksander Hamalijczuk po święceniach został proboszczem w Dubnie i Beresteczku. Jego przykład potwierdza, że są w miasteczku ogniska żywej wiary, które trzeba podtrzymywać i rozniecać.

Oprócz parafii w Rożyszczach ks. Burnik obsługuje także wspólnotę w Dubiszczach, wsi która do 1945 r. do niej na-



39. Kościół parafialny w Dubiszczu. Fot. ze zbiorów autora



40. Budujący się kościół w Dubiszczu. Fot. ze zbiorów autora

leżała. Jest to mała miejscowość, do której po katastrofie w Czarnobylu przesiedlono około tysiąca osób z terenów skażonych promieniotwórczą erupcją. Zbudowano dla nich 350 domów. Z czasem okazało się, że część przesiedleńców to osoby o polskich korzeniach będących katolikami. Pierwsze Msze św. odprawiał dla nich ks. Marek Gmitrzuk w mieszkaniach prywatnych. Prosiły go o to najstarsze babcie, które opowiedziały mu, że są Polakami z krwi i kości i w swojej miejscowości na Żytomierszczyźnie miały kościół, w którym modliły się. Zrobiły to od razu po przyjeździe, udając się specjalnie do Łucka. Parafia formalnie w Dubiszczach została zarejestrowana w 1995 r. Przez trzy lata jej wierni modlili się w domach prywatnych. Nie było ich wiele, dziesięć, góra piętnaście osób. Gdy parafię w Rożyszczach

objął ks. Roman Burnik, załatwił u głowy rady wiejskiej zgodę na modlitewne spotkania w miejscowym domu kultury. Udostępnione pomieszczenie było większe, co szybko spowodowało, że ilość wiernych uczestniczących we Mszach św. znacznie się zwiększyła. Ksiądz Roman podjął oczywiście u władz starania o zgodę na budowę kościoła, ale okazało się, że to nie takie proste.

– Przez trzy lata prowadziłem pertraktacje z ówczesnymi urzędnikami w sprawie lokalizacji świątyni – mówi. – Proponowali, byśmy zbudowali ją gdzieś na skraju wsi, na leśnej polanie, byle dalej od miejsc, w których mieszkają Polacy. W końcu jednak zgodzili się, byśmy zbudowali kościół w samym centrum wsi. Obecnie każdy, kto do niej wjeżdża widzi go z daleka. Niestety tamtejsza wspólnota po okresie wzrostu rozwija się bardzo powoli. W niedzielnej Mszy św. uczestniczy około 50 osób. Jest to efekt wielu czynników. Starsze babcie w Dubiszczach czują się źle twierdząc, że sta-



41. Ks. Roman Burnik z parafianami w Dubiszczu. Fot. ze zbiorów autora

rych drzew z korzeniami się nie przesadza. Wiele z nich wróciło do dawnego miejsca zamieszkania, by tam złożyć swoje kości. Młodzi także emigrują z Dubiszcz na dawne tereny zamieszkania, tu bowiem nie mają szans na znalezienie pracy. W efekcie wspólnota w tej miejscowości nie rozwija się zbyt dynamicznie. Mam jednak nadzieję, że ma ona przed sobą przyszłość. W tym roku do I Komunii św. przystąpi czternaścioro dzieci.

Każdy, kto przyjedzie do Dubiszcz i spojrzy na strzelistą wieżę górującą nad całą osadą z pewnością podzieli optymizm ks. Romana. Patrząc na nią z bliska spogląda się w niebo, którego widok człowieka wierzącego musi napaść optymizmem.

# RADZIWIŁŁOWSKA OŁYKA

---

Jadąc do Ołyki z Łucka aż trudno uwierzyć, że była niegdyś jedną z najznamienitszych siedzib magnackich na Wołyniu i stolicą potężnej ordynacji książąt Radziwiłłów, należących do linii ołyckiej. Miejscowość nie leży nawet przy głównym trakcie z Łucka do Równego. Na 35 kilometrze trzeba z niego zjechać, by poprzez pagórki i doliny po 12 kilometrach, mijając niewielkie wioski dojechać do Ołyki. Patrząc na nią przez szyby samochodu zgodzić się trzeba z Józefem Ignacym Kraszewskim, który w swoim reportażu z tej miejscowości zamieszczonym następnie we „Wspomnieniach z Wołynia, Polesia i Litwy” napisał, że: *Ołyka oprócz zamku, nie jest piękna, ale ma dość wiele dawnych budowli i pamiątek*. Na Ołyce bardziej niż na Nieświeżu odcisnął swój ślad walec historii.

Dziś Ołyka, będąca formalnie osiedlem miejskiego typu, licząca niespełna cztery tysiące mieszkańców też sprawia senne wrażenie. Tylko przyjazdy pielgrzymek i wycieczek z Polski sprawiają, że w centrum osady zaczyna się coś dziać.

O dawnej wspaniałości Ołyki przypomina pałac, powstały z przebudowy pierwotnego zamku, stojący w rozlewiskach rzek Miłowiczki i Putylówki. Wzniósł go Mikołaj Radziwiłł Czarny, marszałek wielki litewski, który otrzymał od cesarza Karola V tytuł „księcia na Ołyce i Nieświeżu”, potwierdzony przez króla Zygmunta Augusta. Dzisiejsze miasteczko zostało założone przez Piotra Janowicza Montygerdowicza herbu „Wadwicz” zwanego „Białym”, wojewodę trockiego, dziedzica także Nieświeża w XV w., czyli



w czasach, gdy Ruś od dawna znajdowała się we władaniu Litwy. Później drogą rodzinnych koligacji przeszła w ręce Kiszków, a w 1523 r. Radziwiłłów. Wtedy zaczął się okres jej dynamicznego rozwoju. Świadczy o tym fakt, że w 1564 r. otrzymała prawa miejskie.

Rozbudowy ołyckiego zamku dokonał w 1640 r. Albrycht Stanisław Radziwiłł, kanclerz wielki litewski. O tym, że zrobił to dobrze świadczy fakt, że w czasie rebelii Chmielnickiego skutecznie odparła kilka oblężeń. Wtedy Ołyka przeżywała okres największego rozkwitu, stając się ośrodkiem życia kulturalnego, naukowego i religijnego na Wołyniu, a także promieniującym na całą okolicę ośrodkiem łacińskiej kultury. Świadectwem tego jest m.in. niewielki kościółek pw. św.św. Piotra i Pawła, będąca najstarszym zabytkiem budownictwa łacińskiego na terenie Wołynia.

Dowodem potwierdzającym religijność Radziwiłłów jest oczywiście ołycka kolegiata, uważana przez znawców za najpiękniejszy kościół Wołynia ufundowany przez Księcia Albrychta Stanisława Radziwiłła. Świątynię tę konsekrowano w 1640 r., a rok później podniesiono do godności kolegiaty. Kapituła istniała przy niej aż do 1945 r. Obok kolegiaty powstała też w Ołyce Akademia wraz z seminarium, wzorowana na innych tego typu placówkach funkcjonujących w innych dobrach radziwiłłowskich. Ówczesni władarze Ołyki wyposażyli też swoją miejscowość w szpital, dostępny dla wszystkich.

W XVIII w. Ołyka straciła militarne znaczenie. W 1760 r. została przebudowana na barokową rezydencję. W latach 1812–1836 zajęta przez Rosjan pełniła funkcję szpitala wojkowego. Radziwiłłowie powrócili do Ołyki dopiero w 1883 r. Podjęli wówczas trwający 30 lat remont, który przywrócił pałacowi dawny blask. W czasie I wojny światowej ponownie doznał on niestety wielu zniszczeń. Jego restauracji pod-



42. Wnętrze kościoła pw. Świętych Apostołów Piotra i Pawła w Ołyce.  
*Fot. ze zbiorów autora*

jął się książę Janusz Franciszek Radziwiłł, XIII ordynat ołycki uważany za głowę ziemiaństwa II Rzeczypospolitej, konserwatysta, polityk i wielki patriota. Był posłem, a później senatorem. W 1929 r. wartość jego majątku szacowano na 34–110 mln zł. W 1936 r. należało do niego 41 tys. ha., wchodzących w skład ordynacji ołyckiej. Specjalizowała się ona w gospodarce drzewnej, oparciem dla której były bardzo dobrze zagospodarowane lasy, a także tartak w Cumaniu. Chlubą ordynacji była też hodowla bydła, owiec merynosów i koni.

● Swojej fortuny Radziwiłłowie nie używali oczywiście wyłącznie do własnych celów. Edmund stworzył w Ołyce Spółdzielnię Mleczarską, której wyroby eksportowano za

granicę. Jej członkami byli nie tylko miejscowi Polacy, ale także Ukraińcy. Książę Janusz dbał też o sprawy socjalne pracowników ordynacji. Uruchomił w Ołyce przedszkole dla zatrudnionych w niej kobiet, a także dwa szpitaliki. Jeden w Ołyce, a drugi w Cumanii. Dzięki księciu Januszowi, jak i jego synowi na terenie ordynacji umacniała się również polskość. Powstało na jej terenie kilkadziesiąt kolonii i osad zamieszkanych wyłącznie przez Polaków zatrudnionych w majątkach wchodzących w jej skład.

Tylko do samej parafii Ołyka wchodziły 64 niewielkie miejscowości, w których łącznie z jej siedzibą mieszkało w 1937 r. 5817 Polaków–katolików.

Popierając polskość Radziwiłłowie nie dyskryminowali jednak innych narodowości: Ukraińców, Żydów i Czechów. Wprost przeciwnie. Wszyscy mieszkańcy ordynacji odnosili się do właścicieli ordynacji z ogromnym szacunkiem. Świadczy o tym fakt, że w 1936 r. Edmund Radziwiłł został wybrany na wójta gminy Ołyka. Głosy na niego oddało 92 proc. mieszkańców.

Duże sumy pozyskane z ordynacji Radziwiłłowie łożyli też na utrzymanie substancji zabytkowej Ołyki, czyli pałacu i wspianiałej kolegiaty. Książę Janusz osobiście czuwał nad rewaloryzacją rodowej siedziby i świątyni. Trwały one praktycznie do 1939 r. i zostały wykonane w 80 proc. W ich toku unowocześniono wnętrza, wyposażając je w centralne ogrzewanie, instalację wodociagową i elektryczną. Droga zakupów Radziwiłłowie uzupełnili też majątek ruchomy i dzieła sztuki, w tym obrazy i gobeliny. Radziwiłłom udało się również odzyskać znaczną część biblioteki, wywiezioną podobnie jak większość cennych przedmiotów z zamku i kolegiaty po wybuchu I wojny światowej do Moskwy. Było wśród nich wiele inkunabułów, starych druków i rękopisów, najczęściej nieznanymi i nie wykorzystywanymi.

Wielkie środki Radziwiłłowie wydawali na konserwację kolegiaty, pełniącej także rolę świątyni parafialnej i rodzinnej nekropolii. Znajdowały się w niej liczne grobowce Radziwiłłów ołyckich. Jej wnętrze było dekorowane rzeźbą i elementami snycerskimi. Wisiało w niej wiele cennych obrazów. Wczesnobarokowe ołtarze kolegiaty były rzeźbione w marmurze i alabastrze. Uwagę w kolegiacie zwracały też liczne epitafia z marmuru i kolorowego alabastru.

Kres Ołyki, jako siedziby ordynacji nastąpił w 1939 r., gdy 18 września w kilka dni po wyjeździe z niej w kierunku Rumunii prezydenta Ignacego Mościckiego wkroczyli Sowieci. Książę Janusz wraz z synem nie opuścili Ołyki, trwając na posterunku. Zdawał sobie sprawę, że decyzja ta może kosztować ich życie, ale oświadczył, że z kraju nie wyjadą. 18 września obaj zostali aresztowani. NKWD zwołało nad nimi trybunał ludowy licząc, że z woli ludu ich powiesi. Jakie było zaskoczenie czekistów, gdy ze stu sędziów zaledwie dwóch uznało, że Radziwiłłowie zasługują na gałąź. Był to przypadek absolutnie bez precedensu. Po tym nieudanym procesie książę Janusz przez więzienia w Równem i Szepe-tówce trafił aż na Łubiankę, a ks. Edmund jako oficer rezerwy do Kozielska. Księcia Radziwiłła przesłuchiwał sam Ławrientij Beria. W grudniu 1939 r. gospodarze Ołyki zostali zwolnieni, wskutek interwencji włoskiej rodziny królewskiej, a także petycji ukraińskiego chłopstwa z ordynacji, które zwróciło się z nią do Moskwy.

Radziwiłłowie nie mogli oczywiście wrócić do Ołyki i wyjechali do Warszawy. Ich pałac został doszczętnie ogołocony ze wszystkich wartościowych dzieł sztuki i dóbr materialnych, które władze sowieckie przekazały do muzeów, w tym do placówki w Łucku. Parafia mogła funkcjonować w dalszym ciągu. Jej proboszczem był ks. Stanisław Woronowicz. Kres jej istnienia, a tym samym polskości w Ołyce

nastąpił w styczniu 1944 r., gdy zbliżał się do niej front. Wtedy to garnizon niemiecki stacjonujący w zamku Radziwiłłów opuścił miasteczko i bandy UPA, grasujące od dawna w całej okolicy i mordujące Polaków na terenie gminy przystąpiły do głównego uderzenia. Polska samoobrona nie chcąc dopuścić do wymordowania Polaków, zgromadziła wszystkich w zamku i wysłała gońca do placówki AK w Przebrażu z prośbą o pomoc. UPO-wcom udało się tylko zamordować 37 osób. Na wieść o idącej dla Polaków odsieczy, uciekli w popłochu. Po przybyciu oddziału z Przebraża wszyscy Polacy ewakuowali się z dobytkiem do tej miejscowości. Tuż przed opuszczeniem Ołyki na zawsze, członkowie samoobrony odegrali na dziedzińcu pałacu hymn naro-



43. Ks. Jerzy Pohnerybka głoszący Słowo Boże. Fot. ze zbiorów autora

dowy z przypadkowo znalezionej patefonu płyty, podchwycony przez wszystkich przygotowujących się do wymarszu Polaków.

Po II wojnie światowej w zdewastowanym pałacu władze umieściły szpital psychiatryczny, a kolegiatę potraktowały jako źródło cennych materiałów budowlanych. Całe jego wnętrze łącznie z posadzką obrabowano do gołych murów. Część wyposażenia świątyni trafiło do muzeów w Łucku i Lwowie. Rozbito i zbezczeszczone też grobowce Radziwiłłów, a ich kości rozwłóczono po otoczeniu kościoła. Tradycje radziwiłłowskiej Ołyki uległy zapomnieniu. Zaczęły one odradzać się dopiero w latach dziewięćdziesiątych. Wtedy to staraniem ks. Ludwika Kamilewskiego z Łucka zarejestrowano w Olyce ponownie katolicką parafię. Udało mu się zebrać grupę katolików, którzy do Ołyki trafili z nakazami pracy z Lwowszczyzny i Tarnopolszczyzny. Nie była ona duża, ale dla formalnego zalegalizowania wspólnoty wystarczająca. Władze przekazały jej obie świątynie. Zarówno kolegiatę, jak i malutki kościółek św. Piotra i Pawła. Przez kilka lat proboszczem wspólnoty był ks. Jerzy Nagórny, który przejął od ks. Kamilewskiego prowadzenie remontów obu świątyń i obowiązki formowania odrodzonej wspólnoty. Dzięki wsparciu z Polski, Konsulatu RP we Lwowie oraz środowiska polskich i ukraińskich historyków sztuki udało się odnowić mały kościół i zabezpieczyć przed zniszczeniem kolegiatę. Został wymieniony na niej dach. W trakcie rewalizacji murów otaczających świątynię udało się też zbudować wchodzące w ich ciąg pomieszczenia zaadaptowane na plebanie. Przed rokiem wprowadził się do nich ks. Jerzy Pohnerybka, dla którego Ołyka jest pierwszą proboszczowską placówką. Dzięki temu kolegiata ma stałą opiekę.

Turyści odwiedzający Olykę nie muszą już zaglądać do kolegiaty przez szparkę w drzwiach. Mogą liczyć, że zostaną



nie tylko wpuszczeni do wnętrza kolegiaty, ale i fachowo oprowadzeni po niej, a także po całym miasteczku i zamku Radziwiłłów.

Parafianie ks. Jerzego mogą też w każdej chwili przyjść do swojego proboszcza w różnych sprawach, nie tylko dotyczących kwestii religijnych.

– Muszę przyznać, że często zaglądam do mnie, by porozmawiać o swoich codziennych kłopotach i problemach – przyznaje ks. Jerzy. – Dzielą się swoimi radościami i kłopotami. Proszą o radę w różnych sprawach. Zapraszają też do siebie, żebym popatrzył i ocenił, czy to co robią, będzie dobre. Choć jestem młody, uważają mnie za autorytet. Udało mi się też ułożyć stosunki z miejscowymi władzami. Traktują mnie w sposób normalny, bez jakiejś dyskryminacji czy uprzedzeń. Ze strony tutejszych mieszkańców także nigdy nie doznałem żadnych nieprzyjemności. Po Ołyce bez problemu mogę chodzić w sutannie, nie narażając się na żadne docinki czy przykrości. Czasem słyszę tylko za moimi plecami odzywki w stylu, choć on katolicki ksiądz, ale nasz. W tym słowie „nasz” tkwi odpowiedź na pytanie, dlaczego ks. Jerzy tak szybko został w Ołyce zaakceptowany. Jest on kapłanem miejscowym, pochodzącym podobnie jak obecny łucki ordynariusz z Tarnopolszczyzny. Urodził się i wychował w samym Tarnopolu. Ochrzcił go legendarny ks. Bronisław Mirecki, posługujący w Hałuszczyńcach, kapłan męczennik, nędzarz i misjonarz, który przez wiele lat był jedynym duchownym na Tarnopolszczyźnie. Wyższe Seminarium Duchowne ukończył w Lublinie. Następnie przez kilka lat był diakonem przy biskupie Marcjanie Trofimiaku. Po wyświęceniu w 2003 r. na kapłana przez rok pełnił funkcję wikarego parafii w Zdobunowie, a w 2004 r. został proboszczem w Ołyce, otrzymując jednocześnie pod opiekę dwie dojazdowe parafie w Cumaniu i Klewaniu. O jednej z tych





44. Ks. Jerzy Pohnerybka udzielający Chrztu św. Fot. ze zbiorów autora

dwóch wspólnot przypomina wisząca w saloniku ks. Jerzego kopia Cudownego Obrazu Matki Bożej Klewańskiej, której oryginał wisiał do 1945 r. w kościele w Klewaniu.

Wchodząc do ks. Jerzego trzeba się najpierw przywitać z psem radośnie obszczekującym wszystkich gości. Ten obronny pit-bul wzbudzający respekt już swoim wyglądem łąsi się do wszystkich, merdając ogonem. Pełni on raczej rolę parafialnej maskotki niż agresywnego stróża... Ksiądz Jerzy twierdzi, że rozdziadowali go turyści z Polski, z których każdy chce go pogłaskać i wytargać za uszy.

W swojej plebanii znajdującej się, jak wcześniej zaznaczono, w odtworzonym fragmencie murów, otaczającym kolegiatę od strony stawu ks. Jerzy mieszka sam. Dzięki po-

mocy rodziny udało mu się zagospodarować jej gołe mury. Trzy amfiladowe pokoje wraz z zapleczem kuchennym i sanitarnym są funkcjonalne, choć zimą jest w nich raczej chłodno.

– Po pierwszej zimie musiałem bardzo szybko zmieniać kocioł w centralnym ogrzewaniu – śmieje się ks. Jerzy. – Odbudowane pomieszczenia ze względu na swój kształt, grube mury, niewielkie okna, przez które wpada niewiele promieni słonecznych są bardzo trudne do ogrzania. Bywały noce, że temperatura wynosiła w nich zaledwie plus cztery stopnie Celsjusza. Osiem stopni ciepła to był swoisty rekord. Spałem w ubraniu pod dwoma kołdrami...

W toku pierwszej zimy ks. Jerzy przekonał się też, że posługiwanie w Ołyce nie należy do łatwych. Po większych opadach śniegu Ołyka pomimo, iż leży stosunkowo niedaleko od międzynarodowej trasy, stała się odcięta od świata. Bocznej drogi do niej prowadzącej nikt bowiem nie odśnieża i była nieprzejezdna. Przez wiele dni nikt do miasteczka nie dowoził chleba i innych artykułów. Gdyby nie parafianie, którzy piekli chleb sami, byłbym pozbawiony pieczywa.

– Bywały dni, że po zawiejach wyłączono także prąd, a następnie telefon i nie mieliśmy żadnego kontaktu z sąsiadami – śmieje się ks. Jerzy. – Zima ta zmieniła moje wyobrażenie o pracy na Wołyniu. Zwłaszcza, że wskutek mrozu pękła jeszcze rura i plebania została pozbawiona wody. Sytuacja ta trwała przez wiele tygodni i nikt z zewnątrz tym się nie przejmował. O dojeździe do dwóch swoich pozostałych parafii mogłem tylko pomarzyć.

Ks. Jerzy w swoich apartamentach gospodarzy sam. Parafia jest bowiem zbyt mała, by było go stać na zatrudnienie gospodyni. Liczy zaledwie pięćdziesięciu wiernych i wciąż w zasadzie znajduje się na etapie formowania swojej tożsamości. Dla kapłana z Polski przywykłego do pracy z tłu-



45. Ks. Jerzy Pohńerybka. Fot.  
ze zbiorów autora

mami, praca w Ołyce z pewnością byłaby stresująca. Ksiądz Jerzy jednak dobrze się tu czuje.

– Wspólnota jest wprawdzie nieliczna, ale pobożna – podkreśla o. Jerzy. – Tutejsi ludzie jeżeli już zdecydują się wierzyć, to traktują swoją deklarację bardzo serio. Zawsze mogę na nich liczyć. Jest to tym bardziej godne podkreślenia, że większość z nich to Ukraińcy bez polskich korzeni. Ludzi starszych jest też wśród nich niewielu, dominują dzieci i młodzież. Na samą katechezę uczęszcza od 27 do ponad trzydziestu dzieci.

– Ostatnio na katechezę przyszły trzydzieści dwa dzieciaki – podkreśla ks. Jerzy. – Dla niektórych jest to spory wy-

silek. Takie Ryczany także wchodzące w skład naszej parafii są oddalone od Ołyki o kilkanaście kilometrów. Dzieci rowarami starają się z niej do nas dotrzeć. Nawet jak jest zła pogoda.

Podporą ks. Jerzego w ołyckiej parafii jest pani Roksana, organistka, mająca także ukończone studia katechetyczne. Jej śpiew jest ozdobą każdej liturgii. Codziennie Msze św. ks. Jerzy odprawia w „małym kościółku”. W kolegiacie nabożeństwa „organizuje” trzy razy do roku. Na Boże Narodzenie, Wielkanoc i w odpustową uroczystość Trójcy Przenajświętszej. Słowo „organizuje” jest jak najbardziej na miejscu. Eucharystię w kolegiacie trzeba specjalnie przygotowywać. Jej wnętrze w dalszym ciągu przedstawia sobą obraz nędzy i rozpacz. Niewielkiej wspólnoty nie stać na podjęcie jakichkolwiek prac renowacyjnych. W środku kolegiaty nie ma nawet posadzki. Trzeba chodzić po żółtym piasku, którymi jej wnętrze jest wysypane.

– Być może latem będziemy częściej modlić się w kolegiacie – przypuszcza ks. Jerzy. – Jest w niej już ołtarz, teraz przywiozłem ławki, by wszyscy uczestniczący we Mszy św. mogli usiąść. Posadzkę wyłożymy gałązkami z lasu i będziemy się modlić. Na Msze św. przychodzi bowiem coraz więcej ludzi i bywa, że w małym kościółku wszyscy się nie mieszczą. Radziwiłłowska kolegiata powinna też żyć służąc celom, do których została zbudowana. Jej wnętrze, choć zniszczone i wyglądające na pozór strasznie jest jednocześnie piękne. Ołykę odwiedza też wielu gości z Polski, którzy chcą się pobożnie pomodlić w radziwiłłowskiej świątyni i trzeba im stworzyć do tego podstawowe warunki. Większość z nich przez drobne ofiary pomaga nam w drobnych pracach zabezpieczających prowadzonych wewnątrz świątyni.

Jeśli chodzi o przyszłość parafii, ks. Jerzy jest optymistą. Jego zdaniem z pewnością ma przyszłość i będzie się rozwi-

jać, choć odpływ młodzieży do szkół wyższych, a później do miast temu nie sprzyja. Bardziej optymistycznie ocenia natomiast przyszłość kolegiaty.

– Tu sami bez pomocy z zagranicy nic nie zdziałamy – konkluduje. – Rewaloryzacja świątyni z pewnością jest konieczna, ale wymaga ona nie tylko ogromnych pieniędzy, ale również udziału ekip konserwatorskich najwyższej klasy. Chałupniczą metodą nic zrobić tu się nie da. Chciałbym, by radziwiłłowska świątynia została przynajmniej wewnątrz na nowo wytynkowana i zaopatrzona w posadzkę. Pozostałe detale można by odtwarzać już przez wiele lat...

## U CZARTORYSKICH NA KLEWANIU

---

Klewań podobnie jak Ołyka to osiedle typu miejskiego. Leży po obu stronach trasy biegnącej z Łucka do Równego na Wyżynie Wołyńskiej nad rzeką Stubłą. Niewielu mieszkańców zdaje sobie sprawę z jego wspaniałej historii, o której przypominają ruiny zamku i potężna trójnawowa bazylika, zbudowana w stylu skromnego baroku, dorównująca swymi gabarytami ołyckiej kolegiacie.

Miejscowość ta to jedno z najstarszych gniazd rodowych książąt Czartoryskich herbu Pogoń Litewska, wywodzących się z rodu Gedymina, jako potomkowie wielkiego księcia litewskiego Olgerda. Wraz z dobrami Oryszów, Derewiane, Suchowce i całym szeregiem innych wsi, położonych głównie nad rzeką Stubłą Klewań został nadany w 1446 r. przez księcia Świdrygiełłę jego marszałkowi Michałowi Wasylewiczowi Czartoryskiemu. Jego potomkowie z czasem zaczęli pisać się książętami na Klewaniu i Żukowie. To z tej linii wywodzili się najbardziej znani przedstawiciele tego zasłużonego dla Rzeczypospolitej rodu. Wystarczy wspomnieć tylko księżnę Izabelę czy księcia Adama Czartoryskiego.

Prawa miejskie na prawie magdeburskim Klewań uzyskał w 1654 r. Obdarzono go wtedy herbem z wizerunkiem św. Michała Archaniola jako patrona młodego dziedzica. Zaczęło się ono tworzyć już w 1475 r., gdy książę Michał Czartoryski rozpoczął budowę w Klewaniu wielkiego zamku pełniącego dwie funkcje: rezydencjonalną i obronną. Usytuował go na wzgórzu Horodyszcze nad rzeką Stubłą. Miał on

kształt nieregularny i składał się z czterech skrzydeł, dostosowanych do kształtu wzgórza. Muzy były wzmocnione przez dwie baszty z licznymi strzelnicami, położonymi po przeciwnych stronach obwarowań. Jedna z nich broniła dostępu do przejazdu bramnego. Do bramy prowadził zwozdzony most. O klasie tej budowli najlepiej świadczy fakt, że nie udało jej się zdobyć ani Kozakom, ani Tatarom mimo, iż kilkakrotnie spalili samo miasteczko.

Do rozwoju Klewania przyczyniali się jego kolejni władarze. Jerzy Czartoryski starosta łucki, który przeszedł z pra-



46. Obraz Matki Bożej  
Klewańskiej. Fot. archi-  
wum



wosławia na katolicyzm, ufundował w Klewaniu drewniany kościół pw. św. Stanisława Biskupa i Męczennika, swego patrona św. Jerzego i św. Anny. Służył on odtąd jako miejsce spoczynku książąt Czartoryskich. Książę Jerzy wystawił przy plebanii szkołę, w której zatrudniono zagranicznych nauczycieli. W niej przez kilka lat pod ich kierunkiem wychowywali się jego synowie. Najmłodszy z nich Mikołaj Jerzy, który na wojnach przetaczających się przez Rzeczpospolitą spędził większość swego życia, osiągnął wiele godności i doprowadził swój ród przez szczęśliwy mariaż do niebywałej potęgi. Od 1633 r. piastował kolejno funkcje kasztelana wołyńskiego, a następnie wojewody wołyńskiego i podolskiego. Ożenił się on z księżniczką Izabelą Korecką herbu Pogoń Litewska, której bogaty wygasający ród także wywodził się, podobnie jak Czartoryscy, od wielkiego księcia Olgerda. Wniosła ona do małżeństwa iście królewskie wiano – tzw. „państwo koreckie”. Od tego momentu ród Czartoryskich zaczął nabierać w Rzeczypospolitej dużego znaczenia. Mikołaj Czartoryski w 1630 r. zastąpił drewniany kościół w Klewaniu piękną świątynią śmiało mogącą konkurować z kolegiatą w radziwiłłowskiej Ołyce. Konsekwował ją biskup Stanisław Łoza.

Dzięki księciu Mikołajowi Klewań stał się jednym z najzamożniejszych grodów wołyńskich. Książę uczynił go swoją stałą rezydencją i uczynił lokalnym ośrodkiem życia religijnego. Sprowadził do Klewania m.in. relikwie św. Bonifacego, które przywiózł z Rzymu jego syn Kazimierz Florian kapłan, który po studiach w Rzymie szybko awansował, dochodząc do najwyższych godności kościelnych. Najprawdopodobniej to on przywiózł także z Rzymu obraz Matki Bożej Wspomożenia Wiernych, który rychło pod nazwą Matki Bożej Klewańskiej zasłynął licznymi cudami i uzdrowieniami. Ks. Alojzy Fridrich w swojej monografii tak je opisał: *Gdy po-*

bożni modląc się przy tym obrazie doznawali szczególniejszych łask i wielkie się tu cuda działy, biskup łucki Jędrzej Gembicki r. 1639 wyznaczył do sprawdzenia tych cudów komisję. Była ona złożona z ks. Macija Popławskiego, kanonika łuckiego, ks. Jana Boroscyusza, proboszcza międzyrzeckiego, profesora Akademii Jagiellońskiej i Macieja Pruskiego T. J. Rektora Collegium Łuckiego. Komisarze biskupi, przestuchawszy zeznań poważnych świadków, uznali za cudowny rzeczony obraz Najświętszej Panny. Protokół tej duchownej komisji, prócz komisarzy biskupich, zatwierdził własnoręcznie Jan Baptysta de Rubeis, notaryusz Apostolski.

W 1653 r. Klewań spalili Tatarzy, którzy zamku jednak nie zdobyli. Rok później miasteczko zaczęło szybko wstawać z ruin. Król Jan Kazimierz nadał mu wtedy prawo magdeburskie. Obdarzono je wtedy herbem z wizerunkiem św. Michała Archanioła jako patrona młodego dziedzica.

W końcu XVII w. Klewań zaczął jednak podupadać. Czartoryscy mając wiele siedzib, rzadko w nim bywali. Zamek stał się „rezydencją” zarządcy klewańskiego klucza, który pozbawiony odpowiedniego nadzoru zaniedbał miasteczko. W 1746 r. zdarzył się w nim pożar, który uszkodził kościół. Rok później księżna Izabela odnowiła kościół, a biskup Kacper Cieciszewski dokonał jego rekonsekracji, ale rangi miasteczka to już nie podniosło. Zamek opróżniony z całego wyposażenia świecił pustkami. Na początku XIX w. książę Konstanty Adam młodszy brat Adama Jerzego, który ranny w bitwie pod Borodino zakończył swoją napoleońską epopeję, usiłował ratować Klewań. Na serio zajął się swoimi dobrami, spłacał długi, porządkując interesy. Swoją rodzową siedzibę przeznaczył w 1816 r. na polską szkołę funduszową powiatową, odpowiednio ją wyposażając. Przekazał jej bogatą bibliotekę, gabinety: fizyczny i mineralogiczny. Dla najbiedniejszych uczniów ustanowił stypendia. Z zachowanych dokumentów wynika, że stale czuwał nad założoną przez

siebie placówką. W 1820 r. ofiarował np. dodatkowo do biblioteki placówki 237 dzieł łacińskich, francuskich i niemieckich w 602 tomach. Historycy zgodnie zaliczają ją do najbardziej zasłużonych szkół średnich na Wołyniu obok placówek w Łucku, Włodzimierzu, Międzyrzeczu Koreckim i Krzemieńcu. Przyczyniła się ona niewątpliwie do podtrzymania polskości na Wołyniu w I połowie XIX w. Obowiązywał w niej polski język nauczania oraz program z okresu Komisji Edukacji Narodowej. Jednym z najbardziej znanych uczniów tej szkoły był przyszły arcybiskup warszawski bł. Zygmunt Szczęsny Feliński.

W Klewaniu przed Cudownym Obrazem Matki Bożej Klewańskiej rozwijała się też pobożność Maryjna Szczęsnego Felińskiego, wpojona mu przez matkę. Gdy uczęszczał do gimnazjum w Klewaniu, w tutejszym kościele przed ołtarzem Zwiastowania Matki Bożej złożył warunkowy ślub czystości. Pierwszy na swojej drodze do świętości. Miał wtedy 14 lat. Złożył go, negatywnie oceniając prowadzenie się niektórych swoich kolegów, a także części profesorów.

W czasach, gdy przyszły błogosławiony modlił się w klewańskiej świątyni, prezentowała się ona okazale. Księżę Konstanty fundując w gnieździe rodowym szkołę, odnowił również kościół, w którym spoczywali jego przodkowie. Ufundował też dla niej obraz Wniebowzięcia pędzla Carla Dolci.

W drugiej połowie XIX w. syn Konstantego Aleksander Romuald po otrzymaniu od władz austriackich zgody na zamieszkanie w Krakowie, sprzedał Klewań rządowi rosyjskiemu, za co ściągnął na siebie potępienie polskiej opinii publicznej. Księżę jednak bronił się, że nie był w stanie skutecznie zarządzać majątkiem znajdującym się w innym państwie. Rosjanom sprzedał zaś majątek tylko dlatego, że jedynie oni mogli kupować ziemię. Z ekonomicznego punktu

widzenia książę, nie żałujący grosza na publiczne cele miał zapewne rację, ale jego decyzja spowodowała niewątpliwie upadek Klewania. Ksiądz Alojzy Fridrich w swojej monografii pisanej pod koniec XIX w. stwierdził, że: *sam kościół zaniebdany, smutne robi wrażenie i że w ostatnich czasach zaginęła zupełnie pamięć o łaskach przed nim* [obrazem – przyp. „WzW”] *doznawanych*.

W zamku gospodarzyli Rosjanie, którzy umieścili w nim zarząd dóbr państwowych. Część jego murów, które uznali za zbędne rozebrali, dewastując część obiektu.

Kościół w 1901 r. został wyremontowany być może także za pieniądze przekazane przez Czartoryskich. Nie wydaje się bowiem, żeby zapomnieli o świątyni, w której pochowani byli ich znamienici przodkowie tacy jak książęta: Janusz, Krzysztof, Aleksander, synowie fundatora Jerzego, starosty łuckiego oraz Mikołaj Jerzy wojewoda wołyński i jego żona Izabela z Koreckich.

W okresie międzywojennym w zamku mieściła się szkoła rolnicza, a o wspaniałej przeszłości dawnego „książęcego gniazda” przypominał tylko kościół. W „Ilustrowanym Przewodniku po Wołyniu” wydanym w 1929 r. jego autor pisał, że: *jest to budynek trójnawowy, o dwóch wieżach na froncie. (...) Wewnątrz gładkie, białe ściany, urządzenia bardzo skromne. Na ścianie w prezbiterium nad tabernakulum, które zastępuje wielki ołtarz, wisi znacznych rozmiarów obraz Madonny uchodzący za dzieło Carla Dolci z bolońskiej szkoły XVII w. W bocznym ołtarzu M. Boskiej obraz z zamku książąt Czartoryskich*.

W okresie międzywojennym Klewań był w większości zamieszkanym przez Żydów. Żył w nim tylko kilkadziesiąt rodzin polskich i nieco mniej ukraińskich.

W 1939 r. proboszcz Klewania ks. Aleksander Pierzchała nie czekał na wkroczenie wojsk sowieckich. Był znany ze swych antybolszewickich kazań i miejscowa podziemna ja-

czejka Komunistycznej Partii Zachodniej Ukrainy z pewnością wskazałaby go jako kandydata do aresztowania. Wyjechał więc do centralnej Polski. W jego ślady poszedł wikary ks. Stanisław Sołtys, uprzedzony o mającym nastąpić aresztowaniu. W wyniku starań parafian parafię objął ks. Piotr Sasiadek z Sarn, który bardzo szybko stał się duchowym przywódcą ludności polskiej całej okolicy.

W 1941 r. Niemcy rozstrzelali w Klewaniu siedmiuset Żydów. Przyczynił się do tego Ukraińiec Sercow, który przekonał Niemców, że wszyscy Żydzi to komuniści. W szkole działającej w zamku stacjonował batalion ukraińskiej policji, który bardzo mocno dawał się we znaki okolicznej ludności. Współpracował on też z oddziałami UPA. W kwietniu 1943 r. do Klewania została skierowana kompania Schutzmanschaftsbataillon 202, w którym służyli Polacy ze Śląska i południowych terenów Polski. Miał on bronić ludność polską przed masowymi rzeziami. Miesiąc później Niemcy utworzyli drugą kompanię polskiej policji złożonej z mężczyzn pochodzących z mordowanych polskich osiedli. Dzięki temu przez kilka miesięcy Klewań uchodził za bezpieczne miejsce. Chronili się w nim przed unicestwieniem okoliczni polscy mieszkańcy. W miasteczku powstał też oddział polskiej samoobrony, na czele którego stanął ks. Piotr Sasiadek. Wykorzystał on duży kościół jako miejsce schronienia Polaków, przekształcając go w niewielką redutę. W dzień parafianie przebywali w swoich domach. Noc spędzali w kościele. W sierpniu 1943 r., gdy kompanię polskiej policji pomocniczej przeniesiono gdzie indziej, bojówki UPA napadły na Klewań, ale nie zdołały zdobyć bronionego przez Polaków kościoła. Na odsiecz przybył im też oddział wojska węgierskiego, który wyparł napastników w miasteczka. Po wejściu do Klewania armii sowieckiej, mężczyźni łącznie z proboszczem zostali wcieleni do Ludowego Wojska Pol-

skiego, a pozostali mieszkańcy w maju 1945 r. wyjechali do Skwierzyny k. Gorzowa Wielkopolskiego, zabierając ze sobą większość wyposażenia kościoła.

Po wojnie kościół został przekazany przez władze miejscowej szkole technicznej mieszczącej się w przebudowanym zamku Czartoryskich. Ta urządziła w nim swój magazyn. Zaniebany i nie konserwowany popadał w ruinę. Gdy na początku lat dziewięćdziesiątych minionego wieku w jego progach stanął ks. Antoni Andruszczyszyn ze Sławuty był przerażony. Zniszczeniu uległ dach budowli. Ściany były zawilgocone, część tynków odpadła. Złodzieje wyrwali z niego wszystkie okna, drzwi i podłogę. Z napisów na mu-



47. Klewań, 1993 r. Msza św. odpustowa wewnątrz zniszczonego kościoła z 1630 r. Od prawej: ks. Antoni Andruszczyszyn, ks. Witold Józef Kowalów, diakon Tomasz Trzebunia. *Ze zbiorów M. Matyjaszewskiej*



rach we wnętrzu świątyni można było wnioskować, że służy ona za miejsce spotkań miejscowych chuliganów.

Parafię w Klewaniu powtórnie zarejestrowano w 1991 r. Jej pierwszym duszpasterzem został wspomniany ks. Antoni Andruszczyszyn. W 1992 r. opiekę nad nią przejął ks. Witold Józef Kowalów, dojeżdżający z Ostroga. Od 1993 do 1995 r. prowadził on w świątyni remont, usiłując ją uporządkować i zabezpieczyć przed zniszczeniem.

– Udało nam się wymienić znaczną część tynków zewnętrznych – wspomina ks. Witold. – Zainstalowaliśmy również nowy dach, zużywając 10 ton blachy. Wprawiliśmy nowe okna. Wykonaliśmy także nową konstrukcję dachu dzwonnicy, kryjąc ją oczywiście nowym poszyciem. Uzupełniliśmy również ogrodzenie. Ekipa budowlana potrze-



48. Klewań, 2000 r. Kościół pw. Zwiastowania Najświętszej Marii Panny z 1630 r. Ze zbiorów M. Rakowskiej





49. Klewań, 2001 r. Wnętrze kościoła. Ze zbiorów J. Rutkowskiego

bowiała do tego 45 tys. cegieł. Wprawiała ona też w świątyni nowe okna. Zaczęła także zabezpieczać jej fundamenty, częściowo je izolując i odwadniając. Przy okazji niwelacji terenu wokół kościoła wywieźliśmy również 210 ton śmieci i gruzu budowlanego.

Od 1995 r. proboszczem w Klewaniu został ks. Andrzej Ścisłowicz, który przez kilka lat dojeżdżał do niego ze Zdobunowa, kontynuując renowację świątyni i formując tamtejszą wspólnotę. Gdy w 2004 r. przekazywał wspólnotę swemu następcy ks. Jerzemu Pohnerybce, do odnowy pozostał jeszcze fronton kościoła, fragment zewnętrzny ścian północnej i całe jego wnętrze. Grupa wiernych skupionych wokół odradzającej się świątyni składała się z 30 osób.

– Brak środków i konieczność kontynuowania remontu kościoła w Zdołbunowie sprawił, że nie udało mi się znacząco posunąć prac rewaloryzacyjnych w Klewaniu – podsumowuje ks. Andrzej. – Dojeżdżając raz w tygodniu do Klewania leżącego od Zdołbunowa o 70 km, niewiele mogłem zdziałać także na niwie duszpasterskiej. Uważam jednak, że jeżeli w Klewaniu na stałe zamieszkałby ksiądz, to z pewnością mógłby zrobić w nim wiele. Wiadomo, że „dojazdówka” to żadne duszpasterstwo.

Od księdza Andrzeja funkcję proboszcza Klewania przejął ks. Jerzy Pohnerybka. Ma do niego bliżej niż ks. Andrzej ze Zdołbunowa, ale obok Ołyki i Cumania jest to trzecia jego parafia, więc siłą rzeczy może poświęcić mu mało czasu. Przerażają go „hektary tynku” które trzeba wykonać we wnętrzu świątyni. Trudno się temu dziwić, jeśli się zważy, że ma na głowie jeszcze kolegiatę w Ołyce, a także perspektywę odzyskania kościoła w Cumanii, przekształconego w dom kultury i po dziś dzień jeszcze nie zwróconego, który też będzie musiał jakoś zaadaptować.

– Sytuacja w Klewaniu jest dość specyficzna – ocenia ks. Jerzy. – Działa w nim sporo sekt, dużo jest zwłaszcza zielonoświątkowców. Zanikła w nim także świadomość, że Klewań to rodowe gniazdo Czartoryskich, wojewodów wołyńskich, którzy wnieśli duży wkład w rozwój tej ziemi. Tutejsi chuligani już dwukrotnie wybijali szyby w oknach kościoła i wyłamywali jego wejściowe drzwi, wdzierając się do środka. By kościół był bezpieczny, trzeba by zbudować jakąś niewielką plebanię, w której zamieszkałby kapłan. Nie mam jednak pojęcia, skąd wziąć na to środki, podobnie zresztą jak na dokończenie remontu kościoła. Bez pomocy z zewnątrz absolutnie nie damy rady. Wierzę po cichu, że może pomogą nam żyjący w Ameryce Czartoryscy linii klewańskiej, którzy w 1991 r. utworzyli Rodzinny Związek Czartoryskich herbu



50. Kości Czartoryskich w kościele w Klewaniu. Fot. Kazimierz Karolczak

Pogoń Litewska. Ich przedstawiciele zawsze przecież interesowali się Wschodem. Książę Piotr Michał założył przecież Towarzystwo Badań Wschodnich i Centralnej Europy w kanadyjskiej Albercie. Szczątki ich przodków, choć rozrzucone i zbezczeszczone, szczęśliwie się zachowały.

Kościół klewański trzeba ratować tym bardziej, że jest to ostatni ślad po linii klewańskiej Czartoryskich na wołyńskiej ziemi.

## U GOŚCINNYCH POLESZUKÓW

---

**M**aniewiczze, choć liczą 10 tys. mieszkańców, nie mają praw miejskich. Według oficjalnej nomenklatury to osiedle typu wiejskiego. Miejscowość ta, choć duża, ma wygląd wsi. Znaczna część jego zabudowy to proste wiejskie, zapadające się w ziemię chałupy, przylegające do zabudowań gospodarczych. Tak jak na całej Ukrainie, wszyscy niezależnie od profesji zajmują się tu hodowlą świń, krów i drobiu. To główny filar ich utrzymania. Swoją nazwę miejscowość zawdzięcza rzece Maniówce, dopływowi Prypeci. Leży na skraju Polesia Wołyńskiego, 65 km na północny wschód od Łucka. Powstała ona w końcu XIX w. jako osada przy stacji kolejowej na linii Warszawa – Kowel – Kijów. Jej powstanie miało ułatwiać eksploatację bogatych i trudno dostępnych lasów, a także pokładów torfu. Dziś ta rozcięta na dwie części torami kolejowymi miejscina robi senne wrażenie. Toczące się na Ukrainie zmiany omijają jak gdyby tę miejscowość, o czym świadczy chociażby stojący na jej rynku pomnik Lenina, co na Zachodniej Ukrainie jest bardzo rzadkim przypadkiem. O Maniewiczach idzie też hyr, że są „czerwone”. Ani jednak Lenin, ani też domniemany fakt, że większość starszych mieszkańców jak relikwie przechowuje legitymacje KPZR nie sprawia, że miejscowość ta jest znana w całej Ukrainie. Swoją sławę zawdzięczają Maniewiczze znajdującemu się w nich więzieniu, jednym z najcięższych w republice. Dwa i pół tysiąca osadzonych odbywa w nich karę za zbrodnie zagrożone najwyższymi wyrokami. Są wśród nich m.in. gwałciciele, psychopaci i mordercy. Więzienie to po dziś dzień stanowi największy stały zakład

pracy Maniewicz, więc nikt o tym „ludzkim śmietniku” nie mówi źle.

Śladami po Rzeczypospolitej jest w Maniewiczach stacja kolejowa, zbudowana w latach trzydziestych z niezmienioną po dziś dzień boazerią, a także katolicka parafia. Drogę do niej wskaże w miasteczku każdy, choć jej ostatni odcinek, zwłaszcza po deszczu nie jest łatwy do przejechania. Zamienia się bowiem w błotniste grzęzawisko. Na kościele zbudowanym w latach trzydziestych widać jeszcze ślady sowieckich zniszczeń, za to plebania i otoczenie świątyni pre-



51. Kościół pw. Przemienienia Pańskiego w Maniewiczach. Fot. Leon Popek

zentuje się okazale. Widać, że mają dobrego gospodarza. Jest nim ks. Andrzej Kwiczala. Proboszcz młody, ale nietuzinkowy, mający bardzo ciekawą drogę do kapłaństwa. Zanim wstąpił do Seminarium Duchownego ukończył w Nysie Zespół Szkół Rolniczych. Wygrywając jako jego uczeń dwie olimpiady z chemii i biologii, postanowił podjąć studia na Akademii Medycznej we Wrocławiu. Po jej ukończeniu miał staż w Nysie, po którym został zaproszony do Wrocławia na czwartą Nefrologiczną Katedrę Akademii Medycznej przy Kościele Bonifratrów. Tu pracował przez dwa lata. Po tym okresie ogarnęła go refleksja nad dalszym życiem. Postanowił zostać księdzem, pracującym na Wschodzie, by leczyć nie tylko zdrowie, ale i duszę człowieka. W realizacji tego pomysłu pomógł mu dominikanin o. Ambroży Adamski. Przez niego poznał kard. Mariana Jaworskiego. W 1994 r. wstąpił do Wyższego Seminarium Duchownego Diecezji Zamojsko-Lubaczowskiej i rozpoczął studia na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim, uwieńczył magisterium w 2000 r. Pracę magisterską poświęcił dziejom parafii w Ostrogu w latach 1939–2000, w której pod okiem proboszcza ks. Witolda Józefa Kowalowa przyjeżdżał na praktyki jako kleryk i diakon. Po święceniach kapłańskich, które otrzymał z rąk bpa Marcjana Trofimiaka w 2000 r. został wikariuszem parafii katedralnej w Łucku. Parafię w Maniewiczach objął jako proboszcz w 2001 r., kontynuując dzieło kilku poprzedników, wskrzeszających wspólnotę od 1990 r. Parafię tą znał już wcześniej. Ciekawiła go ze względu na swoją historyczną przeszłość. I to nie tylko tą tragiczną związaną z mordami ludności polskiej, ale z tą związaną z I wojną światową. Przypominają o niej znajdujące się na przykościelnym cmentarzu surowe, betonowe, wojskowe groby, w których spoczywają oficerowie Legionów Polskich. Ksiądz Andrzej jako ich opiekun i renowator z dumą je pokazuje, aczkolwiek



z ubolewaniem dodaje, że stanowią one symboliczną „reszkę” Polskich Cmentarzy Wojennych na terenie Maniewicz.

– Jeszcze niedawno było ich pięć, ale żaden z nich się nie zachował – wylicza. – Wszystkie zniszczono na początku lat dziewięćdziesiątych. Na jednym jest stadion, na drugim zakład energetyczny, na miejscu trzeciego stoją bloki, teren czwartego za stacją kolejową zniwelowano, a przez piątą przeprowadzono drogę. Nie ma więc śladu, że maniewicka ziemia jest obficie zroszona polską krwią w czasie I wojny światowej, kiedy to na Polesiu Wołyńskim toczyły się ciężkie walki pozycyjne. Wojska austriacko-niemieckie, w ramach których walczyła dywizja legionowa, wypierając Rosjan z Wołynia, ugrzęźły w błotach Polesia, przechodząc do wielomiesięcznych walk pozycyjnych. Odznaczyły się w nich Legiony Polskie. Żołnierze trzech brygad pod Kołkami, Stowgorożem, Koszyszciami, Sobieszciami, Bielsko-Wolą, Jabłonką, Kukłami i Kamieniuchą złożyli obfitą daninę krwi. Gdy front zaległ, Maniewiczze stały się logistycznym zapleczem dla II Brygady Legionów. Tu mieściły się jej magazyny, szpital polowy, piekarnia itp. W Maniewiczach odbywały się także Msze św. polowe z okazji wielkich uroczystości, a także grzebano poległych, których systematycznie przybywało.

Ówczesne Maniewiczze opisał w „Dzienniku z kampanii rosyjskiej 1914–1916” August hrabia Krasicki, oficer Komendy Legionów. Po przyjeździe do nich 3 X 1915 r. zapisał m.in.: *Koło stacji cała osada dworków i domków, częścią spalone. Był tu duży tartak i przy nim powstała osada. Lasy należały do gen. Benoe, który sprzedał drzewo do tartaku za 800 tys. rubli. Obszar wynosił 25 tys. dziesięcin.*

Następnego dnia Krasicki zanotował: *Stacja Maniewiczze została nieuszkodzona. Ładny duży budynek w stylu nierosyjskim, na wzniesieniu, od torów kilkanaście schodów, obok ładny ogródek z drzewami egzotycznymi. Dookoła dworca pod lasem kępy kilku-*



*dziesięcioletnich sosen (zdaje się Pinius Excelsa z długimi szpilkami, wierzchołki bez rozgałęzień, smukłe).*

Na kilkudziesięciu następnych kartach August Krasicki kreśli rozwój wypadków w rejonie Maniewicz. Opisuje też przebieg bitwy, która przeszła do legendy II Brygady, czyli bój pod Kostiuchnówką, podczas którego hamowała ona ofensywę Brusilowa, zmierzającą do wyparcia armii sprzymierzonych z Wołynia. Postawa legionów w tej bitwie zyskała najwyższe oceny sztabów sił sprzymierzonych. Gdyby nie uporczywa obrona pod Kostiuchnówką, wykonana przez Legiony, Rosjanie mając otwartą drogę na południu, po przełamaniu linii Styru pod Kołkami, mogli w dwustronnym przełamaniu zagarnąć wszystkie oddziały sprzymierzone w kolanie Styru. Dzięki zacieklej polskiej obronie, sztab sprzymierzonych mógł skromne rezerwy rzucić pod Kołki, hamując impet Rosjan. Toczące się wtedy boje opisał w „Dzienniku z kampanii rosyjskiej 1914–1916” August hrabia Krasicki oficer Komendy Legionów. Maniewiczom poświęcił on wiele miejsca, opisując też w nich żołnierskie pochówki.

Pierwszy drewniany kościół w Maniewiczach zbudowano w 1915 r., gdy front rosyjsko-austriacki zaległ na dobre i przez wiele miesięcy w miejscowości kwaterowało polskie wojsko. Parafia została erygowana w niej dopiero w 1923 r. Maniewiczze wyszły z wojny zniszczone i bardzo powoli wracały do życia, choć stacja kolejowa niewątpliwie im to ułatwiała.

– Obecny murowany kościół ma też korzenie legionowe – podkreśla ks. Andrzej. – Do jego powstania przyczyniły się rodziny oficerów legionowych pochowanych przy kościele. Gromadziły one fundusze na wzniesienie okazałej świątyni. Ich działania wsparli miejscowi przedsiębiorcy. Jeden z nich właściciel wytwórni parkietu i mebli pan Dąbrowski, ufun-

dował do kościoła podłogę, ołtarze i boazerię. Dzięki temu budowa rozpoczęta w 1933 r. została ukończona pięć lat później. Był jednym z dwóch ośrodków, wokół których koncentrowało się życie polskiej społeczności w Maniewiczach. Drugim był „Dom Polski”, po którym do dzisiaj nie ma śladu. Władze zarządziły jego rozbiórkę i przekazały w latach dziewięćdziesiątych pochodzące z niego materiały na budowę cerkwi prawosławnej. Społeczność polska w Maniewiczach była przed II wojną światową oczywiście nieliczna. W osadzie przeważali Żydzi. Ukraińcy stanowili drugą grupę narodową. Sąsiednia wieś Maniewiczze, wchodząca dzisiaj w skład miasteczka miała natomiast czysto ukraiński charakter.

Parafia w Maniewiczach przetrwała do 1942 r., kiedy to została zamknięta. Nieliczni wierni, którzy nie padli ofiarą



52. Ks. Edmund Domański (1908–1984) – w czasie II wojny światowej proboszcz parafii Karasin i Maniewiczze. Fot. *archiwum*

wywózek i transportem z maniewickiej stacji nie zostali wywiezieni na Sybir, czuli się zagrożeni i starali się wyjechać, korzystając z połączenia kolejowego do Kowla.

W osadzie ton nadawała już rejonowa komórka OUN, kierowana przez Płatona Samosiuka, pseud. „Mat”. W ostatnich dniach czerwca podjudzeni przez nią Ukraińcy dokonali pogromu Żydów, plądrując przez trzy dni domy żydowskie. W sierpniu 1942 r. Niemcy i ukraińscy policjanci, którzy przeszli później do UPA zlikwidowali getto, mordując wszystkich Żydów. Ukraińscy nacjonaści nie ukrywali, że Polacy będą następni. Kto mógł wyjeżdżał, by nie paść ofiarą rzezi. Część młodych Polaków z Maniewicz wstąpiła również do Armii Krajowej. Ich rejon należał do „Odcinka Maniewiczze”, na czele którego stał major kawalerii „Pika” – Karol Dyczko. W samych Maniewiczach powstał najpierw oddział Jerzego Niumena – „Hińczy”, a następnie grupa sierż. Romana Gossa. Polacy zdawali sobie sprawę, że muszą się bronić.

Na miejscu pozostało zaledwie kilka polskich rodzin, w tym m.in. pani Dąbrowska, znana nauczycielka, powszechnie, w tym również przez Ukraińców, szanowana. Ostatni proboszcz Maniewicz ks. Bolesław Jastrzębski zdeponował najcenniejsze sprzęty kościelne, takie jak monstrancja i kielichy u zaprzyjaźnionego Ukraińca, który obiecał, że je ukryje i przekaże parafii, jeżeli tylko wznowi działalność.

Ostatni raz Maniewiczze w dziejach polskiego oręża zapisały się w 1944 r. Wtedy to przewinęli się przez nie żołnierze z 27 Wołyńskiej Dywizji AK, którzy po rozbrojeniu zostali wcieleni do Ludowego Wojska Polskiego. Ci z nich, którzy byli ranni zostali w Maniewiczach w sowieckim polowym szpitalu wojskowym, zbudowanym obok stacji kolejowej. Później 20 sanitarek odwiozło ich do polskiego szpitala w Przebrażu k. Kiwerc.

Po wojnie w 1947 r. władze sowieckie zamieniły kościół zgodnie z powszechnie stosowaną praktyką w skład soli.

– Zdeponowano w nim 700 ton soli, która strasznie zniszczyła kościół, wżerając się w jego ściany – ciągnie dalej ks. Andrzej. – Nigdy nie użyto jej do celów spożywczych. Skamieniała, zamieniając się w twardą skałę. Władze usunęły ją, gdy chciały urządzić w kościele klub. Zrobiły to oczywiście po sowiecku, rozsadzając sól przy pomocy dynamitu. Przy okazji uszkodziły dach i całą konstrukcję świątyni. Wtedy zarzuciły projekt, zostawiając świątynię w stanie zdewastowanym. Chciały ją ponoć wysadzić w powietrze. W zakrystii i składziku mieszkały jednak dwie rodziny, z którymi nie miały co zrobić i zostawiły kościół z spokoju. W stanie ruiny zwróciły go parafii. Tą reaktywowano w 1990 r. Przez pięć lat jej wierni modlili się „po domach” – jak mówi się na Ukrainie, a pięć lat później wprowadziła się ona do świątyni, którą udało się jako tako wyremontować.

Gdy ks. Andrzej przybył do Maniewicz, ekipa wynajęta przez poprzedników zakończyła budowę nowej plebanii. Zrobiła to w ekspresowym tempie, bo w ciągu pół roku, ale jakość ich prac pozostawiała wiele do życzenia. Ks. Andrzej zamiast cieszyć się nowym domem, musiał przystąpić do jego kapitalnego remontu, wykonując szereg prac własnoręcznie. On jednak na to nie narzekał. Wprost przeciwnie. Pomimo, iż szybko dorobił się przy pracach w plebanii zapalenia płuc, nie myślał o ucieczce. Urzekli go tutejsi parafianie, dla których jego zdaniem warto było pracować.

– Poleszucy to ludzie bardzo życzliwi i otwarci, z sercem na dłoni, biedni, ale pracowici – podkreśla. – Na pierwszym spotkaniu powiedzieli mi od razu uczciwie i konkretnie – ksiądz, głodny tu nie będziesz, bo my cię nakarmimy. Pieniędźmi cię nie wspomozemy, bo ich sami nie mamy. Ty szukaj pieniędzy, a my damy ci ręce do pracy, którymi bę-

dziesz mógł posługiwać się przy remoncie. Swojego słowa oczywiście dotrzyмали. Głodny nie jestem, a na ręce parafian zawsze mogę liczyć. Gdy trzeba coś zrobić pytają, kiedy i o której. Często przychodzi ich tylu, że brakuje nawet roboty.

Parafia w Maniewiczach, tak jak przed wojną jest bardzo rozległa. Należy do niej oprócz samej osady 17 wsi-chutorów. Tyle zostało po wołyńskiej poźdźce z 1943 r. z 43 należących do niej miejscowości. 13 z tych ocalałych miejscowości zmieniło też nazwę. Po reszcie trudno odnaleźć jakiś materialny ślad. W ich miejscu często rośnie las...

Ile osób należy do parafii precyzyjnie ks. Andrzej jeszcze nie ustalił. Teoretycznie w spisach jest zapisanych 740 osób. Były one jednak sporządzane w 1994 r., gdy na terenie Maniewicz nie było jeszcze żadnej chrześcijańskiej świątyni. Do kościoła przychodzili więc również prawosławni. Obecnie, gdy w osadzie zbudowano dwie cerkwie należące do dwóch odrębnych patriarchów: kijowskiego i moskiewskiego, prawosławni wolą modlić się we własnych obrządkach. Do cerkwi chodzi też spora grupa grekokatolików, którym bardziej odpowiada wschodnia liturgia.

– Obecnie realnie licząc w niedzielnej Mszy św. bierze udział razem z dziećmi około osiemdziesięciu wiernych – ocenia. – W tygodniu na poranną Mszę św. przychodzi dwie, trzy, a na wieczorną sześć, siedem osób. W tej grupie najaktywniejszych wiernych tylko dwie Polki, czyli pani Stanisława Kijewska-Hajko i Kazimiera Mitkalik pamiętają przedwojenną parafię. Pozostali wierni to osoby napływowe z Lwowszczyzny i Tarnopolszczyzny, o polskich korzeniach, którzy do Maniewicz trafili głównie z nakazem pracy, jako personel do tutejszego więzienia. Zakład ten w sowieckich czasach był jeszcze większy. Bywały czasy, że przebywało w nim... sześć tysięcy osadzonych.

Z napływowymi Polakami ks. Andrzej wiąże duże nadzieje. Ze statystyki wynika bowiem, że stanowią oni około 60 proc. mieszkańców Maniewicz. Swojej polskości raczej się nie wstydzą.

– Z rozmów z nimi mogę wnosić, że każdy z nich ma jakiś dokument, przy pomocy którego może udowodnić przynajmniej posiadanie polskich korzeni – dywaguje ks. Andrzej. – Są nie tyle zukrainizowani, co zsowietyzowani. Wielu z nich przestrzega jednak polskie tradycje. Przed Bożym Narodzeniem np. przysyłają dzieci po opłatki. Świadczy to, że świętują Wigilię. Wielu z nich przychodzi też do kościoła z okazji świąt Bożego Narodzenia i Wielkiej Nocy. Wtedy jest on pełen. Swoistą ciekawostką jest też, że wielu z tych, którzy przychodzą do pracy przy kościele nie uczestniczy we Mszy św. W grę wchodzi też stare nawyki. W niedzielę np. w Maniewiczach jest bazar i pokazanie się na nim należy do dobrego tonu. Mieszkańcy udają się nań całymi rodzinami, nawet jeżeli nie dokonują zakupów, tylko po to, żeby się pokazać, spotkać ze znajomymi.

Nie tracąc nadziei, że wszyscy Polacy odnajdą kiedyś drogę do Pana Boga i Kościoła, ks. Andrzej stara się tak prowadzić duszpasterstwo, by powierzona mu wspólnota krzepła i rozwijała się. Szczególną wagę przywiązuje do obchodzenia świąt wykorzystując fakt, że uczestniczy w nich dużo ludzi. Po Pastercie łąmie się np. ze wszystkimi wiernymi opłatkiem. Na Wielkanoc po sumie dzieli się ciastem poświęconym w kawałki i poświęconym.

To naprawdę ludzi ze sobą wiąże – podkreśla ks. Andrzej. – Buduje wśród nich jedność. Maniewiczanie są za tę praktykę bardzo wdzięczni.

Główny nacisk ks. Andrzej kładzie na pracę z dziećmi i młodzieżą. To oni bowiem stanowią zdecydowaną większość jego praktykujących parafian. Zaczął od systematycz-



nej katechezy, by obecnie przystąpić do organizowania oazy i chórk. Najbiedniejsze dzieci, a zwłaszcza sieroty mogą liczyć na różnoraką pomoc charytatywną. Sierot jest spora grupka, bo aż dwadzieścia sześć.

– Najmłodsza Alina ma cztery lata – mówi ks. Andrzej. – Jej ojciec milicjant zginął w czasie akcji, mama zmarła na raka. Najstarsza Jasia jest tegoroczną maturzystką. Mieszkają oni u dziadków, albo pod opieką sąsiadek. Staram się zdobywać dla nich obuwie i odzież, a także zeszyty, książki i przybory szkolne. Interesuję się ich postępami w nauce, dopinguję do wysiłku intelektualnego. Jeżeli trzeba, to załatwiam korepetycje. Gdy ukończą szkołę średnią, staram się zdolniejsze umieścić na studiach, a słabsze w jakimś technikum lub studium zawodowym. Chciałbym bowiem, żeby wyszły na ludzi. Zdaje sobie sprawę, że jeżeli ich zostawię, to zajmą się prostytutką, co w tych stronach jest typowe.

Sierotami ks. Andrzej może zajmować się tylko dzięki dobrodziejom z Polski. Parafia jest bowiem bardzo biedna. Tych dobrodziejów niestety stale ubywa i księdzu Andrzejowi z coraz większym trudem przychodzi zajmowanie się swoimi „sierotkami”.

Z własnej inicjatywy maniewicki proboszcz patronuje też w osadzie odradzającej się polskości, kładąc główny nacisk na podtrzymywanie polskich tradycji związanych z katolicyzmem. Organizuje więc głównie dla dorosłych wieczery wigilijne, śpiewanie kolęd itp. Zajmuje się również kolportażem polskiej prasy religijnej, a przede wszystkim „Źródła”.

– To religijne pismo jest bardzo wartościową pomocą duszpasterską – podkreśla. – Dzięki uprzejmości redakcji i wydawcy otrzymuję 20 egzemplarzy, które rozdzielam wśród poszczególnych rodzin. Wiem, że pismo jest czytane. Krąży ono z rąk do rąk. Trafia również do wyznawców prawosławia, związanych z tutejszą Cerkwią Patriarchatu Ki-



jowskiego, z których część zna doskonale język polski. Można więc powiedzieć, że „Źródło” pełni również rolę ekumeniczną, dostarczając prawosławnym wiernym wiedzy o Kościele katolickim, a także o Polsce, przyczyniając się w maniewickiej mikroskali do budowania polsko-ukraińskich mostów.

Z prawosławnymi wiernymi Kijowskiego Patriarchatu maniewicka parafia ma doskonałe stosunki. Można się o tym przekonać odwiedzając cerkiew. W jej przedsionku wisi błogosławieństwo Ojca Świętego Jana Pawła II, udzielone wspólnocie. Pod nim wisi dodatkowa informacja, że na prośbę wiernych przywiózł je z Rzymu ks. Andrzej Kwiczala.

– Gdy niespodziewanie dostałem od kolegi propozycję wyjazdu na pielgrzymkę do Rzymu jako ksiądz i lekarz i ogłosiłem o tym parafianom, ci skrzyknęli się z prawosławnymi i w ciągu dwóch dni zrobili takie wyszywanki dla papieża, że daj Boże, bym kiedyś dostał taki obrus, bieżniki i ręczniki – śmieje się ks. Andrzej. – Zawiozłem je Ojcu Świętemu, przywożąc błogosławieństwo dla moich wiernych i członków prawosławnej wspólnoty Wniebowzięcia Matki Bożej. Jak papież zachorował, w cerkwi modlono się o jego zdrowie. W nocy przed pogrzebem Jana Pawła II w wielu prawosławnych domach przed ikonami paliły się świece. W godzinę po transmisji z pogrzebu Ojca Świętego prawosławni zadzwonili do mnie mówiąc – słuchaj ksiądz, szykuj wszystko do Mszy św. za papieża, my już idziemy. Zaskoczony zacząłem się przygotowywać, a zdziwienie moje jeszcze bardziej wzrosło jak zobaczyłem, że autentycznie przyszła spora grupa ludzi. Zaintrygowany tym zacząłem się później pytać – skąd u nich taki szacunek do Ojca Świętego? Okazało się, że wielu z nich było na spotkaniach z nim w Lublinie, Zamościu, Krośnie i Lwowie, że mają papieskie encykliki, które znają i czytają.

Ekumeniczne stosunki ks. Andrzej utrzymuje także z przedstawicielami innych wyznań. Widać to zwłaszcza, gdy po Nowym Roku chodzi po kolędzie, czyli dokonuje w myśl tutejszych zwyczajów obrzędu święcenia domów. Na ulicy przy kościele mieszkają: prawosławni, ewangelicy, zielonoświątkowcy, jehowici, grekokatolicy, baptyści i wszyscy bez wyjątku zapraszają go, by ich także odwiedził. Wszyscy sąsiedzi bez względu na wyznanie przychodzą też na imieniny ks. Andrzeja.

– Panuje na nich bardzo miła, sympatyczna atmosfera – podkreśla ks. Andrzej. – Każdy z siedzących przy stole dzieli się swymi radościami i troskami. Mówi o planach na przyszłość. Wszyscy się znają i wiedzą, że jeden na drugiego zawsze może liczyć. Do podtrzymywania więzi między sąsiadami przywiązuję dużą wagę, bo zmiany ustrojowe na Ukrainie oprócz pozytywów przyniosły też negatywy widoczne w relacjach między ludźmi. Kiedy tu przyjechałem, nikt nie zamykał domów na klucz. Gdy wychodził, stawiał przy drzwiach miotłę na sztorc, by każdy wiedział, że w domu nie ma nikogo, a przy studni kubek, by każdy spragniony gość mógł się napić. Dziś ludzie stali się nieufni, jest bowiem za dużo kradzieży. Wychodząc zamykają domostwa.

Maniewicki proboszcz otacza również opieką miejsca pamięci, związane z martyrologią ludności polskiej w 1943 r., co nie jest bynajmniej łatwe, ani też bezpieczne. Niektóre zbiorowe mogiły zamordowanych po dziś dzień są oficjalnie nieznane i nie istniejące, a przede wszystkim bardzo niewygodne dla weteranów UPA. Są dla nich straszliwym wyrzutem sumienia, a jednocześnie dowodem. Pod osłoną nocy ks. Andrzej ustawił m.in. krzyż w Karasinie w miejscu, w którym banderowcy w drewnianym kościele spalili żywcem w czerwcu 1943 r. 43 osoby.

– Jest to miejscowość znana na Polesiu – mówi ks. Andrzej. – Zainteresowałem się nią, bo w niej zaczynał swoją misję o. Serafin Kaszuba, kapucyn, wielki Apostoł Kościoła Milczenia. Okazało się, że z jej polskiej części nie pozostał nawet kamień na kamieniu, a w miejscu gdzie się niegdyś znajdowała rośnie las. Mieszkańcy ukraińskiego Karasina omijali to miejsce z nabożną czcią i nie zbierali tam nawet grzybów. Zacząłem badać sprawę i jeden z okolicznych mieszkańców w sekrecie powiedział mi, że tam banderowcy w drewnianym kościele spalili 43 osoby: starców, kobiety i dzieci. Zacząłem się dyskretnie wypytywać i okazało się, że UPA dwukrotnie uderzyła na Karasin. Podczas pierwszego napadu spaliła tylko plebanię o. Kaszuby, który wówczas był nieobecny i dlatego tylko ocalał, uchodząc następnie z większością wiernych do Bystrzycy. Ci, co nierozważnie zostali w wiosce, podczas drugiego najścia zostali spędzeni do kościoła i żywcem w nim spaleni. Z dymem puszczono też ich zabudowania. Postanowiłem miejsce to jakoś upamiętnić. Myślałem, że krzyż długo nie postoi i zaraz jakaś życzliwa ręka go usunie. Okazało się, że byłem w błędzie. Krzyż stoi, są składane pod nim kwiaty, palone świece. Ludzie po prostu pamiętają o tym miejscu.

W ramach patronowania polskości, proboszcz Maniewicz otacza duszpasterską opieką także harcerzy z Polski, którzy porządkują cmentarze legionistów w okolicy jego parafii. Jest ich formalnym kapelanem, co latem przysparza mu sporo obowiązków. Od kilku lat druhowie i drużyny ze Zgierza w okresie wakacji przyjeżdżają w okolice Maniewicz, by ratować przed ostatecznym zniszczeniem mogiły legionistów.

– Ich działanie jest naprawdę godne podziwu – mówi ks. Andrzej. – Przy porządkowaniu dwóch cmentarzy w Kostiuchnowce zaimponowali nawet Sekretarzowi Generalnemu Rady Ochrony Pamięci i Męczeństwa Andrzejowi Prze-

woźnikowi. Gdy przyjechał pierwszy raz do Kostiuchnówki nie wierzył, że w ciągu dwóch tygodni będą oni w stanie uporządkować cmentarze w Kostiuchnówce. Ich stan wydawał się tragiczny. Pierwsi polscy dziennikarze, którzy dotarli do tej miejscowości napisali wprost, że nie ma w niej już śladu po legionowych nekropoliach, że te zostały zupełnie zniszczone. Rzeczywistość nie okazała się jednak tak tragiczna. Krzyże na mogiłach były przewrócone i przysypane ziemią, ale większość betonowych grobów przetrwała. Harcerze tymczasem w ciągu dwóch tygodni, tak jak obiecali, zniwelowane cmentarze przywrócili do życia, oczyścili, uporządkowali, ustawili krzyże, umożliwiając ich dalszą rewitalizację. Mieszkańcy Kostiuchnówki, co trzeba podkreślić, od samego początku bardzo życzliwie odnosili się do poczynąń harcerzy, ekip konserwatorów, a także polskich delegacji, które przyjeżdżały do ich miejscowości. Dzięki temu stała się ona w Polsce bardzo popularna i pełni rolę ważnego miejsca pamięci narodowej, przyczyniającego się do kształtowania patriotyzmu wśród młodego pokolenia Polaków. Podczas specjalnej uroczystości jest w niej w listopadzie każdego roku zapalane „Światło Niepodległości”, które następnie harcerze zawożą do Warszawy. O dobrej atmosferze wobec polskości, jaka panuje w Kostiuchnówce świadczy też fakt, że jej mieszkańcy zbudowali pomnik na grobie dyrektora szkoły, którego wraz z żoną nauczycielką i starszym synem zamordowali ukraińscy chłopcy z pobliskiej wioski. Z tragedii uratował się tylko młodszy syn zabitych, ukryty przez sąsiadów. Udało mi się go odnaleźć. Mieszka w Gdańsku, ale do Kostiuchnówki nie chce przyjechać. Miał pięć lat, gdy był świadkiem zbrodni i ma takie uraz psychiczny, że żal w sercu nie pozwala mu wrócić na miejsce dzieciństwa...

Oprócz Kostiuchnówki harcerze zajęli się też kolejnymi cmentarzami legionistów poległych w czasie I wojny świa-

towej. Są one m.in. w Wołczewsku i Jeziornej. Na dawnej linii frontu zachowało się też pięć granicznych „Słupów Piłsudskiego”. Niegdyś było ich czterdzieści. Pozostałe okoliczna ludność i kołchozy potraktowały jak źródło materiału budowlanego, używając rozbite kolumny głównie do podmurówek. Harcerze starają się też odnajdywać kolejne cmentarze.

– Czasami ich poszukiwania są bezskuteczne, a bywa też, ze konstatają oni bardzo smutną rzeczywistość – mówi ks. Andrzej. – W Kołkach np. odkryli, że w miejscu dawnego cmentarzyka znajduje się publiczna toaleta i pusty plac. Betonowe nagrobki rozkradli okoliczni mieszkańcy. Niektóre mogiły zostały też odnalezione na terenie pobliskich ogrodów. Część cmentarza sprzedano bowiem na działki budowlane. Wiele płyt nagrobnych użyto też do budowy różnych obiektów. Do wzniesienia jednej ze ścian swego domu wykorzystał je m.in. tamtejszy stomatolog. Jego dom nie był jednak szczęśliwy. Ludzie mówili, że jedna z jego ścian „płacze”. Obecnie chce go sprzedać, ale nikt nie chce go kupić, chociaż żąda za niego niewielkich pieniędzy.

Swoją aktywnością ks. Andrzej uzupełnia niewątpliwie poczynania maniewickiego oddziału obwodowego Stowarzyszenia Kultury Polskiej im. Ewy Felińskiej na Wołyniu, kierowanego przez panią Halinę Pawluk, do którego należy pięćdziesiąt osób. Prowadzi on różnorodną działalność, koncentrując się oczywiście na nauce języka ojczystego. Z jego inicjatywy w Szkole Średniej Nr 2 język polski jest nauczany jako przedmiot obowiązkowy. Pani Halina prowadzi też Szkołkę Niedzielną, w której języka polskiego uczy się kilkadziesiąt osób, podzielonych na dwie grupy: dziecięcą i młodzieżową. Zarówno uczniowie poznający język polski w szkole, jak i w szkółce osiągają niezłe rezultaty. Biorą udział w rozmaitych konkursach i olimpiadach. Najlepsi są

zapraszani do Polski na wakacje, a także na różne imprezy. Oddział Stowarzyszenia w oparciu o dzieci i młodzież organizuje również najróżniejsze przedsięwzięcia kulturalne, takie jak konkursy recytatorskie, montaż słowno-muzyczny, wieczory polskiej piosenki. Problemem utrudniającym aktywność oddziału jest brak własnego lokalu. Jego członkowie mogą się spotykać w szkole lub w domach prywatnych. Towarzystwo byłoby z pewnością jeszcze bardziej aktywne, gdyby rokrocznie nie doznawało „upustu krwi”. Polska młodzież po zdaniu matury idzie na studia i już do Maniewicz nie wraca, szukając możliwości zaczepienia w większych ośrodkach.

– Jest to problem wszystkich małych miasteczek – ubolewa ks. Andrzej. – Utrudnia on bardzo funkcjonowanie wszelkich wspólnot. Brakuje im liderów. Trudno jednak winić młodzież, że nie chce klepać biedy. W Maniewiczach nie ma pracy. Obok więzienia głównym zakładem w nich jest polsko-niemiecko-litewska spółka, zajmująca się skupowaniem płodów lasu, której szefem jest Polak. Niedawno powstała też firma wytwarzająca drewniane palety przeznaczone na eksport na Zachód. Pozostałe przedsiębiorstwa, jak słynny niegdyś zakład produkujący meble kuchenne, znane nie tylko na Ukrainie, zbankrutowały. Gdyby nie spółka skupująca płody leśne, sytuacja wielu rodzin w Maniewiczach byłaby dramatyczna. Zbierając latem w lesie grzyby, jagody, maliny i poziomki zarabiają na utrzymanie zimą. W sezonie wychodzą więc do lasu całymi rodzinami. Komplikuje mi to też duszpasterstwo. Msze św. w okresie letnim przenoszę na wczesne godziny poranne, kiedy mieszkańcy szykują się do wyjścia do lasu i późnym wieczorem, gdy z niego wracają. Inaczej w kościele nie byłoby nikogo...

Obecnie sen z powiek ks. Andrzejowi spędza remont świątyni. Musi go koniecznie przeprowadzić, wymieniając

dach, okna, a także zakładając w nim ogrzewanie. Jeżeli tego nie zrobi, to już niedługo ludzie w Maniewiczach nie będą się mieli gdzie modlić. Już teraz zimą frekwencja na Mszach św. spada. Przychodzi na nie coraz mniej dzieci. Rodzice obawiają się, że zachorują. Trudno się im dziwić. Bywa, że wewnątrz świątyni temperatura wynosi minus piętnaście stopni.

– Będzie to bardzo poważna i kosztowna operacja – podsumowuje ks. Andrzej. – Wierzę jednak, że przy pomocy przyjaciół z Polski zdołam ją przeprowadzić. Maniewicka parafia tak mocno związana z jej dziejami z pewnością na pomoc zasługuje.



## TAM, GDZIE SIĘ KSZTAŁCIŁ KOŚCIUSZKO

---

**D**roga z Maniewicz do Lubieszowa, którą ks. Andrzej Kwiczala przemierza samochodem przynajmniej raz w tygodniu wiedzie przez typowy dla tych stron polski krajobraz. Lasy z rzadka przecinają pastwiska, rzeczki i jeziora. Nie widać ludzkich siedzib. Tylko nieliczne stada krów pasących się na łąkach przypominają, że człowiek nie zginął całkiem z tutejszego pejzażu.

– Niegdyś ludzkich osiedli było w tych stronach więcej, ale do dziś zostały po nich tylko cmentarze lub zbiorowe mogiły – ubolewa ks. Andrzej.

By nie być gołosłownym ks. Andrzej zatrzymuje samochód przy niewielkim lesie prawosławnych i katolickich krzyży, znajdującym się na niewielkim pagórku. Zanim zmówiliśmy wieczne odpoczywanie, ks. Andrzej pokazuje dwie puste strony drogi.

– Niegdyś była tu wieś Grywa, czyli po polsku Grzywa – objaśnia. – Po jednej stronie znajdowała się część ukraińska, a po drugiej polska. W 1943 r. mieszkańcy części ukraińskiej wymordowali swych polskich sąsiadów, paląc ich domy i rabując dobytek. Po wojnie sowieckie organy bezpieczeństwa likwidujące gniazda UPA, aresztowały wszystkich mieszkańców wsi i deportowały do Kazachstanu, równając z ziemią ich zabudowania.

Przed Wolą Lubieszowską mijamy tereny dawnej Reymontówki. Znakiem, że tu była jest krzyż na zbiorowej mogile wymordowanych mieszkańców.

– Jeszcze niedawno znajdowała się na nim tablica z nazwiskami ofiar, ale ktoś ją ukradł – ubolewa ks. Andrzej.

Jadąc dalej zostawiamy z boku sad. – Zasadzono go w miejscu Wólki, mieszkańcy której spoczywają tutaj w mogile – objaśnia ks. Andrzej. – W odróżnieniu od innych jest tylko bardziej zadbana. Na Ukrainie żyje bowiem kobieta, której krewni są w niej pochowani. Otacza ją więc stałą opieką.

Z braku czasu nie idziemy już jej zobaczyć, musimy jechać do Lubieszowa, w którym czeka na nas pani Szolomicka.

– Zapomnianych grobów, kryjących szczątki ofiar wołyńskich pogromów jest jeszcze tutaj bardzo dużo – podkreśla w czasie jazdy ks. Andrzej. – Wiele z nich znajduje się w lasach, które wyrosły w miejscach spalonych wsi. Dla polskich historyków jest to ostatni moment, by je w jakiś sposób odnotować. Państwo Siemaszkowie w swoim monumentalnym dziele pominęli niestety powiat Kamień Koszyrski. Przed wojną nie należał on do województwa wołyńskiego, ale do poleskiego i powinien się znaleźć w opracowaniu jemu poświęconym. Jeżeli jednak takie nie powstanie, to powiat Kamień Koszyrski na mapie zbrodni dokonanych przez ukraińskich nacjonalistów na ludności polskiej będzie białą plamą.

Sam Lubieszów okazał się niewielkim osiedlem typu miejskiego, leżącym nad Stochodem, liczącym pięć tysięcy mieszkańców, znajdującym się rzut kamieniem od granicy z Białorusią. Sąsiedztwo to dało się wyczuć nawet w rozmowach z tutejszymi mieszkańcami. Nie mówią czystym ukraińskim językiem, ale znacznie różniącym się od niego poleszuckim dialektem.

Chodząc po Lubieszowie, można w jego zaułkach odnaleźć klimat tej miejscowości opisywany przez znanego historyka Feliksa Konecznego, który w wydanej w 1917 r. bio-

grafii Tadeusza Kościuszki pisał o miasteczku m.in.: *Wsią raczej, niż miastem, jest do dziś dnia Lubieszów czyli Nowy Dolsk, osada na zapadłym Polesiu, przy drodze wiodącej z Pińska do Łucka wołyńskiego nad rzeką Stochodem – w samym środku zabitego świata błot poleskich, w jednym z najodludniejszych kątów tego odludzia.*

Feliks Koneczny nie opisał Lubieszowa oczywiście przez przypadek. W nim bowiem zaczął szkolną edukację przyszły naczelnik państwa Tadeusz Kościuszko. Funkcjonowała w nim szkoła O.O. Pijarów znana w całej okolicy. Powstała dzięki księciu Janowi Karolowi Dolskiemu, marszałkowi wielkiemu litewskiemu, który chciał przekształcić Lubieszów z zapadłej wsi w miasteczko. Rezydował on na przemian w Zabierzu nad Prypecią, w dziedzicznym Dolsku Poleskim, przede wszystkim jednak w Karolinie na przedmieściach Pińska. Wieś Lubieszów pragną od swojego nazwiska przemianować na Nowy Dolsk w odróżnieniu od istniejącej osady, którą odtąd miano nazywać Starym Dolskiem. Nowa nazwa dla Lubieszowa się jednak nie przyjęła.

Na przestrzeni dziejów Lubieszów często zmieniał właścicieli. Po śmierci księcia Dolskiego, poprzez koligacje rodzinne trafił on do majątności księcia Michała Serwacego Wiśniowieckiego, hetmana wielkiego litewskiego. Po działach rodzinnych Lubieszów przeszedł w ręce Mniszchów. Od nich miasteczko nabył w 1754 r. kasztelan braclawski Jan Czarnecki, który osiadł w nim na stałe. Odtąd miejscowość ta aż do 1939 r. stała się gniazdem rodowym Czarneckich. Zostając włodarzem Lubieszowa Jan Czarnecki zaznaczył ten fakt, fundując w mieście drugi kościół i klasztor kapucynów. Wtedy w osadzie były trzy świątynie. Oprócz dwóch zakonnych znajdowała się w nim także cerkiew unicka. W Lubieszowie był również pałac wzniesiony przez księcia Michała Serwacego Wiśniowieckiego. Z zachowanej ryciny

z tamtego czasu wynika, że Lubieszów był wtedy okazałym miasteczkiem. Z różnych relacji można wnosić, że był znany na Pińszczyźnie. Sławę w tych czasach przynosiła mu wspomniana wcześniej prowadzona przez pijarów od 1693 r. szkoła, uchodząca za najlepszą w województwie brzesko-litewskim. Pijarzy doskonale gospodarując i otrzymując szereg zapisów, wzniesli w miejscu dawnych drewnianych zabudowań, w których się osiedlili nowy murowany klasztor i kościół. Prace przy świątyni trwały 17 lat. Dzięki pięknej architekturze i freskom, wykonanym przez brata Łukasza Hubela, była ona ozdobą całej okolicy.

Po reformie Zakonu Pijarów dokonanej przez ks. Stanisława Konarskiego, lubieszowska placówka przekształciła się w znane Collegium, funkcjonujące aż do 1834 r., kiedy to rząd carski skasował Zakon Pijarów na terenie imperium rosyjskiego. O jakości kształcenia w tej placówce najlepiej świadczy, że to właśnie w nim Ludwik Kościuszko umieścił swoich dwóch synów: 12-letniego Józefa i 9-letniego Tadeusza, przyszłego naczelnika państwa. Mógł umieścić ich w szkole średniej jezuitów w Brześciu, z którymi był zażyjany, ale uznał, że pijarzy zapewnią synom lepsze wykształcenie. Z Kroniki Collegium lubieszowskiego „pióra” Antoniego Moszyńskiego, która szczęśliwie się zachowała możemy się dowiedzieć, jak szkoła funkcjonowała i wyglądała. *Collegium czyli klasztor Pijarów, w roku 1730 z muru postawiony, o dwóch piętrach w czworobok, miał długość łokci 90, szerokość 60, gontami kryty. W obszernym dziedzińcu jego ciągnęła się z jednej strony oficyna murowana jednopiętrowa, wjeżdżną bramą na dwie rozdzielona części, w której mieściły się: konwikt czyli stancya mieszkalna dla uczniów oraz stolarnia, łaźnia, browar piwny itp. Oficyna ta ma długość 210 łokci, szerokość 11 łokci. Naprzeciw niej szkoła, także murowana jednopiętrowa o 5 salach, obok której wznosi się budowa dwupiętrowa ze zbiorami na-*

rzędzi do uczenia fizyki, chemii, matematyki i z księżnicą czyli z biblioteką szkolną. Obie budowle pokryte dachówką. Przed klasztorem rozpościerał się także ogród botaniczny z pięknymi alejami lipowymi, a w nim oranżeria większa i mniejsza, dwie narożne sklepione baszty – wszystko z muru. Nieopodal od klasztoru, nad rzeką Stochodem, był ogród owocowy zwany Wenecją, cały w kanałach zarybionych, kratami żelaznymi przedzielony od rzeki. Ogród ten, posiadający rzadkie i wyborowe różnych drzew owocowych gatunki i krzewy jagodowe, otoczony był wysokim ostrokołem dębowym. Jeden kanał wychodził bezpośrednio na rzekę, od której oddzielał się bramą kratową: stanowił on przystań, w której były utrzymywane czołna oraz tak zwane szuhaleje, albo obijanki. (...)

W samym miasteczku posiadał klasztor kilka placów, a na nich 6 domów, wynajmowanych zwykle na kwatery uczniów. Uczniowie zwłaszcza biedniejsi, mieli też wielką łatwość w najęciu kwatery za stołem u mieszkańców miasteczka za bardzo małą opłatą. Uczniowie przy zapisaniu się do księgi szkolnej, obowiązani byli składać na ręce prefekta 3 zł p. 10 groszy; ale biedniejsi – a ci stanowili prawie połowę ogólnej liczby uczniów uwalniani byli od tej zapłaty. Za te pieniądze prefekt kupował drwa do opalania sal szkolnych i świece w zimowej porze do tychże sal dawane; dla ubogich a dobrze uczących się uczniów, nabywał książki, papier, a często obuwie nawet innej opłaty od uczniów nie było. Kilkunastu uczniów niezamożnych miało mieszkanie i pożywienie bezpłatne w bursie, z funduszu, darowanego przez książąt Wiśniowieckich, mieściła się ta bursa w wygodnej oficynie klasztornej; miała osobnego dozorcę domowego pod okiem jednego z nauczycieli.

Upadek znaczenia Lubieszowa nastąpił po rozbiorach Rzeczypospolitej. Najpierw z jego pejzażu znikł pałac. Został zniszczony w początkach XIX w. W nieznanych bliżej okolicznościach. Pozostały po nim tylko fragmenty założenia architektonicznego, w postaci bramy pałacowej i skarbcza. Czarnieccy przenieśli się do dworu stojącego w pobliżu. Nie

prowadzili oni w Lubieszowie wielkopańskiego trybu życia i ich siedziba należała raczej do skromnych.

W czasie I wojny światowej przez Lubieszów, tak jak przez inne miejscowości Polesia przechodził front i miasteczko zostało zrujnowane. Spaleniu uległ dwór i inne obiekty z zespołem pijarów włącznie. W latach dwudziestych miasteczko powoli jednak dźwigało się z ruin. Odbudowy kościoła pijarów i gmachu Collegium dokonał w latach 1929–1932 proboszcz Lubieszowa ks. Jan Wierobieć.

Wcześniej, bo w 1922 r. właściciele Lubieszowa zaczęli porządkować zabudowania na swoich włościach. Zdecydowali się tylko na restaurację „skarbcza”, czyli długiego krytego czterospadowym dachem budynku o bardzo grubych murach, mieszczącego dwie sale o wysokości 4 m, a także bramy wjazdowej prowadzącej do dawnego majątku. Dwór mieszkalny, nie nadający się już do odbudowy i będący zabytkiem mniejszej wartości rozebrano.

Tuż przed II wojną światową, jak pisze w swym monumentalnym dziele o rezydencjach na Kresach Rzeczypospolitej Roman Aftanazy: *Lubieszów był jednym z cichych, niskimi domami zabudowanych miasteczek poleskich, z trzema wyróżniającymi się i nadającymi tej miejscowości swe charakterystyczne piętno grupami zabytkowymi, usytuowanymi obok siebie: okazałego klasztoru i kościoła o.o. Pijarów wraz z ich ogrodami i kościoła Kapucynów.*

Pod względem administracyjnym Lubieszów należał do województwa poleskiego, a kościelnym do diecezji pińskiej. Mimo, iż omijały go z dala znaczniejsze trakty, gdy tylko podniósł się ze zniszczeń wojennych, stał się ponownie znany w całej okolicy. Tym razem jednak nie dzięki pijarom, ale kapucynom.

W lutym 1929 r. ówczesny ordynariusz piński Zygmunt Łoziński przekazał Zakonowi Braci Mniejszych Kapucynów



ich klasztor w Lubieszowie, zlecając im utworzenie Kapucyńskiej Misji Wschodniej złożonej z zakonników obrządku wschodniego. W okresie międzywojennym w Polsce doszło do utworzenia w ramach organizacji Kościoła katolickiego obrządku łacińskiego tzw. neounii, czyli obrządku bizantyńsko-słowiańskiego, określonego także jako wschodnio-słowiański. Ta „nowa forma unii” czyli raczej administracja apostolska dla mniejszości obrządkowej w łonie diecezji siedleckiej skąd rozprzestrzeniła się m.in. na tereny archidiecezji wileńskiej, łuckiej i pińskiej. Biskup Łoziński stworzył na terenie swojej diecezji w sumie siedem parafii. Uważał on, że większość prawosławnych na terenie jego diecezji, to potomkowie dawnych unitów, którym trzeba umożliwić powrót do dawnej konfesji.

Kapucyńska Misja Wschodnia w Lubieszowie prowadziła parafię pw. św. Franciszka z Asyżu, formalnie utworzoną w 1935 r. stopniowo rozszerzając swoją działalność. U progu II wojny światowej działał przy niej też punkt sanitarny i dwa pomocnicze ośrodki duszpasterskie w Uhreniczach i Sudocz, sierociniec obsługiwany przez Siostry Sercanki oraz małe seminarium obrządku wschodniego. Przełożonym ośrodka był o. Cyryl Fermont, członek Holenderskiej Prowincji Braci Mniejszych Kapucynów. W Polsce brakowało bowiem kapłanów wschodniego obrządku. Odwrotnie niż w zachodniej Europie. Powstały tam bowiem liczne ośrodki unijne. W zgromadzeniach obrządku łacińskiego liczne grupy zakonników przyjęły obrządek wschodni. Ośrodek neounijny kapucynów w Lubieszowie był jedynym prowadzonym przez to zgromadzenie na terenie Rzeczypospolitej. Jego „odnoga” skupiająca zakonników, którzy zdecydowali się na pracę wśród neounitów, choć największa po jezuickiej nie była zbyt liczna. Składała się z 17 zakonników, w tym pięciu ojców, siedmiu braci i pięciu kleryków.



Działalność kapucyńskiego centrum nie uszła oczywiście uwadze członkom Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów. Usiłowali oni przekształcić powiat Kamień Koszyrski w swoją twierdzę licząc, że uda im się pozyskać poparcie Poleszków, stanowiących 74 proc. jego mieszkańców. W pierwszych latach II wojny światowej nie mieli jednak zbyt wielkich możliwości działania. Ostatnia właścicielka Lubieszowa Anna Tuszowska z Czarneckich opuściła Polesie przed wkroczeniem Sowietów. W ich ślady poszło wielu polskich mieszkańców osady. Przełożeni placówki kapucyńskiej i pijarskiej wysłali do centralnej Polski jeszcze przed wybuchem wojny wszystkich kleryków, a także ojców i braci zagrożonych aresztowaniem przez władze sowieckie. Pozwoliło to trwać im aż do 1943 r., gdy zaczęły się pogromy ludności polskiej dokonywane przez ukraińskich nacjonalistów. Podczas nich śmierć męczeńską ponieśli o. Kasjan Józef Czechowicz i brat Sylwester Stefan Hładzio. Ich morderstwo było tylko przygrywką do głównej rozprawy z Polakami, którą UPA wraz z lokalną policją ukraińską przeprowadziła nieco później. Jej bojówka zgromadziła pod pozorem zebrania Polaków w jednym z domów, a następnie po jego zabarykadowaniu podpaliła. Śmierć w płomieniach poniosło około dwustu osób. Wraz z innymi mieszkańcami Lubieszowa żywcem spaleni zostali także pijar br. Piotr Mojsijonek, a także siostry zakonne: Jadwiga Alojza Gano i Andrzeja Maria Osakowska.

Po wojnie w klasztorze kapucynów władze sowieckie umieściły Komendę Milicji, sąd i prokuraturę, a w klasztorze pijarów Radę Miejską. Dzięki temu jednak oba obiekty przetrwały do dnia dzisiejszego. Nad drzwiami popijarskiego obiektu zachowała się nawet tablica pamiątkowa przypominająca, że: *„Tu kształcił swą wzniosłą duszę Tadeusz Kościuszko w latach 1753–1759”*. Nadal urzędują w nim lokalne władze.

Jest to budynek jednopiętrowy z wewnętrznym dziedzińcem, ze sklepieniami krzyżowymi. Pierwotnie na poziomie pierwszego piętra przebiegała arkadowa galeria, dziś już rozebrana.

Nie istnieje już niestety kościół pijarów. Ta wspinała barokowa budowla zbombardowana podczas II wojny światowej w stanie ruiny trwała do 1967 r., kiedy to wysadzono ją w powietrze.

Pokapucyński kompleks wrócił natomiast w ręce miejscowej parafii, która odrodziła się w Lubieszowie na początku lat dziewięćdziesiątych.

– Przyczyniła się do tego moja ciocia Maria Szołomska Apaniewna – mówi z dumą oczekująca nas pod kościołem kapucynów jedna z liderek parafii, będąca jednocześnie przewodniczącą lubieszowskiego oddziału Stowarzyszenia Kultury Polskiej im. Ewy Felińskiej na Wołyniu Walentyna Szołomska. – Będąc w Łucku w odwiedzinach u córek była na Mszy św. w katedrze, gdzie usłyszała prośbę odprawiającego ją księdza, by wierni spoza Łucka zgłaszali mu zamknięte świątynie, które ocalały i można by je odzyskać. Poinformowała go więc o lubieszowskim kościele. Wkrótce przyjechał do nas o. Jan Paweł Mucharski, który wrócił niejako na stare śmieci. Swoją posługę nad Stochodem rozpoczął bowiem jeszcze przed wojną. Po wczesnym wstąpieniu do franciszkańskiego Zakonu Braci Mniejszych Kapucynów i ukończeniu studiów filozoficzno-teologicznych we Francji został wyświęcony na kapłana w 1933 r. Pracę w obrządku bizantyjsko-słowiańskim rozpoczął w Lubieszowie, który opuścił w czerwcu 1939 r. Po wkroczeniu Niemców na Wołyn, wrócił do Lubieszowa. W 1943 r. jak mi opowiadał, ponownie został przez przełożonych odesłany do centralnej Polski. Przed wyjazdem asystował przy ukrywaniu w podziemiach klasztoru najcenniejszych rzeczy i paramentów li-

turgicznych, które po powrocie szczęśliwie odnalazł. Zanim jednak wszedł do podziemi, musiał wcześniej odzyskać kościół, w czym pomagali mu nie tylko ciocia Maria, ale i mój ojciec Franciszek, a także przedstawiciele innych polskich rodzin. Jeździli do władz, pisali najróżniejsze petycje, a potem uczestniczyli w porządkowaniu świątyni zwróconej parafii.

Wnętrze lubieszowskiego kościoła jest skromne, ale ma swój sakralny wyraz. Widać, że włożono w nie sporo wysiłku, by prezentowało się jako godne miejsce do modlitwy. Większość prac w nim wraz z parafianami wykonał ks. Andrzej Kwiczala.

– Gdy po objęciu parafii w Maniewiczach mianowano mnie także proboszczem w Lubieszowie i odwiedziłem tuniejszy kościół, byłem trochę przerażony – wspomina. – Świątynia, w której miejscowi milicjanci urządzili sobie salę gimnastyczną nadawała się tylko do remontu. Jej ściany były brązowe, a drewniana podłoga położona na posadzce zżarta przez grzyb. Wspólnie z parafianami postanowiliśmy wyremontować kościół, wychodząc z założenia – niech będzie ubogi i pusty, ale czysty i ładny. Usunęliśmy więc zgniłą drewnianą podłogę i w jej miejsce położyliśmy lastriko. Pomalowaliśmy ściany i wymieniliśmy instalację elektryczną. Według mojego projektu wykonaliśmy ołtarz i konfesjonał. Organy podarowały nam Siostry Elżbietanki z Łambinowic. Ławki otrzymaliśmy z łuckiej katedry. Na razie Mszę św. odprawiam tu tylko w niedzielę, chyba że w tygodniu przypada jakieś większe święto. Wtedy w kościele jest dodatkowa Msza św. W niedalekiej przyszłości, gdy uda nam się zaadaptować odzyskaną część klasztoru na pomieszczenia mieszkalne, będę spędzał w Maniewiczach co najmniej dwa dni w tygodniu. Świątynia i klasztor wymaga jeszcze bowiem sporo prac. Nad klasztorem na gwałt musimy wymie-

niać dach. Podczas ostatniej zimy załamał się bowiem pod ciężarem śniegu. Obecnie szukamy sponsora, który pomógłby nam w wykonaniu tego przedsięwzięcia. Rozstrzygnąć trzeba również dalsze użytkowanie części pomieszczeń klasztornych przez tutejszą milicję. Sąd i prokuratura już się wyprowadziły, ale milicja twierdzi, że nie ma gdzie pójść. Początkowo byłem zadowolony z jej sąsiedztwa. Gwarantowało ono bowiem, że z takim trudem odnawiany przez nas Dom Boży nie stanie się ofiarą złodziei czy chuliganów. Okazało się jednak, że funkcjonariusze nie dbają o budynek, a nawet wręcz go dewastują. Trzy lata temu w podziemiach klasztoru urządzili sobie strzelnicę, biorąc za cel nawet grobowce zakonników. Niedawno np. pękła rura kanalizacyjna w ich areszcie sąsiadującym, jak się okazało z prezbiterium wyremontowanego kościoła, w rezultacie czego pojawił się na niej grzyb. Zgłaszałem ten problem ordynariuszowi naszej diecezji, a także władzom wyznaniowym i uważam, że skoro milicjanci nie dbają o zajmowane pomieszczenie, to powinni je opuścić. Oprócz problemów z odziedziczonymi sublokatorami i dachem, mamy też na głowie inne kłopoty. Kościół trzeba koniecznie ocieplić, a resztę zakonnych cel przygotować tak, by można w nich organizować dla dzieci „Wakacje z Bogiem”. Tutejsza okolica znakomicie nadaje się bowiem na funkcjonowanie ośrodka rekolekcyjno-wypoczynkowego. Chcielibyśmy zapraszać do niego zwłaszcza dzieci i młodzież, pozostającą dotąd na obrzeżu parafii, by przybliżyć im Pana Boga, pokazując jednocześnie, że wiara katolicka nie jest smutna, jak twierdzą prawosławni, ale radosna.

Jako proboszcz Lubieszowa ks. Andrzej nie zapomina też o tragicznych dziejach swojej drugiej parafii. O bestialsko zamordowanych jej wiernych, duchownych i siostrach za-

konnych. W bocznej kaplicy świątyni urządził miejsce ich pamięci. Robi ona wstrząsające wrażenie. Stoi w niej krzyż wykonany z resztek drewna, pochodzących z domu, w którym nacjonaliści ukraińscy spalili żywcem swe lubieszowskie ofiary. Na ścianach kaplicy są też umieszczone tablice po polsku i ukraińsku z ich nazwiskami, ufundowane przez krewnych, którzy przeżyli lubieszowską tragedię.

Oczkiem w głowie ks. Andrzeja, jak i pozostałych parafian, jest też druga boczna kaplica, w której znajduje się obraz Matki Bożej Lubieszowskiej, który zawsze cieszył się nad Stochodem ogromnym kultem wiernych.

– Ojciec Mucharski przed wyjazdem w 1943 r. ukrył obraz u zaprzyjaźnionej rodziny – mówi o. Andrzej. – Obawiał się, że w podziemiach mógł ulec zniszczeniu. Sprawa była okryta tak wielką tajemnicą, że nawet ja nie wiem, u której i tylko się domyślam. W każdym bądź razie, gdy tylko o. Mucharski pojawił się w Lubieszowie, nie musiał przypominać o depozycie. Jedna ze starszych babć w asyście krewnych przyniosła ikonę do świątyni. Wierzimy, że Pani Lubieszowska dalej nam błogosławi, że się nami opiekuje i dzięki jej pomocy możemy rewaloryzować świątynię i odnawiać życie duchowe parafii.

Wspólnota w Lubieszowie jest wprawdzie nieliczna, ale prężna, skupiająca ludzi z wyższym wykształceniem i zajmujących w miasteczku eksponowane stanowiska.

– W lubieszowskim kościele dominują rodziny: Baranowiczów, Chomiczów, Kurhanowiczów i Szołomickich – podkreśla ks. Andrzej. – Są to polskie rody zasiedziałe nad Stochodem od pokoleń, które ukraińscy nacjonaliści zaliczają do kategorii „nedorizanych Lachów”. Uratowali ich przed spalaniem miejscowi Żydzi i Ukraińcy, którzy widząc, co się szykuje, nie pozwolili im pójść na rzekome zebranie polskich

mieszkańców. Zdecydowali się pozostać nad Stochodem, odzyskując z czasem mimo swoich polskich, a często i ziemiańskich korzeni swoją dawną pozycję. Ciekawe są zwłaszcza losy państwa Szołomickich, którzy do 1939 r. tu na Zarzeczu mieli swój majątek. Sowietci zamienili go w sowchoz. Wiele lat po wojnie jego dyrektorem z nakazu pracy została urodziwa dziewczyna Tamara, która wpadła w oko Franciszkowi Szołomickiemu, pracującemu w dawnych włościach rodziców. Ożenił się z nią i po pewnym czasie przejął od niej kierowanie sowchozem. Obecnie gospodarstwo to po sprywatyzowaniu, wróciło w ręce jego dawnych właścicieli. Historia zatoczyła koło. To na Ukrainie jednak raczej rzadki przypadek.

Towarzysząca nam pani Walentyna Szołomicka nie chce mówić o swoich rodzicach, jest w ogóle nieśmiała i trzeba ją ciągnąć za język, by coś się od niej dowiedzieć.

– Rodzina ojca była bardzo liczna – tłumaczy fenomen jej trwania nad Stochodem. – Miał on trzech braci i dwie siostry. Dwaj bracia wyjechali do Polski i Francji, trzeci i siostry zostali tutaj. Babcia i dziadek bardzo kochali tę ziemię i wpoili miłość do niej swoim dzieciom. Opowiadając mi o historii Lubieszowa, mój ojciec też nigdy nie mówił mi o rzeczach strasznych z czasów wojny, ale o dobrych, o przyjaźniach i zgodnym współżyciu Polaków z Ukraińcami.

Pytany o przyszłość lubieszowskiej wspólnoty ks. Andrzej odpowiada bez zastanowienia, że widzi ją w jasnych barwach.

– Członkowie parafii są bardzo jej oddani – podkreśla. – Nie żałują swego czasu i zaangażowania, by należąca do niej świątynia prezentowała się jak najlepiej. Ksiądz biskup, gdy niedawno przyjechał do Lubieszowa na odpust, był doprawdy zdumiony, że pokapucyński kościół doprowadzono

już do takiego stanu. Trochę szkoda, że kapucyni nie podjęli dzieła o. Mucharskiego i po jego śmierci nie wrócili już do Lubieszowa. Mogliby stworzyć tu naprawdę dobry duszpasterski ośrodek.

Obserwując zaangażowanie księdza Andrzeja w odradzanie tutejszej wspólnoty można być spokojnym o dalsze jej losy. Tym bardziej, że ma on w Lubieszowie dobre podglebie. Krew męczenników zawsze wydaje owoce.



## KOWEL NA PROGU KRESÓW

---

Choć Kowel w kronikach dziejopisów występuje już w 1310 r., a prawa miejskie otrzymał w 1518 r., trudno w nim spotkać architekturę świadczącą o jego historycznej przeszłości. Królują w nim sowieckie bloki, jakie spotkać można w każdym większym mieście dawnego Sojuza. Burze dziejowe, a zwłaszcza ciężkie walki frontowe w czasie I i II wojny światowej wiele razy obracało to miasto w perzynę, niszcząc jego zabytki. Z przekazów historycznych można też wnosić, że w mieście nad Turją nigdy nie było ich zbyt wiele. Do 1518 r. Kowel był wsią Sanguszków na Kamieniu i Nie-suchojeżach. Zygmunt I nadał mu prawo magdeburskie. Włość kowelska – jak pisze w swoim „Ilustrowanym Przewodniku po Wołyniu” dr Mieczysław Orłowicz – *posiadała na dość bezludnym obszarze 900 km kw. zaledwie siedem wsi, wśród nich Myzowo i Stary Koszer oraz trzy miasteczka, a to Kowel, Wyżwę i Milanowicze. Włość ta nabyta przez królową Bonę od Sanguszków została zamieniona na starostwo niegrodowe, które w końcu XVI w. otrzymał Rosjanin ks. Kurbskij († 1583), później jednak wróciło ono do Korony. Po powrocie z wygnania w r. 1773 wojewody krakowskiego Wacława Rzewuskiego sejm nadał mu starostwo tutejsze na własność dziedziczną, lecz rząd rosyjski po 1831 r. skonfiskował dobra Rzewuskim.*

Z nieznacznego miasteczka wzrósł Kowel na jedno z większych miast Wołynia dopiero w drugiej połowie XIX w. dzięki temu, że stał się stacją węzłową dwóch linii kolejowych do Lublina i Brześcia, do których w czasie I wojny przybyły linie do Kamienia Koszyrskiego i Włodzimierza. Nawet jednak i wtedy Kowel nie był wielką metropolią. Jego krótki, wręcz telegraficzny opis

dał wkraczający do niego z Legionami w 1915 r. hr. August Krasicki. W „Dzienniku z kampanii rosyjskiej 1914–1916” pod datą 4 IX 1915 r. tak wspomina pierwszą przechadzkę po Kowlu: *Po obiedzie poszedłem na miasto. Główna arteria, ulica środkowa kilka kilometrów długości. Hotele z szumnymi nazwami „Versallies”, „Marseille”. Cukiernie, w których nic nie ma, sklepy zamknięte, same żydowskie, na ulicy widać tylko Żydów, prawosławni wszyscy wyjechali. Dwa dni później Krasicki w swym „Dzienniku” zanotował: Kowel na zewnątrz bardzo zmoskwiczony. Wszystkie domy w bocznych ulicach drewniane z zielonymi dachami. Siedem cerkwi. Szyldy wszystkie rosyjskie.*

Przed II wojną Kowel nie tylko szybko dźwigał się z ruin, ale był według najlepszego znawcy Wołynia prof. Włodzimierza Mędrzeckiego jednym z trzech ośrodków w regionie obok Równego i Dubna, w którym zachodziły miastotwórcze procesy. Potwierdzeniem tego była stale zwiększająca się w mieście liczba mieszkańców. O ile w 1925 r. miało ono 26 tys., to w 1937 r. – 33 tys. mieszkańców. Rozwój Kowla stymulował węzeł kolejowy rozbudowujący się i stale zyskujący na znaczeniu. Dość powiedzieć, że przez powiat kowelski przechodziła jedna trzecia torów kolejowych całego Wołynia.

O wzrastającej randze miasta świadczy najlepiej, że miało ono aż siedem hoteli, niektóre o nazwach godnych największych metropolii m.in. „Wersal”, „Astoria”, „Europa” czy „Belle Vne”.

Około 40 proc. przedwojennego Kowla stanowili Żydzi. Drugą pod względem narodowościową grupą byli Polacy, a trzecią Ukraińcy. W mieście żyło też trochę Rosjan. Ukraińcy modlili się w prawosławnej drewnianej zabytkowej cerkwi, a katolicy w niewielkim kościółku drewnianym z XVIII w., odnowionym w 1854 r. stanowiącym również cenny zabytek budownictwa drewnianego. W związku

z rozwojem Kowla w 1924 r. ówczesny proboszcz tamtejszej parafii, której szybko przybywało wiernych ks. Feliks Szna-  
rbachowski podjął decyzję o budowie nowego okazałego ko-  
ścioła-pomnika. Był to, jak pisze autor jego biogramu ks.  
Roman Dzwonkowski, kapłan obdarzony wybitnymi zdol-  
nościami organizacyjnymi i kaznodziejskimi. We wszystkich  
placówkach, w których pracował prowadził działalność  
społeczno-charytatywną, religijno-narodową, wydawniczą  
i pisarską. Często z narażeniem życia ratował ludność ży-  
dowską przed pogromami ze strony ukraińskiej czerni. Mia-  
nowany w 1921 r. proboszczem parafii w Kowlu, założył  
w nim pismo „Praca katolicka”. Trzy lata po swojej nomina-  
cji rozpoczął budowę monumentalnej świątyni-pomnika, nie



53. Kościół parafialny w Kowlu. Fot. Krzysztof Kottun

rezygnując jednak ze swoich pasji pisarskich i naukowych. W 1926 r. wydał m.in. rozprawę: „*Początek rzymsko-katolickiej diecezji łucko-żytomierskiej, obecnie łuckiej*”, sześćdziesiątą pozycję w swoim dorobku. Budowa monumentalnej świątyni, na którą stale brakowało środków, a także praca duszpasterska w liczącej w końcu lat dwudziestych już 10 tys. wiernych parafii, wyczerpywało siły i zdrowie tego kapłana. Zmarł nagle w Kowlu w 1931 r.

Następcą ks. Sznarbachowskiego ordynariusz diecezji bp Adolf Piotr Szelążek mianował kolejnego charyzmatycznego kapłana Mariana Tokarzewskiego, co świadczy o wielkiej wadze, jaką przywiązywał on do kowelskiej parafii. Ta bowiem stale rozwijała się, stając się jedną z największych w diecezji. Ksiądz Tokarzewski był kapłanem nietuzinkowym. Niezwykle oddany Kresom Rzeczypospolitej, słynął ze swego patriotyzmu, zyskując miano „*kresowego Skargi*”. Przed objęciem probostwa w Kowlu posługiwał w kilkudziesięciu parafiach na Podolu, Rosji i Azji Środkowej, kładąc olbrzymie zasługi dla Kościoła i polskości. Za swoją działalność duszpasterską otrzymał m.in. tytuł pronotariusza apostolskiego, kanonika honorowego kapituły łuckiej i szambelana papieskiego. Był także odznaczony Orderem Odrodzenia Polski, Krzyżem Walecznych i Krzyżem Niepodległości. Kierując kowelską parafią i zdobywając środki na dokończenie budowy jej nowej świątyni, głównie wśród Polonii Amerykańskiej nie zaniedbywał on także pracy pisarskiej poświęconej Kresom. Wydaje się, że najpełniej wyraził swoje poglądy w niewielkiej, ale bardzo ważnej broszurze zatytułowanej „*Przyczynek do historii męczeństwa w diecezjach Kamienieckiej i Łucko-Żytomierskiej*”. Napisał on ją z myślą o klerykach seminarium diecezjalnego w Łucku. Chciał im przypomnieć nazwiska kapłanów, w których ślady będą wstępować. Przy jej pomocy chciał m.in. *rozżarzać*

*w ich szlachetnych sercach (...) gorejącego ducha poświęcenia, oraz spełniać rolę nici złotej, wiążącej młodsze pokolenie ze starszymi. Sądził również, że przy pomocy tej broszury uda mu się: w końcu pobudzić serca cz.cz. braci kapłanów i rodaków w Polsce całej i Ameryce do ofiar na budowę kościołów i pracę misyjną na Wołyniu. W pracy tej szczegółowo opisał tragiczne położenie Kościoła katolickiego na Wołyniu i zaapelował do rodaków z prośbą o finansową pomoc przy budowie nowych świątyń i kaplic. Przypominał, że Kościół jest główną ostoją polskości na Kresach i ostrzegał, że jeżeli nie umocni swoich struktur, to Polska Kresy utraci. Apelowal: Jeszcze czas! Jeszcze zagrożone placówki polskie i katolickie na Wołyniu uratować można i to bardzo łatwo.*

Problemy budowlane były dobrze znane ks. Tokarzewskiemu. Jeszcze w 1938 r. z braku środków nie mógł do końca wykończyć wieży kościoła i nakryć jej hełmem.

W 1935 r. ksiądz Tokarzewski został też dziekanem nowo utworzonego dekanatu kowelskiego, jednego z większych w diecezji. Liczył on osiem parafii i 30 tys. Wiernych. Największa kowelska wspólnota skupiła 15 tys. wiernych. Jej rozwój tak jak i innych w diecezji przerwał wybuch II wojny światowej. Ksiądz Tokarzewski mógł przypuszczać, że NKWD nie daruje mu patriotycznej działalności. Mimo to nie opuścił parafii trwając do końca na powierzonym posterunku. Oprócz normalnej pracy duszpasterskiej organizował także pomoc dla uchodźców z Centralnej Polski, którzy na Kresach szukali schronienia przed hitlerowską nawałnicą. W połowie 1940 r. został on aresztowany przez NKWD. Podczas procesu w Łucku został skazany na karę śmierci z zamianą na 10 lat łagrów. Oskarżono go o spisek antysowiecki. Odmówił podpisania prośby o ulaskawienie. Jego dalsze losy są nieznane. Istnieją różne wersje jego śmierci. Ostatni raz widziano go w więzieniu w Kijowie. Pewne jest tylko, że

zginął jako męczennik za Wiarę i Ojczyznę. Spuścizna pisarska, którą po sobie pozostawił wystawia mu jak najlepsze świadectwo jego Wiary i umiłowania Ojczyzny.

Ksiądz Tokarzewski nie był jedynym kapłanem-męczennikiem pochodzącym z kowelskiej parafii. NKWD aresztowało również ks. Władysława Szpaczyńskiego, wybitnego spowiednika i katechetę uwielbianego przez młodzież szkół średnich. Aresztowany i oskarżony za udział w antysowieckiej konspiracji wraz z ks. Tokarzewskim został skazany na śmierć. Najprawdopodobniej zginął w czasie masakry więźniów dokonanej w Łucku przez NKWD na kilka godzin przed wkroczeniem.

Kowelscy duchowni nie byli oczywiście jedynymi represjonowanymi obywatelami RP w Kowlu. Niewielkie miejscowe więzienie zostało wypełnione niemal pod sufit. Ciekawe w tym względzie są m.in. ustalenia Bogdana Musiała, historyka niemieckiego, polskiego pochodzenia. Niewielki areszt przewidziany na 237 zatrzymanych został wypełniony w 346 procentach. Choć bywały miesiące, że wskaźnik ten był wyższy. W maju 1941 r. przebywało w nim np. 862 więźniów. Polacy stanowili wśród nich co najmniej 57,3 proc. Nie jest wykluczone, że w kowelskim więzieniu ten wskaźnik dla całej Zachodniej Ukrainy mógł być wyższy. W Kowlu było bowiem wielu uciekinierów z centralnej Polski, których NKWD aresztowało w pierwszej kolejności. Według danych NKWD po wybuchu wojny zabito 195 więźniów, a zwolniono 445. Ze statystyki Bogdana Musiała wynika jednak, że dane sowieckie są niepełne. Zamordowanych przez sowieckich oprawców było w Kowlu więcej.

Aresztowani w więzieniu nie byli jedynymi ofiarami sowieckiego systemu. W kwietniu 1940 r. z kowelskiej stacji 13 bydlęcymi wagonami odjechało do Kazachstanu 300 obywateli polskich.



Aresztowania i prześladowania nie zniszczyły jednak w Kowlu ani polskość, ani struktur Kościoła katolickiego. Po aresztowaniu ks. Tokarzewskiego administratorem parafii został ks. Antoni Piotrowski. Starał się on kontynuować dzieło poprzednika, organizując m.in. pomoc dla wszystkich, którzy schronili się w mieście. Po zajęciu Kowla przez Niemców wraz z innymi księżmi uczestniczył w działalności konspiracyjnej. Gdy ludności polskiej zaczął zagrażać terror ukraińskich nacjonalistów, zaangażował się w organizację samoobrony. Wspierali go m.in. kowelscy Żydzi, którzy w 1941 r. na jego ręce ofiarowali na ten cel połowę zebranego przez siebie złota. Przekazał on je później na potrzeby formowanej 27 Wołyńskiej Dywizji Piechoty AK. Żydzi nie mieli bowiem wątpliwości, jaki los chcą im zgotować Niemcy i ukraińscy nacjonaści. Ich obawy spełniły się w sierpniu 1942 r., kiedy to Niemcy wraz z policją ukraińską i litewską „zlikwidowali” żydowskie getto.

W następnych miesiącach policjanci ukraińscy mordowali w Kowlu polskie rodziny podejrzewane o działalność konspiracyjną. Generalnie jednak Kowel był miastem w miarę bezpiecznym. UPA uderzała tylko na peryferie miasta, mordując pojedyncze osoby. Bojówki tej formacji wiedziały, że garnizon niemiecki jest w stanie zgnieść każdy jej oddział, który odważyłby się zaatakować frontalnie miasto. Podkreślić trzeba, że choć mieli oni w mieście wielu zwolenników wśród swoich ziomków, to nie wszyscy z nich byli entuzjastami nacjonalistycznej ideologii. W lipcu 1943 r. duchowny prawosławny Czerwynskij nie przyjął w cerkwi tzw. wici chlebowych i w czasie niedzielnego nabożeństwa ostro wystąpił przeciwko mordowaniu niewinnych ludzi. Przekazywanie owych „wici”, będących starym cerkiewnym zwyczajem było w 1943 r. połączone z apelami do mordowania Polaków, wygłaszanych przez prawosławnych księży. Ten



z Kowla nie chciał się włączyć do tej akcji i zapłacił za to życiem. Zastrzelono go, gdy wracał do domu po wieczornym nabożeństwie.

Gdy owe „wici chlebowe” zaczęły na Wołyniu przynosić tragiczne owoce, w Kowlu zaczęli się chronić mieszkańcy mordowanych polskich wsi. Największy ich transport przyprowadził do Kowla legendarny ks. Bronisław Drzepecki, współtwórca ośrodka samoobrony w Hucie Stepańskiej, dającego schronienie około 10 tys. ludzi. Wobec zagrożenia tego ośrodka przez zmasowany atak UPA, ks. Bronisław wycofał się ze swymi podopiecznymi w 1943 r. do Kowla. W mieście tym był krótko proboszczem parafii, zastępując ks. Antoniego Piotrowskiego, który za zgodą biskupa Szełążka objął stanowisko kapelana i szefa służby duszpasterskiej 27 Wołyńskiej Dywizji Piechoty AK w stopniu podpułkownika ps. Prawdzic. Ksiądz Drzepecki, jak ustalił ks. Roman Dzwonkowski kontynuował dzieło swego poprzednika. Udzielał również pomocy nielicznym ukrywającym się Żydom, którym udało się przeżyć likwidację getta. Razem z ludnością polską opuszczającą swe strony ojczyste znalazł się latem 1944 r. w Lublinie, by szybko wrócić na Wołyń, rozpoczynając przeplatany pobytami w łagrach i więzieniach heroiczny okres swojej posługi na terenie Związku Sowieckiego, zakończony śmiercią w Szarogrodzie w 1973 r.

W 1944 r. w czasie zdobywania miasta przez Armię Czerwoną w znacznej mierze zostało ono zniszczone. Spłonął drewniany zabytkowy kościółek. Legł w gruzach wskutek artyleryjskiego ostrzału także kościół-pomnik. Ułatwiło to władzom sowieckim rozebranie do fundamentów i zatarcie po społeczności polskiej w Kowlu wszelkich śladów.

Nie wszyscy jednak Polacy wyjechali z Kowla. Pojedyncze rodziny zwłaszcza te, których bliscy walczyli w szeregach 27 Wołyńskiej Dywizji AK i zginęli spoczywając na

cmentarzu tej formacji w Zasmykach pozostały. Z czasem zaczęli się też osiedlać w Kowlu Polacy z Lwowszczyzny, a także Białorusi i Litwy. Potajemnie wykorzystując wyjazdy na urlop w rodzinne strony lub udając się w odwiedziny u bliskich uczęszczali do świątyń i przystępowali do sakramentów. W Kowlu bali się jednak przyznać do swej wiary i narodowości. Jeszcze w 1990 r., gdy do Kowla przyjechał z Polski z rekolekcjami śp. Ks. Tomasz Rusek, które dzięki uprzejmości prawosławnego duchownego mógł wygłosić w miejscowym Soborze, bali się publicznie przyznać do swojej wiary. Na rekolekcje przyszli tylko najstarsi. Po ich zakończeniu ks. Rusek był załamany. Stwierdził w beznadziei, że: *Kościół na Wołyniu już się nie odrodzi*. Dopiero, gdy z katedry lwowskiej na Wołyn do pracy przyszedł ks. Prałat Ludwik Kamilewski znany tym, którzy wcześniej jeździli do lwowskiej katedry, w której był proboszczem, zaczęli się powoli konsolidować, spotykając na Mszach św. w katedrze w Łucku. Zachęcał ich do tego sam ksiądz Kamilewski, który w rozmowie z jednym z nich Walerym Draganiukiem powiedział: *Po co wam się męczyć, jeździć do Łucka i gdzie indziej, zbierajcie podpisy wiernych i rejestrujcie parafię*. Pan Walery, który później został przewodniczącym rady parafialnej w Kowlu, odegrał dużą rolę w zorganizowaniu w tym mieście wspólnoty. W październiku 1992 r. pierwszą Mszę św. w Kowlu odprawiono w mieszkaniu jednej z parafianek.

Proboszczem odrodzonej wspólnoty został wywodzący się z krakowskiej Prowincji Matki Bożej Anielskiej Ojców Franciszkanów (Reformatów) o. Roger Mularczyk. Miał on 32 lata, kiedy jesienią 1992 r. zajechał do Lubomla na linii kolejowej Chełm–Kowel. Zajął się w nim odbudową kościoła najstarszego w diecezji łuckiej ufundowanego w 1412 r. przez Władysława Jagiełłę. Ówczesny dziekan łucki ks. Prałat Ludwik Kamilewski uznał jednak, że fran-

ciszką w pierwszym rzędzie muszą obsadzić parafię w Kowlu i z niej dojeżdżać do pobliskich parafii. W związku z organizacją centrum duszpasterskiego w Kowlu, placówka franciszkańska w tym mieście została przez władze zakonne wzmocniona. Doszli do niej najpierw brat Adrian Brzózka, później o. Gracjan Piotrowski i o. Zygmunt Majcher.

Start placówki franciszkańskiej w Kowlu, podobnie jak innych parafii na Wołyniu nie był łatwy. Zakonnicy mieszkali w wynajętym mieszkaniu, a Msze św. odprawiali w skromnej prowizorycznej kaplicy, urządzonej w starym domu, przydzielonym przez władze. Był to dla nich czas pionierski, czas odkrywania i szukania katolickich śladów, na których mogli zacząć budowanie. Atmosferę tamtych dni dobrze oddał br. Adrian Brzózka w wierszu „Po latach”, zamieszczonym później w tomiku „Milczące cienie”.

Napisał w nim m.in.

Wróciłem do swoich  
Ale ich nie było  
Ani kapliczki  
Przy drodze stała  
Ni krzyża  
Pod którym z matką  
Śpiewałem majówki  
Wróciłem do swoich  
Ale ich nie było  
Nieprzyjazny człowiek  
Spalił i zniszczył  
Bo nie jego  
Zostały wspomnienia  
Pamięć o tym  
Że to  
POLSKIE.

Oprócz Kowla franciszkanie otrzymali jeszcze do obsługi tworzące się wspólnoty w Kamieniu Koszyrskim, Lubomlu, Łukowie, dawnym Maciejowie, leżące w odległości od 30 do 100 km od ich duszpasterskiego centrum. Wszędzie poza Lubomlem była podobna sytuacja. Msze św. dojeżdżający z Kowla ojcowie musieli odprawiać w mieszkaniach prywatnych. Przełożony placówki o. Roger od początku zaczął myśleć o budowie nowych świątyń, bez których powierzone jego opiece wspólnoty nie mogłyby się rozwijać. W tymczasowej kaplicy w Kowlu mogło się pomieścić najwyżej 60 osób. Tymczasem wiernych przybywało. Rozpoczęła się w niej katechizacja dzieci i młodzieży, przygotowywanie do pierwszej spowiedzi i pierwszej Komunii.

W Kowlu o. Roger chciał wybudować niewielki murewany kościół. Obwodowy Konserwator Zabytków zaproponował jednak, by do Kowla przenieść drewniany zabytkowy kościółek z Wiszenek, który dziwnym trafem wyszedł cało ze zmagających wojennych i nie został spalony przez nacjonalistów. Władze sowieckie umieściły w nim natomiast zlewnię mleka, którą po zdewastowaniu opuściły. Za jego uratowaniem przemawiały ważne racje historyczne. Był to ostatni drewniany kościół na Wołyniu, który można było przywrócić dla potrzeb kultu. Wzniesiono go w 1639 r. Po wojnie północnej świątynia ta chyliła się ku upadkowi, ale właściciel Wiszenek Stanisław Maniacki odbudował go w 1771 r. Po pożarze w 1847 r. świątynia została wyremontowana, a w 1859 r. gruntownie odrestaurowana przez bpa Kacpra Borowskiego. W 1993 r. odnaleźli ją w czasie objazdu rozpoznawczego w 1993 r. pracownicy „Ośrodka ds. Polskiego Dziedzictwa Kulturowego poza Granicami Kraju”, działającego przy Zarządzie Krajowym Stowarzyszenia „Wspólnota Polska” w 1993 r. w stanie pół ruiny. Miał zawalony dach, stropy i zbutwiałą podłogę. W dobrym stanie zachował się

natomiast zrab ścian, chór muzyczny i w jakim takim stanie pięć ołtarzy. Inicjatywa ośrodka dążąca do uratowania świątyni została poparta przez ówczesnego dziekana łuckiego ks. Prałata Ludwika Kamilewskiego i przedstawiciele władz administracyjnych w Łucku oraz konserwatorskich w Łucku, Lwowie i Kijowie. Z pomocą przyspieszyło też Stowarzyszenie „Wspólnota Polska”, finansując wykonanie pomiaru architektonicznego, niezbędnego dla przeprowadzenia prawidłowych prac konserwatorsko-rekonstrukcyjnych. W czasie pobytu w Wiszenkach polscy architekci: Barbara Bartocha, Irena Kozyska i Jarosław Skrzypczyk spotkali się też ze specjalistami z Instytutu Projektowo-Konserwatorskiego z Kijowa. Pod koniec 1994 r. przeprowadzono rozbiórkę budowli i przetransportowano jej elementy do Kowla, a w następnym roku przystąpiono do rekonstrukcji świątyni. Prace trwały przy niej do 1997 r. Projekt przedsięwzięcia wykonał i nadzór konserwatorski nad jego realizacją sprawował inż. Architekt Serhij Pieńkowski z Ukraińskiego Zachodniego Instytutu Naukowo-Projektowo-Restauracyjnego we Lwowie. Konsultacji udzielał mu kierownik wspomnianego „Ośrodka”, działającego przy „Wspólnocie Polskiej” prof. Ryszard Brykowski.

Podkreślić trzeba, że projekt przeniesienia zabytkowego kościółka z Wiszenek do Kowla uwzględniał zarówno racje konserwatorskie, jak i duszpasterskie. Zakładał on stworzenie w Kowlu dwukondygnacyjnej świątyni. Kościół „Dolny” miał być murowany, a „Górny” drewniany. W „Dolnym” umieszczono kaplicę, salę katechetyczną i bibliotekę, a w „Górnym” właściwy kościół. Został on przykryty dachem gontowym i ponownie oszalowany. Całością prac przy rewaloryzacji kościoła kierował wikary kowelskiej parafii o. Zygmunt Majcher. Wiele prac przy nim wykonał też osobiście br. Adrian Brzózka, który z zawodu był mistrzem sto-

larskim. Całe przedsięwzięcie było możliwe dzięki dobrodziejom z Polski i Niemiec oraz dawnym mieszkańcom Kowla i Ziemi Kowelskiej.

Wraz z murami świątyni rosła też parafia. W 1994 r. przyjechały do niej Małe Siostry Misjonarki Orionistki, które zajęły się katechizacją dzieci i młodzieży, a także pracą charytatywną. Zaczęły odwiedzać chorych w domach i w szpitalu, przygotowywać posiłki dla dzieci z rodzin wielodzietnych. Tworzyły również pątnicze grupy wiernych, udające się na pielgrzymki pieszo do Berdyczowa i Latyczowa.

Kościół, choć prace wykończeniowe przy nim jeszcze trwały, uroczystie poświęcono w 1996 r. Rok później kowelska parafia otrzymała dzwony ufundowane przez społeczeństwo miasta Chełma i monstrancję подарowaną przez Urząd Gminy we Włodawie nad Bugiem. W tym samym czasie posługę w Kowlu zakończył o. Roger Mularczyk, który objął parafię w Rawie Ruskiej w sąsiedniej archidiecezji lwowskiej. Zastąpił go dotychczasowy wikary o. Zygmunt Majcher. Obowiązki wikarego objął natomiast o. Eugeniusz Kwiatkowski.

Kościół nie był oczywiście ostatnią franciszkańską inwestycją w Kowlu. Obok świątyni zbudowali jeszcze niewielki klasztor, dzięki czemu zyskali dodatkowe możliwości działania. Obsada kowelskiej placówki po dzień dzisiejszy ulega oczywiście zmianie. W serca kowelskich parafian zapadł szczególnie o. Eugeniusz, który swoją służbą i świadectwem przybliżył im powszechność i misyjność Kościoła. Był misjonarzem rodem z USA z Nowego Jorku, 33 lata spędził na misjach na Filipinach w dżungli. Członkowie parafii z żalem żegnali go, gdy odjeżdżał, choć zastąpił go ojciec Mariusz Uniżycki dobrze znany im, bo przyjeżdżał do parafii jeszcze jako seminarzysta. Po nim wikariuszem parafii został ojciec Tadeusz Pawłowicz. To im przypadło w udziale

zorganizowanie jubileuszu dziesięciolecia parafii, obchodzonego bardzo uroczyście.

Do dnia dzisiejszego kowelska wspólnota znacznie się rozwinęła. Należy do większych w diecezji, choć na początku liczyła około pięćdziesięciu wiernych, ich ilość uległa zwielokrotnieniu. Rozwinęła się w niej pięknie praca z dziećmi, działalność charytatywna.

W Kowlu zaczęło się też odradzać „polskie życie”. W 1995 r. powstał w nim oddział Stowarzyszenia Kultury Polskiej im. Ewy Felińskiej na Wołyniu. Choć zarejestrowano go dopiero w 1992 r. działa stosunkowo prężnie mimo, iż należą do niego głównie ludzie starsi. Jego członkowie otaczają opieką cmentarz wojskowy 27 Wołyńskiej Dywizji AK w Zasmykach, cmentarz rzymskokatolicki w Kowlu, cmentarz wojskowy w Kowlu. Organizują obchody uroczystości polskich. Starają się też w miarę możliwości udzielać pomocy charytatywnej potrzebującym, osobom starszym i chorym.



## Z KRAKOWA NA KOWELSZCZYNĘ

---

Pierwszym franciszkaninem, który przyjechał na Kowelszczyznę, by wspomóc odradzanie się tu od zera struktur Kościoła katolickiego był o. Roger Andrzej Mularczyk z krakowskiej Prowincji Matki Bożej Anielskiej Zakonu Franciszkanów Reformatów. Urodził się w 1959 r. Wyświęcono go na kapłana w 1985 r. Po siedmiu latach pracy w Polsce udał się na Ukrainę, a konkretnie na Wołyń. Taka była wówczas potrzeba. Księdzu Ludwikowi Kamilewskiemu udało się tam odzyskać wiele kościołów zamkniętych przez władze sowieckie i brakowało księży do ich obsługi.

– Arcybiskup Marian Jaworski prosił ówczesnego ojca prowincjała, z którym przyjechałem do Lwowa na rekonesans, by reformaci wsparli Wołyń – wspomina o. Roger. – Nie było się więc nad czym zastanawiać. Udaliśmy się z o. prowincjałem do Łucka, gdzie ks. Kamilewski przedłożył nam dwie propozycje. Mogliśmy objąć albo Korzec, albo Luboml z perspektywą utworzenia parafii w Kowlu. Ojciec prowincjał zdecydował, że reformaci obejmą Luboml, w którym mieli obsługiwać najstarszy na Wołyniu kościół, ufundowany przez króla Władysława Jagiełłę. Na zdjęciu kościół nie prezentował się źle. Był pod dachem i wstępnie wyremontowany. 14 czerwca 1992 r., w Odpust Trójcy Najświętszej, został poświęcony. Istniała już przy nim wspólnota, której liderowała pani Anna wspierająca ks. Kamilewskiego w pracach remontowych. Raz na dwa tygodnie przyjeżdżał do Lubomla kapłan, by odprawić w świątyni Mszę św. Na zmianę czynili to ks. Ludwik Kamilewski i ks. Marek Gmi-

trzek. Pod koniec września przyjechałem więc do Lubomla z walizką rzeczy osobistych, bez pieniędzy i samochodu, ale za to pełen zapału.

Ojciec Roger śmieje się, gdy wspomina swoje początki w Lubomlu. Ksiądz Kamilewski zachęcając go do pracy w tym mieście mówił mu, że odradzająca się wspólnota jest duża i sporo osób przychodzi na Mszę św. Gdy po raz pierwszy stanął przy ołtarzu, to się załamał. Do kościoła przyszły cztery osoby...

– Cały mój zapał zgasł – mówi o. Roger. – Nie bardzo widziałem, czy moja praca tutaj ma sens. Na następnych Mszach św. wiernych przyszło już więcej. Ale wielkich tłumów nigdy nie było.

Po pierwszym szoku o. Roger szybko przyszedł do siebie. Przestało mu nawet przeszkadzać, że w domku u staruszki, u której zamieszkał, nie było żadnych wygod. Formując powierzona sobie „trzódkę”, o. Roger kontynuował też prace remontowe przy świątyni, które nie były łatwe. Kościół przez wiele lat służył jako magazyn nawozów sztucznych i jego ściany były silnie zasolone.

– Wymieniliśmy m.in. posadzkę i okna – wylicza o. Roger. – Zainstalowaliśmy nowy ołtarz, w którym umieściliśmy kopię Cudownego Obrazu Matki Bożej Lubomelskiej, ofiarowanej wspólnocie przez parafię w Polichnie, w której schronił się uciekający przed ukraińskimi rzeźniami ostatni proboszcz Lubomla ks. Stefan Jastrzębski, wywożąc ze sobą cenny wizerunek.

Prowadząc prace remontowe, o. Roger starał się także rozwijać duszpasterstwo. Udało mu się skupić wokół siebie stale rozrastającą się grupkę dzieci, których starał się uczyć podstawowych prawd wiary.

– Pochodzili oni z różnych rodzin, niewierzących bądź nominalnie prawosławnych. – Niektóre przychodziły na

Mszę św., inne tylko na katechezę. W szczytowym okresie było ich w sumie ze czterdzieści. Nikogo z nich na katolicyzm nie nawracałem, uczyłem ich modlitw, przykazań itp. Prawosławnemu batiuszce to się jednak nie spodobało. Zagroził ekskomuniką wszystkim rodzicom, którzy zgadzają się, by ich prawosławne dzieci chodziły na naukę do katolickiego księdza. Dzieci przestały przychodzić do mnie, ale do cerkwi też nie poszły. Prawosławni księża nie prowadzili zresztą wówczas żadnej formacji, ograniczając się wyłącznie do odprawiania Liturgii.

Ojciec Roger zajął się też cmentarzem polskim w Lubomlu, którego resztki jakoś się zachowały. Wspólnie z parafianami ustawił tam krzyż, a w dzień „Wszystkich Świętych” odprawił nabożeństwo. Pierwsze po kilkudziesięciu latach.

Od początku swojej posługi w Lubomlu o. Roger działał też niejako dwutorowo. Równolegle starał się wskrzesić parafię w Kowlu odległym o 50 km od Lubomla.

– Przy pierwszej okazji wybrałem się pociągiem do Kowla – mówi. – Miałem adres pana Walerego Draganiuka, znajomego ks. Kamilewskiego jeszcze z czasów, gdy pracował on w katedrze we Lwowie. Zasugerował, że mi napewno pomoże odnaleźć w mieście innych katolików. Gdy wysiadłem z pociągu, szczęśliwie spotkałem przed dworcem panią, która szła na poszukiwaną przeze mnie ulicę. Gdy dotarłem pod blok, pierwszym spotkanym przeze mnie mężczyzną pod klatką schodową przy skrzynkach na listy był pan Draganiuk. Przy jego pomocy zebraliśmy grupę dwudziestu osób niezbędnych do zarejestrowania parafii. Późną jesienią 1992 r. udało się nam załatwić wszystkie formalności. Pierwsze Msze św. odprawialiśmy w domu pani Janiny Łuszczyc. Miały one miejsce w sobotę wieczorem i przychodziło na nie kilkanaście osób. Przyjeżdżałem na nie z Lubomla pociągiem i następnie wracałem z powrotem, by

w niedzielę w nim sprawować Najświętszą ofiarę. W 1993 r. udało nam się pozyskać w samym centrum miasta samodzielny dom, w którym urządziliśmy kaplicę pw. Krzyża Świętego. Do pomocy w jej organizacji przyjechało do Kowla dwóch kleryków z naszej prowincji Mariusz Uniżycki i Wacław Bujak, którzy później już jako kapłani pracowali na Ukrainie. Pierwszą Mszę św. odprawialiśmy w Wielką Sobotę 1993 r. Przyjechał na nią jeszcze ze Lwowa bp Marccjan Trofimiak, a z Łucka ks. Ludwik Kamilewski. W kaplicy tej modliliśmy się przez trzy lata. Mieliśmy tam stosunkowo niezłe warunki. Były w niej trzy pomieszczenia. W dwóch znajdowała się kaplica, w trzecim zakrystia, w której gdy przyszło więcej ludzi umieszczaliśmy dzieci. W przedsionku spowiadaliśmy wiernych. W obiekcie był gaz i zimą ją ogrzewaliśmy. Latem 1993 r. wsparli mnie dwaj współbracia z prowincji o. Gracjan Piotrowski i br. Adrian Brzózka. Zdobyliśmy też organistkę, którą została pani Nina, nauczycielka w szkole muzycznej. Kupiono również mieszkanie w bloku, dzięki czemu współbracia nie musieli mieszkać razem ze mną w Lubomlu, ale byli bliżej kowelskiej wspólnoty. Po roku pracy w 1994 r. o. Gracjan został przeniesiony do Rawy Ruskiej, a zastąpił go o. Zygmunt Majcher. Jako przełożony naszej reformackiej placówki zleciłem mu remont kaplicy w Kamieniu Koszyrskim, w którym wcześniej udało się nam także zarejestrować parafię. W miejscowości tej był co prawda kościół, ale został całkowicie przebudowany i zamieniony w piekarnię. Nie było sensu go odzyskiwać. Początkowo modliliśmy się w mieszkaniach prywatnych m.in. u pani Lucyny Arseniuk. 1 czerwca 1996 r. udało się nam poświęcić wyremontowaną kaplicę na dawnym cmentarzu pw. św. Michała Archanioła. Uroczystości przewodniczył bp Stanisław Padewski, ówczesny sufragan w diecezji kamieniecko-podolskiej.

Ojcu Rogerowi udało się także wskrzesić parafię w Łukowie, na jaki przechrzczono dawny Maciejów. Msze św. odprowadzane w nim były w domu pana Stanisława Patajewicza.

Odradzając kolejne parafie, o. Roger nie zapominał też o ich korzeniach. Wraz z wiernymi wspólnot modlił się zwłaszcza na masowych grobach Polaków niegdyś do nich należących, którzy padli ofiarą rzezi dokonanych przez ukraińskich nacjonalistów. A tych w okolicy nie brakowało. W powiecie lubomelskim kureń „Łysoho” dokonał szczególnego aktu ludobójstwa. We wsi Wola Ostrowiecka zamordował 628 Polaków i 7 Żydów, w tym 220 dzieci, w wieku do 14 lat, a we wsi Ostrówki 521 Polaków i 2 Żydów, w tym 246 dzieci do 14 lat. Gdy o. Roger przyjechał do Lubomla sprawa na nowo odżyła. W sierpniu 1992 r. dokonano ekshumacji szczątków ofiar mordy, by je godnie pochować. Ojcu Rogerowi przyszło święcić nowe miejsce kaźni Polaków w Wierzbicznie.

– Tamtejszy Ukrainiec emerytowany nauczyciel pan Miron Boczek jako mały chłopiec widział, gdzie nacjonałiści zamordowali swoich polskich sąsiadów i postanowił ustawić na ich grobie krzyże, które wykonał własnoręcznie – wspomina o. Roger. – Sam do mnie jechał i poprosił, bym je poświęcił. We wrześniu 1994 r. poświęciliśmy też kwatery żołnierzy 27 dywizji AK na cmentarzu w Rymaczach i Zasmakach. Do tej pierwszej miejscowości przez jakiś czas dojeżdżaliśmy też z Mszą św. Odprawialiśmy także odpust na św. Izydora, na który przyjeżdżało wielu byłych mieszkańców tej miejscowości, tworzących w Polsce zorganizowaną społeczność.

Pisząc o pierwszych latach posługi franciszkanów na Kowelszczyźnie nie można też pominąć osoby brata Adriana Wacława Brzózki. Pracując jako stolarz i pomagając w re-

montach, pisał też wiersze poświęcone pamięci dawnych mieszkańców tych ziem bestialsko pomordowanych. Nikt, tak jak on, nie oddał ich tragedii i nie napisał takiego aktu oskarżenia pod adresem tych, którzy podnieśli rękę na niewinnych i za nikczemne czyny dosięga ich kara, najcięższa dla człowieka, zostają napiętnowani znamieniem Kaina. Swoją twórczość publikował w tomikach, które nie pozostały bez echa. Po jednym z nich został z Ukrainy wydalony.

Od początku 1994 r. o. Roger podjął starania o uzyskanie zgody na budowę nowej świątyni w Kowlu. Władze ukraińskie akceptowały ten projekt, ale początkowo nie chciały przyznać odpowiedniej lokalizacji. Zgadzały się na wzniesienie kościoła, ale na obrzeżu miasta, gdzie mieli już swoje domy modlitwy baptysty, świadkowie Jehowy itp. Później, gdy ks. Kamilewski wystąpił z inicjatywą przeniesienia do Kowla zabytkowego drewnianego kościoła z Wiszenek, zaproponowały plac w pobliżu, gdzie znajdował się nieistniejący już kościół, wzniesiony przez ks. Tokarzewskiego. Teren ten nie bardzo się jednak nadawał, gdyż był podmokły. W końcu sami franciszkanie znaleźli i zaproponowali plac po dawnym autoparku czyli zajezdni autobusowej. Znajdował się on w centrum miasta, ale władze się zgodziły i wydały zgodę na lokalizację.

– Szybko przygotowaliśmy plan i 6 grudnia weszliśmy na plac budowy, zaczynając realizację inwestycji od murywanych pomieszczeń, tworzących dolny kościół, na których miała stanąć drewniana przeniesiona z Wiszenek świątynia – mówi o. Roger. – Wtedy zainteresowali się nami miejscowi nacjonaliści. Jak się dowiedzieli, że wznosimy kościół rzymskokatolicki, chcieli koniecznie zmusić władze, by cofnęły nam pozwolenie na budowę. Na to na szczęście było za późno. Roboty były tak daleko posunięte, że o przerwaniu ich nie mogło być mowy. Gdy tylko kościół dolny był gotowy



wiosną 1996 r. przystąpiliśmy do montowania przywiezionego z Wiszenek kościoła, z którego tylko część elementów nadawała się do użytku. Wszystkie prace wykonywaliśmy oczywiście pod nadzorem konserwatorskim. Bardzo zaangażował się w nie ojciec Zygmunt Majcher, który znał się na stolarce i zorganizował odpowiednią ekipę. Firma ukraińska nie miała żadnego doświadczenia. Podobnie jak architekt, który miał kłopoty z wyliczeniem, jaka ilość drewna będzie potrzebna do wykończenia świątyni. W sumie od rozpoczęcia budowy do poświęcenia świątyni upłynęło rok i dziesięć miesięcy. Bardzo dużo pomogli nam przy całej inwestycji Niemcy. Organizował ich do tego pan Albert Piele. Dlatego też na uroczystość poświęcenia świątyni zaprosiliśmy bpa Reinharda Lehtmana z Münster, który był głównym celebransem. Oprócz niego byli: bp Marcyan Trofimiak, bp Antoni Padewski i bp Stanisław Szyrokoradiuk. Wśród gości na poświęceniu kościoła był też ks. Zbigniew Staszkiwicz z Lublina, od którego dowiedzieliśmy się, że wznieśliśmy świątynię na dawnej posesji jego rodziny.

Od momentu zbudowania w Kowlu świątyni miasto to stało się siedzibą centrum duszpasterskiego, z którego ojcowie dojeżdżali do obsługiwanych parafii. Ich placówka stała się też formalnie domem zakonnym w 1997 r. Początkowo podlegał pod polską Prowincję Matki Bożej Anielskiej. Później bezpośrednio Kurii Generalnej w Rzymie. W 2000 r. w trakcie ujednolicania struktur zakonnych na Ukrainie został poddany jurysdykcji Kustodii św. Michała Archanioła na Ukrainie na mocy generała zakonu o. Giacomo Bini.

Ojciec Roger pracował już wtedy w Rawie Ruskiej. Od 1997 r. gwardianem domu i proboszczem parafii był o. Zygmunt Majcher, którego wsparł o. Eugeniusz Kwiatkowski, niemłody już kapłan, który ze względów zdrowotnych musiał wrócić do kraju. Po jego wyjeździe o. Zygmunta wspie-



rali m.in. o. Mariusz Uniżycki i o. Tadeusz Pawłowicz. Wspólnota po wzniesieniu kościoła kontynuowała prace inwestycyjne. Przystąpiła m.in. do budowy klasztoru obok świątyni. Po zakończeniu tej inwestycji o. Majcher przystąpił do budowy kościoła w Kamieniu Koszyrskim na dawnym polskim cmentarzu. Został on poświęcony 24 czerwca 2005 r., w tym samym dniu, w którym odbywały się uroczystości powtórnego otwarcia we Lwowie Cmentarza Orląt.

Po odejściu o. Zygmunta Majchera funkcję proboszcza i gwardiana klasztoru objął o. Tadeusz Pawłowicz. W 2006 r. duszpasterską pałeczkę przejął o. Polikarp Anatol Strzałkowski. Obowiązki wikarego objął o. Augustyn Henadij Si-ciński, urodzony we Lwowie w 1959 r., który przeszedł



54. O. Polikarp Strzałkowski OFM. Fot. Janusz Romaniuk



55. O. Henadij Siciński OFM.  
*Fot. Janusz Romaniuk*

trudną drogę do zakonu, do którego wstąpił w 1984 r., kończąc studia w 1995 r. w bernardyńskim seminarium w Kalwarii Zebrzydowskiej. Pracował później m.in. w Czeczelniku i Połonnem. Ojciec Polikarp urodził się w Jasenówce k. Żytomierza w 1970 r. Szczyci się tym, że pochodzi z polskiej rodziny, która za wiarę i polskość zapłaciła konkretną cenę. On sam niejednemu raz był obiektem drwin za to, że zawsze podkreślał, iż jest Polakiem.

– Moja mama Genowefa urodziła się w Kazachstanie, dokąd wywieziono jej rodziców – mówi. Oni sami nie zobaczyli już stron ojczyzny. Zmarli na stepowym pasiołku. Mamie udało się wrócić. Mój ojciec urodził się po ówczesnej polskiej stronie granicy we wsi k. Równego. Gdy wkroczyli sowiet, uznali mego dziadka za kułaka i rozparcelowali jego ziemię.

Nie miał on z czego utrzymać rodziny i by siedmioro dzieci nie głodowało, oddał je na służbę do ukraińskich gospodarzy, z którymi pozostawał w dobrych stosunkach. Mój ojciec trafił do rolnika, który gdy zaczęły się rzezie, okazał się być rezunem jeżdżącym nocą, by mordować Polaków. Ojciec nie zdawał sobie oczywiście z tego sprawy, gospodarz go bardzo polubił i traktował niemal jak syna. Pewnego razu nocą tato usłyszał, że ktoś wszedł do domu, mówi do gospodarza, że *„będzie odpowiadał przed naszymi, bo przechowuje u siebie Polaka”*. Ten przerażonym głosem odpowiedział, że nie wiedział, iż ojciec jest Polakiem, a do roboty go wziął, bo dobrze pracuje. Następnego dnia poszedł do dziadka i zaproponował, żeby ojca przechrzczyć na prawosławnego, bo to zapewni mu bezpieczeństwo. Ten jednak twardo odpowiedział, że *„wiarą nie handluje”*. Tato wiele razy mi to opowiadał i zawsze podkreślał, jak wielkiej wiary musiał być jego ojciec, że w ówczesnej sytuacji, gdy w okolicy były mordowane całe wsie zdobył się na taką deklarację. Tato mieszkał u tego gospodarza jeszcze trzy tygodnie, a potem uciekł. Idąc spać kładł on siekiere pod łóżko i tato bał się, że go zarąbie. Dziadkowie uciekając przed rzeziami schronili się za Zbruczem. W jakiś sposób trafili do Żytomierza. Tu moi rodzice poznali się, a później przeprowadzili się do Jasenówki, miejscowości odległej o 70 km. Tam przyszły na świat ich kolejne dzieci, w tym ja. Mam jeszcze siostrę i trzech braci. Siostra jest nauczycielką, jeden z braci lotnikiem, drugi milicjantem, a trzeci artystą rzeźbiarzem. Rodzice starali się wychować nas na porządnym ludzi. Ojciec był człowiekiem bardzo pobożnym. Dbał o nasze wychowanie religijne, ale także patriotyczne. To on nauczył nas języka polskiego. Mama urodzona w Kazachstanie już nie знаła języka przodków. Rodzice, pomimo iż w swoim życiu sporo wycierpieli zawsze uczyli nas, że w życiu nie można postępować według za-

sady: oko za oko, ząb za ząb. Uczyli nas sztuki przebaczenia, jako warunku pojednania.

Choć wychowany w głęboko religijnej rodzinie o. Polikarp nie od razu chciał zostać katolickim kapłanem. Po ukończeniu Technikum Kolejowego pracował krótko jako dyżurny ruchu. Później powołano go do służby wojskowej, którą odbywał w Moskwie w stopniu sierżanta. Miał 27 podwładnych i zajmował odpowiedzialne stanowisko. Służył trzy lata, o rok dłużej. Związek Sowiecki się chwiał i w jednostkach nie zwalniano rezerwistów. Po przejściu do cywila chciał pozostać w Moskwie. Miał tu wielu kolegów i bez trudu dostałby pracę. Rodzice jednak ani słyszeć o tym nie chcieli. Obawiali się, że z dała od domu w mieście, w którym nie ma kościoła, straci wiarę i zapomni o Panu Bogu.

– Wysłali mnie do Żytomierza, bym poszedł do spowiedzi i poważnie zastanowił się nad życiem – wspomina. Udałem się więc do żytomierskiej katedry i przystąpiłem do spowiedzi. Trwała ona bardzo długo, a na jej zakończenie niespodziewanie kapłan, u którego się spowiadałem, a był nim obecny ordynariusz diecezji żytomiersko-kijowskiej bp Jan Purwiński niespodziewanie zapytał mnie, czy nie chciałbym zostać księdzem. Początkowo zbaraniałem, sam siebie pytałem, jak to ja księdzem. Nigdy wcześniej o tym nawet nie myślałem. Po wyjściu z katedry zacząłem się jednak nad tym zastanawiać. Myśl o zostaniu kapłanem zaczęła mnie nurtować. Usiłowałem ją zabić, ale się nie dało. Zamieszkałem w Żytomierzu i po pracy zacząłem się angażować w działalność parafii, która po rozpadzie ZSRR uzyskała, tak jak cały Kościół na Ukrainie, nowe możliwości funkcjonowania. Po pewnym czasie zrezygnowałem z pracy, pomimo, że była bardzo dobrze płatna i gwarantowała mi kwaterę i całkowicie poświęciłem się kościołowi. Przy katedrze powstał

III Zakon Świętego Franciszka założony przez o. Leopolda z Niepokalanowa. Zaangażowałem się w jego rozwój. Jeździłem po wsiach, uczyłem ludzi się modlić, a zwłaszcza odmawiać Różaniec. Biskup Purwiński namawiał mnie bardzo, żebym został księdzem diecezjalnym. Ta droga jednak mnie nie pociągała, choć jako ministrant w katedrze znałem wielu z nich. Jako tercjarza bardziej pociągało mnie pójście drogą św. Franciszka. Nie bardzo jednak wiedziałem, jak to zrobić. I wtedy w Żytomierzu zjawili się bernardyni, którym udało się odzyskać kościół Św. Jana z Dukli. Początkowo nie wiedziałem, że są to franciszkanie. Sądziłem, że jest to zakon założony przez jakiegoś św. Bernardyna. Dopiero po osobistym kontakcie z ojcem Elizeuszem dowiedziałem się, że to



56. Klasztor oo. Franciszkanów w Kowlu. Fot. Janusz Romaniuk

też franciszkanie. Poprosiłem wtedy biskupa, bym mógł przejść do ich kościoła i tam pomagać. Ten zgodził się. Towarzysząc bernardynom, spotkałem się z o. Darzyckim, rozmowa z którym wywarła na mnie bardzo silne wrażenie. Postanowiłem po niej wstąpić do zakonu. Najpierw odbyłem postulat w Miastkowce, później nowicjat w Leżajsku i studia w Wyższym Seminarium Duchownym Księży Bernardynów w Kalwarii Zebrzydowskiej.

W 2000 r. o. Polikarp został wyświęcony. Uroczystość odbyła się w Żytomierzu, o co o. Roger specjalnie poprosił, chociaż święcenia diakonatu miał w Polsce.

– Święcenia kapłańskie w Polsce już spowszechniały i nie robią na ludziach większego wrażenia, co w jakimś sensie jest naturalne, bo jest ich dużo – mówi. – Tymczasem tu na Ukrainie są one wciąż wielkim wydarzeniem. Dla dobra tu-tejszych ludzi zdecydowałem się na Żytomierz, żeby oni też mogli przeżyć jakieś świadectwo. Nie pomyliłem się. Kościół był pełen ludzi, którzy byli bardzo wzruszeni. Wielu płakało.

Po święceniach o. Polikarp został przez przełożonych skierowany do Zbaraża, w którym był wikarym o. Maksymiliana Żydowskiego. Pracował tam ponad dwa lata. Dwa razy po pół roku w zastępstwie pełnił też obowiązki proboszcza. Zbaraska parafia nie wyczerpała całej aktywności o. Polikarpa. Dojeżdżał też do odradzającej się franciszkańskiej parafii w Husiatyniu. Pomagał również okolicznym księżom w pracy duszpasterskiej. Służył również jako przewodnik pielgrzymom i turystom z Polski odwiedzającym Zbaraż.

Z dawnego polskiego kresowego gniazda, w którym było dziewięćdziesięciu wiernych, po dwóch latach pracy o. Polikarp trafił do Serednego na Zakarpaciu, gdzie franciszkańska placówka obsługiwała dziewięć parafii, liczące w sumie trzy tysiące ludzi. Prowadził tam duszpasterstwo w języku



ukraińskim i słowackim. Tego ostatniego musiał się oczywiście uczyć. Tę placówkę wspomina z rozrzewnieniem.

– Zakarpacie to region bardzo specyficzny – podkreśla. – Najbardziej ekumeniczny ze wszystkich obwodów na Ukrainie. Tam nieważne, w jakim języku kapłan prowadzi duszpasterstwo, liczy się tylko, jakim jest człowiekiem.

Po dwuletniej posłudze na Zakarpaciu o. Polikarp ponownie trafił do Zbaraża, a z niego po kolejnych dwóch latach w 2006 r. do Kowla. Nie jest to łatwa placówka. Przede wszystkim dlatego, że parafie dojazdowe przez nią obsługiwane znajdują się w sporej odległości od Kowla i w każdą niedzielę dojeżdżający do nich kapłan musi przejechać bite 270 km. Z Kowla jedzie się w stronę granicy z Białorusią do odległego o 75 km Kamienia Koszyrskiego, by następnie wrócić do Kowla i udać się z niego do Lubomla i Łukowa i wrócić do Kowla. W porównaniu z czasami o. Rogera ze stałej obsługi wypadły tylko Rymacze, w których niestety praktycznie nie ma katolików.

– Mszę św. odprawiamy tam dwa razy do roku, głównie dla pielgrzymów z Polski, odwiedzających groby przodków – mówi o. Polikarp. – Ponadto okazjonalnie, dwa, trzy razy do roku sprawujemy Najświętszą Ofiarę na cmentarzach żołnierzy 27 dywizji AK w Zasmykach i Ratnie.

Największą wspólnotą jest ta istniejąca w Kowlu. Liczy około 150 osób. Tytu jest formalnie zapisanych w kartotekach. Około połowy z nich ma polskie korzenie i czuje się Polakami. Są to potomkowie nielicznych Polaków, którzy pozostali w Kowlu po 1945 r. Niektórzy przyjechali też ze Lwowa i zabruczańskiej Ukrainy, skierowani tu do pracy. Pozostali wierni mają różne, głównie ukraińskie pochodzenie. Związali się z parafią przeważnie ze względu na pomoc humanitarną, płynącą do niej z Zachodu w latach dziewięćdziesiątych XX wieku.



– Choć formalnie do niej dalej należą, to wciąż nie bardzo rozumieją istotę Kościoła – mówi ojciec Polikarp. – Nie szanują kapłana. Nie czują się zupełnie odpowiedzialni za utrzymanie parafii. Moim poprzednikom było na pewno łatwiej. Otrzymali różnoraką pomoc z Włoch i Niemiec. My z ojcem Augustynem jesteśmy zdani wyłącznie na siebie. Sami musimy się martwić, skąd wziąć pieniądze na utrzymanie własne, kościoła i klasztoru, a także na kupno benzy-ny, by mieć co nalać do baku. Dlatego też, chociaż jest nas dwóch, to w praktyce jeden stale jest w rozjazdach i stara się w różny sposób zdobywać środki na utrzymanie parafii. Sąsiedzi proszą nas też o zastępstwa, czy o głoszenie rekolekcji.

Duszpasterstwo w kowelskiej parafii jest prowadzone w języku polskim i ukraińskim. Msze św. w parafii odprawia się na przemian w językach polskim i ukraińskim. Na Mszę św. przychodzi regularnie około 70 osób, czyli mniej więcej połowa zobowiązanych.

Praca duszpasterska w kowelskiej parafii nie jest łatwa. Ojciec Polikarp ciężko wzdycha, gdy słyszy pytanie, jak ją ocenia.

– Pracuje się tu trudniej niż na moich poprzednich placówkach w Zbarażu i Zakarpaciu – twierdzi. – Ludzie tu są inni, zamknięci w sobie, skryci, wciąż jakby żyjący w cieniu historii. Bardzo trudno do nich dotrzeć. Ewangelizację często trzeba prowadzić od zera. Tu całkiem zanikła katolicka tradycja. Mimo, iż parafia funkcjonuje już szereg lat, wciąż jeszcze na nowo się nie zakorzeniła. Oczywiście staramy się nie tylko narzekać, ale prowadzić duszpasterstwo pomnażające dorobek poprzedników. W tak niewielkiej grupie wiernych nie da się oczywiście tworzyć jakichś grup, prowadzić duszpasterstwa specjalistycznego. Koncentrujemy się więc na typowej pracy pastoralnej: głosimy Słowo Boże, ewangelizujemy, udzielamy Sakramentów, prowadzimy katechezę

dla niewielkiej grupki dzieci. Liczymy, że w przyszłości nasza wspólnota będzie się rozwijać. Kowel to przecież duże 70-tysięczne miasto. Dla wielu jego mieszkańców przynależność do Kościoła rzymskokatolickiego może być atrakcyjna. Już teraz przekonują się, że Kościół rzymskokatolicki nie jest „polski”, ale powszechny i każdy, w tym także Ukraińcy, mogą do niego należeć.

Ojciec Polikarp stara się podejmować różne inicjatywy przybliżające parafię kowelskiej społeczności. Prawdziwym hitem okazały się organizowane w świątyni koncerty skrzypcowe, na które zaczęła przychodzić miejscowa ukraińska inteligencja. Podobne powodzenie miały występy chórów.

By zdynamizować duszpasterstwo w Kowlu, jak i w innych parafiach o. Polikarp chciałby sprowadzić do miasta siostry zakonne. Pracowały już w nim siostry orionistki i benedyktyнки, ale w wyniku różnych problemów i konfliktów wyjechały.

– Parafia na tym niewątpliwie straciła, bo nieźle jak słyszę z relacji pracowały – mówi o. Polikarp. – Obecnie jak sądzę nasze stosunki ułożyłyby się lepiej. Jedynym problemem jest mizéria finansowa naszej parafii. Siostry musiałyby się same utrzymać. Siostry mogłyby też zamieszkać w Kamieniu Koszyrskim. Tam pod kościołem jest akurat sala, którą można by przerobić na mieszkanie dla nich. Ich stała posługa w tej miejscowości znacząco ożywiłaby tamtejszą wspólnotę i przyciągnęła do niej więcej dzieci.

Choć funkcjonowaniu franciszkańskiej wspólnoty w Kowlu towarzyszą różne problemy i kłopoty, to niewątpliwie ma ona przed sobą przyszłość i będzie wносить wkład w życie duchowe miasta i całej Ziemi Kowelskiej.

## PARAFIA KRÓLA JAGIEŁŁY

---

**T**worząc od podstaw parafię w Kowlu tamtejsi franciszkanie sporo czasu poświęcali też innym powierzonym im dojazdowym punktom duszpasterskim. Starali się je ustabilizować, przekształcając w regularne parafie. Ojciec Roger Mularczyk nie zapominał zwłaszcza o Lubomlu. To historyczne miasteczko, z kościołem ufundowanym przez króla Władysława Jagiełłę zasługiwało bowiem na szczególną uwagę. Znane od 1287 r., od 1340 wchodziło w skład Wielkiego Księstwa Litewskiego. W 1569 r. wraz z Ziemią Chełmską, do której należało, zostało włączone do Korony. Miało wielu właścicieli. Było lenną dzierżawą, wchodzącą do królewskich dóbr stołowych. Znajdowało się w rękach Sapiehów, stanowiło dożywocie kozackiego hetmana Jana Wyhowskiego. Ostatnią starością w Lubomlu była Antonina Rzewuska. Następnie król Stanisław August Poniatowski przekazał dobra lubomelskie Ksaweremu Branickiemu w nagrodę za odbicie z rąk konfederatów barskich Baru. Gratyfikacja ta dla późniejszego targowiczana była całkiem niezła. Miasteczko, jak wynika z archiwaliów, należało do zasobnych. Był w nim browar, gorzelnia, młyny i garbarnie. Do starostwa należały też wcale nie ubogie wsie m.in.: Zawale, Skiby, Rymacze, Jagodzin, Szack, Tur, Radosław i wiele innych. Braniczcy urzeczzeni pięknem miasteczka założyli tu swoją rezydencję z pałacem i parkiem. Zbudowali też w mieście sukiennice. Upadek znaczenia Lubomla nastąpił po 1870 r., kiedy przeszedł on pod zarząd władz carskich. Gdy 3 września 1915 r. oficer legionowy hr. August Krasicki wjeżdżał do Lubomla, nie był bynajmniej nim urzeczony.

W swoim „Dzienniku z kampanii rosyjskiej 1914–1916” pod tą datą zapisał: *Miasteczko Luboml, mała żydowska dziura. (...) W środku miasteczka stoi okazała synagoga z dachem ukrytym za attyką, kościół i cerkiew. Za polskich czasów było tu starostwo. Marcin Krasicki był starostą lubomelskim.*

Dzięki bytności hr. Krasickiego w Lubomlu możemy też dowiedzieć się nieco o ówczesnej parafii. Dziarski oficer w niej bowiem na krótko popasał, co odnotował następująco: *Zajeżdżam na plebanię. Przyjmuje mnie bardzo gościnnie ks. Włodzimierz Ginoff. Kazał zaraz nastawić herbaty, odgrzać sznycle, ugościł doskonałym chlebem z masłem i dał na drogę chleba, jabłek, strzemiennego trzy kieliszki doskonałego miodu. Diecezja łucko-żytomierska. Parafia bardzo duża, ma 6000 dusz, rozciąga się po Bug.*

Z „Dziennika” Krasickiego możemy również dowiedzieć się, jak wyglądały okolice Lubomla. Pisał on o nich co następuje: *W Lubomlu kończy się szosa i zjeżdża się piaszczystą drogą w kierunku wschodnim. Po drodze ogromne łachy piasku, wioski ubogie nie spalone, ale ludności nie ma. Sieją tu dużo tytoniu, prawie przed każdą chałupą są grządki z tytoniem, gatunek z okrągłym dużym liściem.*

Po I wojnie światowej Luboml był powiatowym miastem liczącym około czterech tysięcy mieszkańców. Nadal głównym jej zabytkiem była stojąca na rynku wśród domów żydowskich synagoga, wzniesiona po 1521 r., ozdobiona polską attyką renesansową. Kościół przy niej nie był zbyt okazały. Imponował jednak swoją historią. W diecezji łuckiej – w jej przedwojennych granicach – był najstarszą świątynią. Wielokrotnie go oczywiście przebudowywano i do XX wieku nie zachował swojego pierwotnego wyglądu. W XIX w. nadano mu wygląd barokowy. W 1912 r. staraniem proboszcza ks. Stefana Jastrzębskiego i dzięki ofiarności wiernych, na jubileusz 500-lecia, kościół został gruntownie zrewalory-

zowany, a przy północnej ścianie postawiono Świętą Trójcę (taki jest tytuł świątyni), a w otoku umieszczono inskrypcję: „*Pamiętka jubileuszu kościoła lubomelskiego 1412–1912*”, na rewersie zaś widniała Matka Bożą Częstochowska i napis: „*Medalik – szkaplerz*”.

W bocznym ołtarzu świątyni znajdował się Wizerunek Matki Bożej Lubomelskiej, uchodzącej w tutejszej opinii za Cudowny. Z notatek odwiedzających wówczas świątynię wynika, że był on odsłaniany tylko podczas nabożeństw, a o jego „cudowności” świadczą różnego rodzaju wota z XVII i z XVIII w. Do 1946 r. w lubomelskiej świątyni odbywały się na Trójcę św. wielkie odpusty, ściągające tłumy wiernych. Kościół z racji swego położenia przy trakcie prowadzącym na Wołyń, był często nawiedzany przez dostojników i możnowładców udających się na Wołyń do Ołyki, Po-



57. Kościół i dzwonnica w Lubomlu. Fot. Janusz Romaniuk

rycka, Łucka czy Ostroga. Właściciele Lubomla dbali więc o splendor świątyni. Ofiarowywali jej srebra i klejnoty. Szczególnie hojna była ostatnia starościna Anna Rzewuska, a także Branicy. Od grudnia 1930 r. do 1935 r. w lubomelskim kościele rezydował Obraz Matki Bożej Łatyczowskiej, oczekujący na przewiezienie do łuckiej katedry, w której przygotowywano dla niej specjalną kaplicę. W 1929 r. w lubomelskim kościele odbyła się uroczystość z okazji 50-lecia święceń kapłańskich ks. Józefa Hołubeckiego, niezwykle zasłużonego dla Kościoła i polskości na Wołyniu misjonarza. Pracował on w Lubomlu jako wikariusz z obowiązkiem równoczesnego zarządu pobliską parafią w Ostrówkach.

Wielkie zasługi dla kościoła w Lubomlu, jak i dla całej tamtejszej wspólnoty położył w okresie międzywojennym ks. Dziekan Stefan Jastrzębski. Był wybitnym kaznodzieją, znanym spowiednikiem, typowym kresowym plebanem, który swoim owieczkom nie żałował zarówno dobroci, jak i bykowca. Dla grzeszników nie miał litości. Zadawał im ciężkie pokuty. Propagował też zwłaszcza wśród wiejskich parafian postęp i wiedzę, tępiąc przesady i zabobony. Gdy wpadł w szal, słyhać go było na pół miasta. Parafianie bali się go, ale jednocześnie kochali. W powiatowym Lubomlu stanowił niekwestionowany autorytet. Nie był on wtedy jakąś wielką metropolią. U progu II wojny światowej miał niewiele ponad 5 tys. mieszkańców, w tym 62 proc. Żydów, 15 proc. Ukraińców i 13 proc. Polaków.

Do parafii katolickiej oprócz mieszkańców miasta należeli także Polacy, żyjący w okolicznych wsiach. Na Ziemi Chełmskiej osadnictwo polskie miało bardzo bogate tradycje. W 1417 r. król Władysław Jagiełło założył po drugiej stronie Bugu niedaleko Lubomla dwie polskie kolonie: Jagodzin i Rymacze. Wspominają o tym wszystkie stare słowniki geograficzne. Rychło też powstały następne polskie osady.



W końcu XVI w. osadnicy pochodzący z Mazowsza utworzyli koło Lubomla dwie wsie – Ostrówki i sąsiadującą z nią Wolę Ostrowiecką. Żyjąc w ciągu kilkuset lat w ruskim otoczeniu, zachowali swój język, religię i obyczaje, nie ulegając asymilacji czy wynarodowieniu. Z czasem powstawały też w okolicach Lubomla szlacheckie zaścianki. To właśnie potomkowie ich właścicieli stanowili w okresie międzywojennym zdecydowaną większość lubomelskich parafian. Nie wielu było wśród nich osadników wojskowych i cywilnych.

W czasie II wojny światowej Luboml był świadkiem represji sowieckich, wymierzonych w żywoł polski, przeprowadzanych na terenie całego Wołynia. W październiku 1942 r. hitlerowcy wspólnie z policją ukraińską wymordowali w Lubomlu wszystkich Żydów. Jak ustalili Ewa i Władysław Siemaszkowie ci sami policjanci już jako członkowie UPA wykazali się ogromnym zezwierzęceniem w unicestwianiu skupisk polskich wokół Lubomla. Dokonali tego w sierpniu 1943 r., gdy zaatakowali wsie Jankowce, Kąty, Ostrówki i Wolę Ostrowiecką, w których bestialsko zamordowali 1500 osób. Nieliczni ich mieszkańcy, którym udało się uciec, szukali schronienia w Lubomlu. Wielką rolę w organizowaniu dla nich ratunku odegrał ks. dziekan Stefan Jastrzębski, który zmobilizował wiernych do udzielania im pomocy bytowej i medycznej. Miejscowe struktury konspiracyjne starały się przerzucać uciekinierów do gospodarzy w parczewskim, by uchronić ich przed wyjazdem na roboty do Niemiec.

W lipcu 1944 r. ks. Jastrzębski postanowił opuścić Luboml. Do miasta zbliżały się bowiem oddziały sowieckie. Wyjeżdżając zabrał z kościoła najcenniejsze wyposażenie, w tym Cudowny Wizerunek Matki Bożej Lubomelskiej. Początkowo posługiwał w Chełmie, by później osiąść na stałe w Polichnie k. Kraśnika. Tam na ołtarzu bocznym świątyni



umieścić lubomelski obraz. Zdecydowana większość podażyła za swym proboszczem, choć część z nich pozostała w miasteczku licząc, że jakoś się wszystko ułoży. Gromadzili się w kościele na modlitwach, lecz władze sowieckie nie kryły, że długo tego nie będą tolerować. Po pewnym czasie zamknęły świątynię i zgodnie ze swoją praktyką stosowaną w zabytkowych budowlach, zamienili na skład soli. Ta poczyniła w nim ogromne szkody. Wżarła się w podłogę i mury. Usunięto ją z budowli w latach sześćdziesiątych, ale w ścianach pozostała.

W latach 1971–1974 władze podjęły się remontu świątyni, ale uczyniły to typowo po sowiecku. W jego trakcie z dachu została zerwana blacha miedziana i zastąpiona ocynkowaną. Fachowcy, którzy to czynili, odstawili zwyczajną fuszerkę. W 1985 r. wiatr zerwał wykonane przez nich podszycie. Rok później runęła sygnaturka. Podczas „rewaloryzacji” sprofanowano także i rozgrabiono groby znajdujące się w podziemiach. W następnych latach w kościele był tartak, a gdy go przeniesiono, próbowano przekształcić świątynię w halę sportową. W 1990 r. miejscowe władze postanowiły ostatecznie urządzić w niej muzeum. Na jego frontonie powieszono tabliczkę z ukraińskim napisem *„Zabytek architektury i historii z 1412 r.”* Wnętrze budowli wypełniły rusztowania.

W 1992 r. w Lubomlu zarejestrowano Komitet Parafialny, który rozpoczął starania o odzyskanie świątyni zakończone sukcesem. Wkrótce zjawił się w mieście o. Roger Mularczyk, który objął opieką odradzającą się wspólnotę i rozpoczął prace remontowe zabytkowej świątyni. Kilka miesięcy później złożył wizytę w Polichnie, gdzie z proboszczem, ks. kanonikiem Józefem Dobrowolskim ustalili, że parafia ufunduje i przekaże do Lubomla kopię łaskami słynącego obrazu. Na umowie skorzystały obie strony. Przy okazji bowiem ks. Dobrowolski wykonał konserwację oryginału. Była to

operacja bardzo droga, ale niezbędna. Deska, na której namalowany był obraz już bowiem spróchniała i miała wiele uszkodzeń. Przy okazji renowacji okazało się, że obraz Lubomelskiej Pani był wielokrotnie przemalowywany. Jego pierwotna wersja była bardzo ciekawa i nie spotykana na ziemiach polskich. Przedstawiał on Marię ubraną w długi, ciemnoniebieski płaszcz, zdobiony złotymi gwiazdkami, pionowo drapowany, wykończony u góry szerokim, złotym pasem, z Jej ramion zwisał na podwójnym łańcuchu złoty krzyż, głowę zdobiła zaś duża korona w formie papieskiej tiary w złotej aureoli. Po konserwacji tej wersji obrazu została wykonana kopia, którą w sierpniu 1995 r. uroczystie zainstalowano w odnawianej świątyni.

Od 1997 r. obowiązki proboszcza parafii w Lubomlu przejął dojeżdżający z Kowla o. Zygmunt Majcher, który kontynuował prace rewaloryzacyjne świątyni. Pomagał mu w tym bardzo ofiarnie br. Adrian Brzózka, wykonując własnoręcznie szereg robót. Wraz ze stopniowym przywracaniem świetności zdewastowanej świątyni rosła też wspólnota parafialna w Lubomlu, licząca w swych początkach około 60 wiernych.

Na odpusty do Lubomla zaczęli też przyjeżdżać dawni mieszkańcy tej miejscowości, a także ich dzieci. Dla niektórych jest to bolesne przeżycie. Miasteczko, choć nie rozrosło się do gigantycznych rozmiarów, znacznie zmieniło swój wygląd. Z polskich śladów oprócz kościoła przetrwała za- bytkowa plebania w kształcie dworku, a także szczątki cmentarza – główna aleja i miejsce gdzie niegdyś stała gotycka kaplica. Uczucia, które towarzyszą polskim pielgrzymom odwiedzającym cmentarz, znakomicie oddał Krzysztof Kołtun w wierszu „Czereśnie z Lubomla”, zamieszczonym w tomiku „Psałterz z Porycka”:

Dzikie czereśnie  
za wzgórkim cmentarza,  
z którego pozostał  
mur z czerwonej cegły  
– widziały nieraz  
źli ludzie  
ze starych piaskowców  
– rozbijali pamięć  
i krzyże.  
W dzikich czereśniach  
Nie gnieźdzą się kosy  
– pustka przytula się  
do pni krągłoszarych  
Raz w roku  
– śpiewają na głosy,  
idą matki z wnukami, przez cmentarz  
od Rymacz z Polski.  
Idą z pamięcią  
po błogosławieństwo  
– do rodzicieli  
od chrztu i miłości.

Krzysztof Kołtun często przyjeżdża do Lubomla „po błogosławieństwo”, pochodzi bowiem z rodu wywodzącego się z Lubomla. Założył Towarzystwo Rodzin Kresowych, które m.in. stara się integrować środowisko dawnych mieszkańców tego miasta i okolic.

## WE WŁODZIMIERZU NAD BUGIEM

---

Od granicy polskiej na Bugu do Włodzimierza jest istotnie tylko jeden krok. Graniczny Uściług dzieli od jego opłotków 15 km. W niektórych źródłach Włodzimierz pewnie z tego powodu figuruje jako miasto nad Bugiem, a nie nad Ługiem. Źródeł do dziejów Włodzimierza jest zaś sporo, bo historii temu grodowi mogą pozazdrościć nawet znane metropolie. Założył je kijowski książę Włodzimierz Wielki, chrzciciel Rusi, od którego wzięło ono imię. W letopisach jest notowane od 988 r. W średniowieczu stanowiło ważne centrum życia politycznego, ekonomicznego i kulturalnego Rusi Kijowskiej. Od początku istnienia pełniło też funkcje ośrodka kościelnego. W XI i XII w. były tu prawosławne biskupstwa: halickie, turowskie, chełmskie i włodzimierskie.

Zaznaczyć trzeba jednak dla historycznej ścisłości, że książę Włodzimierz założył Włodzimierz nie na ziemi etnicznie ruskiej, jak twierdzą kijowscy historycy, ale na ziemi podbitej. Stanowiła ona centrum Grodów Czerwieńskich i była zamieszкана przez etnicznie polskie plemię Bużan. Udowodnił to m.in. mieszkający w Londynie badacz dawnych dziejów Słowian prof. Henryk Paszkiewicz. Historycy badający to zagadnienie, przytaczają tekst kroniki Nestora, który przed 981 r. zanotował: *Idie Wolodimer k Lacham i zaja grady ich, Peremyszl, Czerwen i iny grady, iże sut i do sego dne pod Rusju*. Profesor Paszkiewicz przytacza też inny ustęp kroniki Nestora, który mówi o wyprawie Jarosława i Mścisława, synów Włodzimierza na Grody Czerwieńskie w 1032 r. Jest w nim zapisane, że *podbili oni lacką ziemię oraz, że wzięli*



58. Kościół parafialny we Włodzimierzu Wołyńskim. Fot. Janusz Romaniuk

*do niewoli wielu Lachów.* Zdaniem przywoływanego badacza jest to koronny dowód, że mieszkające nad Bugiem plemię było etnicznie polskie.

Bolesław Chrobry usiłował odzyskać Grody Czerwieńskie. Zdobył je, ale po jego śmierci nikt nie kontynuował wypracowanej przez niego ruskiej polityki. Grody zostały ponownie utracone. Granica Polski przesunęła się daleko na zachód. Ludność polską deportowano w głąb Rusi, gdzie jeszcze w czasach Nestora istniały jej skupiska, świadome swego pochodzenia.

W 1073 r. Bolesław Śmiały w czasie wyprawy na Kijów zajął Grody i cały Wołyń, uzależniając je czasowo od Polski

i umacniając tu wpływy polskie. Od 1078 r. do 1094 r. istniało we Włodzimierzu biskupstwo rzymskie bezpośrednio podporządkowane Stolicy Apostolskiej. Działały tu też zakony misyjne: dominikanów, franciszkanów i cystersów.

Po śmierci księcia kijowskiego Jarosława, Ruś podzieliła się na dzielnice. Grody wraz z Wołyniem stały się odrębnym państwem ze stolicą we Włodzimierzu. Do jego rozwoju przyczynił się zwłaszcza książę Roman Mściśłowicz. W czasie trzynastowiecznego pochodu Tatarów na Europę, Włodzimierz został zniszczony niemal do korzenia. Odrodził się za sprawą książąt Daniły i Bazylego. W 1340 r. Włodzimierz został przyłączony przez Kazimierza Wielkiego do Polski. Dzięki jego staraniom w mieście powstała łacińska diecezja. W 1366 r. zbudował on we Włodzimierzu katedrę wraz z warownym zamkiem.

Od 1370 do 1569 r. Włodzimierz wchodził w skład Litwy. Na początku litewskich rządów w 1376 r. papież Grzegorz XI bullą „Debitum Pastoralis Officii” przyznał kościołowi włodzimierskiemu prawa katedry i powołał na jej biskupa ojca Łyzdora.

Rywalizacja Polski i Litwy na terenie Wołynia w XV w. doprowadziła do utworzenia dwóch odrębnych diecezji łacińskich we Włodzimierzu i Łucku. W 1400 r. papież Bonifacy mianował biskupem we Włodzimierzu Grzegorza, przeora dominikanów z Łucka. Funkcjonowanie dwóch diecezji na tym samym obszarze spowodowało szereg tarć i nieporozumień. Zażęgnało je porozumienie zawarte w 1425 r. Na jego mocy stolicę diecezji przeniesiono w 1427 r. We Włodzimierzu pozostała tylko stolica diecezji prawosławnej. W 1491 i 1500 r. Włodzimierz powtórnie był zniszczony przez hordy tatarskie, zapuszczające się aż na ziemie Korony. Jedynym zabytkiem, ocalałym do naszych czasów jest Sobór Uspieński, zwany też Świątynią Mściśława. Leży na

wzgórzu w otoczeniu dawnych miejskich wałów. Wraz z rezydencją i dzwonnica stanowił umocnioną siedzibę wołyńskich biskupów. Wzniesiono go w XII w. Na polecenie wspomnianego księcia kijowskiego Romana Mściśławicza, przez naddnieprzańskich majstrów. Konstrukcję tej budowli wzorowali zapewne na Cerkwi Kyryłowskiej w Kijowie, bo jest ona do niej bardzo podobna. Jest to cerkiew kamienna, trójnawowa, o prostych formach architektonicznych.



59. Tablica ku czci ks. dra inf. Stanisława Kobyleckiego we włodzimierskiej farze. Fot. Janusz Romaniuk

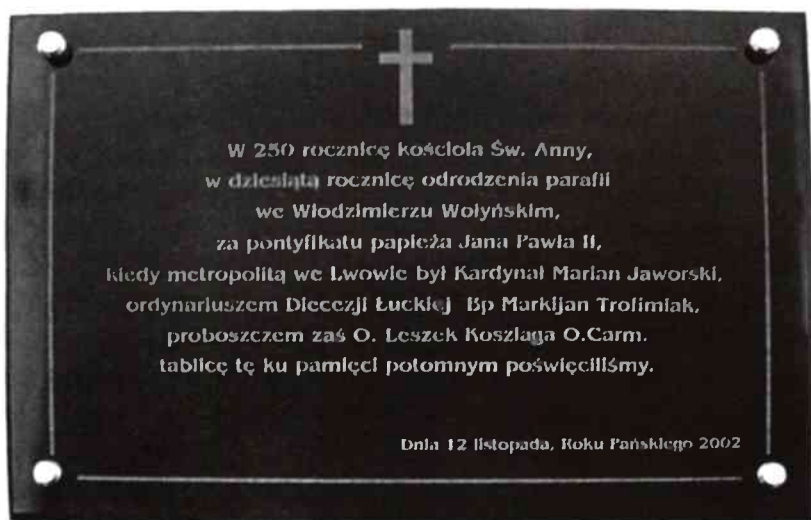


O łacińskich tradycjach Włodzimierza przypomina kościół Świętych Joachima i Anny, choć nie ma on tak starożytnych korzeni, jak Sobór Uspieński. Zbudowany został w 1752 r. przez bpa Adama Wojnę Orańskiego. Stał on jednak w miejscu starej drewnianej świątyni, ufundowanej w 1554 r. przez księżną Annę Zbaraską. Spłonęła ona jednak w 1736 r. i na jej miejscu wzniesiono nowy Dom Boży, który szczęśliwie przetrwał wszystkie burze dziejowe, których całe multum przeszło jeszcze nad Wołyniem, nie omijając oczywiście Włodzimierza. Już krótka wizyta w tej świątyni, obsługiwanej przez ojców Karmelitów, pozwala lepiej zrozumieć genius loci tego miasta. To rodzące się swoiste sanktuarium ekumenicznego pojednania między katolikami obrządku rzymskiego i greckiego a prawosławnymi. Przy jego bocznym ołtarzu często modlą się nie tylko wyznawcy obu obrządków, ale także ich duchowni. Ołtarz ten jest bowiem poświęcony św. Jozafatowi Kuncewiczowi męczennikowi za jedność Kościoła i Patronowi pojednania. Znajduje się na nim obraz świętego i relikwiarz w kształcie krzyża z częścią relikwii tego świętego. Nie został on tu zamontowany bez powodu. Święty Jozafat urodził się bowiem w tym mieście i w nim nasiąkł atmosferą, która zadecydowała o wyborze przez niego drogi życiowej. W jego czasach Włodzimierz był wielkim tygłem plemion i kultur. Mieszkali w nim Polacy, Litwini, Rusini, Ormianie i Żydzi. Dziś społeczność Włodzimierza ma nadal wielonarodowy charakter, choć niewątpliwie jest zdominowana przez żywioł ukraiński.

Do 1795 r. Włodzimierz wchodził w skład Rzeczypospolitej. Później włączono go do Rosji. W 1803 r. w związku z likwidacją unii brzeskiej w Cesarstwie Rosyjskim, we Włodzimierzu przestało istnieć grecko-katolickie biskupstwo. Rangę Włodzimierza podtrzymywał wtedy fakt działania w nim szkoły średniej, należącej do najlepszych na Wołyniu

obok placówek w Międzyrzeczu Koreckim, Klewaniu i Krzemieńcu. O ich poziom dbał Uniwersytet w Wilnie. Aż do represji po Powstaniu Listopadowym obowiązywał w nich nie tylko polski język nauczania, ale również programy z okresu Komisji Edukacji Narodowej. Funkcjonowanie szkoły we Włodzimierzu przyczyniło się do trwania polskości nie tylko w nim samym, ale również w powiecie włodzimierskim, obejmującym wówczas swym zasięgiem jedną trzecią Wołynia.

Największe ciosy spadły we Włodzimierzu na polskość i związany z nią Kościół katolicki po Powstaniu Listopadowym. Tak jak na całym Wołyniu, zlikwidowano w nim zakony i klasztory. Dziś nie ma już w mieście nawet śladu po kościołach i klasztorach dominikanów i kapucynów. Zamieniono je najpierw na inne obiekty, a następnie rozebrano.



60. Pamiątkowa tablica w kościele farnym we Włodzimierzu Wołyńskim. Fot. Janusz Romaniuk

Wiernym odebrano także w 1840 r. pojezuicki kościół Najświętszego Serca Jezusowego, likwidując jednocześnie erygowaną przy nim w 1775 r. parafię. W ramach polityki rusyfikacyjnej świątynię tą przekształcono w cerkiew prawosławną.

W wyniku rusyfikacyjnej polityki władz carskich, polskość we Włodzimierzu, tak jak na całym Wołyniu, poniosła ogromne straty. Istniały tu tylko rosyjskie szkoły ludowe oraz wyznaniowe: żydowskie i ewangelickie. Nawet Polacy zazwyczaj wcześniej poznawali język rosyjski, a później dopiero uczyli się czytać i pisać po polsku. Sieć szkolna była bardzo rzadka. Odsetek analfabetów wśród ludności polskiej wynosił aż 58 proc.! Twierdzami polskości były w okolicach Włodzimierza głównie ziemiańskie dwory. To ziemianie w 1918 r., gdy kończyła się I wojna światowa powołali we Włodzimierzu Komitet Obywatelski, kierowany przez Tadeusza Krzyżanowskiego i Tadeusza Dworakowskiego. Zorganizował on m.in. sieć szkół polskich pod szyldem Polskiej Macierzy. Sprawował on władzę nad powiatami: włodzimierskim, lubomelskim, horochowskim i częścią kowelskiego, aż do momentu wkroczenia wojsk polskich.

Symbolem zrzucenia jarzma niewoli było we Włodzimierzu rewindykowanie przez wiernych w 1920 r. zamienionego na cerkiew kościoła pojezuickiego. Ponownie zaczęła przy nim funkcjonować parafia Najświętszego Serca Jezusowego.

Dowodem prężności odradzającego się środowiska polskiego we Włodzimierzu było wydawanie pierwszego na Wołyniu periodyku „Ziemia Włodzimierska”.

W dwudziestoleciu międzywojennym Włodzimierz dynamicznie się rozwijał, stale zwiększając liczbę ludności. O ile na początku lat dwudziestych liczył 12 tysięcy, to w 1937 r. 30 tys. mieszkańców. Oznacza to, że w ciągu niespełna dwudziestu lat dwuipółkrotnie zwiększył liczbę

ludności. W pierwszym dziesięcioleciu Polski Odrodzonej w rejonie Włodzimierza zrealizowano dwie inwestycje o dużym znaczeniu. Przeprowadzono przez niego połączenie kolejowe z Kowla do Sokala, łączące Wołyń z Galicją, a także wybrukowano drogi prowadzące z Uściługa do Włodzimierza i z Włodzimierza do Łucka. Inwestycje te znacznie podniosły rangę Włodzimierza jako centrum administracyjnego, a także zaplecza gospodarczego dla najbliższej okolicy. Podkreślić trzeba, że w latach międzywojennych nieźle we Włodzimierzku trzymała się polskość. Polacy stanowili w nim 43 proc. obywateli i byli żywiołem dominującym. Drugą pod względem liczby narodowość stanowili Żydzi. Ich odsetek wynosił 39 proc. Ukraińcy, których było 15,5 proc., zajmowali trzecie miejsce na narodowej liście obywateli.

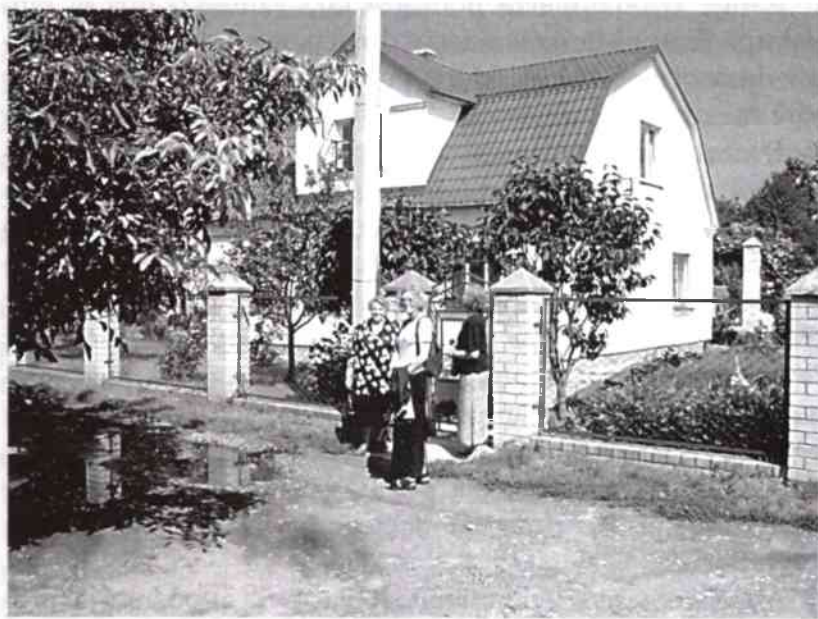
Rangę Włodzimierza podniósł fakt zamieszkania w nim biskupa Piotra Mańkowskiego, dotychczasowego ordynariusza diecezji podolskiej, który po usunięciu przez bolszewików nie otrzymał od Stolicy Apostolskiej nowego przydziału. Początkowo rezydował w Buczaczu, ale w 1926 r. przeniósł się do Włodzimierza, otrzymując godność archidiacona kapituły katedralnej i stanowisko ojca duchownego łuckiego seminarium niższego z siedzibą we Włodzimierzku. Placówkę tą powołał do życia ordynariusz diecezji łuckiej i znany krzewiciel polskości na Kresach Rzeczypospolitej bp Adolf Piotr Szelażek, nawiązując do oświatowej tradycji tego miasta. Ukończyło go wielu przyszłych znanych księży, w tym legendarny ks. Antoni Chomicki, zwany „patriarchą Wołynia i Podola”, który swoją posługą odegrał ogromną rolę w przetrwaniu Kościoła katolickiego na Ukrainie w czasach sowieckich.

Absolwentem włodzimierskiej placówki, a później jej prefektem był także ks. Bronisław Drzepecki, kapłan ogromnie zasłużony dla Kościoła katolickiego i polskości na Ukrainie

i w Kazachstanie. W łagrach spędził kilkanaście lat i umarł w Szarogrodzie w opinii świętości. Jego całozyciowa postawa wystawia doskonale świadectwo włodzimierskiej placówki.

Ważną rolę w przedwojennym życiu Włodzimierza odgrywała również Szkoła Podchorążych Artylerii. Ukończył ją m.in. znany kapłan Tadeusz Fedorowicz.

W okresie międzywojennym życie religijne Włodzimierza koncentrowało się w dwóch parafiach: Świętych Joachima i Anny i Najświętszego Serca Jezusowego. Pierwsza była większa. W 1937 r. liczyła 5054 wiernych. Oprócz części Włodzimierza mieszkali oni w 29 wsiach i osadach, rozrzuconych w gminach Werba, Chotiaczów i Korytnica. Jej pro-



61. Nowa plebania we Włodzimierz Wołyńskim. Fot. Janusz Romaniuk

boszczem był powszechnie szanowany ks. Bronisław Galicki, absolwent seminarium duchownego w Żytomierzu i Akademii Duchowej w Petersburgu. Po zwycięstwie bolszewików na Ukrainie udał się do Polski, gdzie proboszczował w Dubnie, a następnie we Włodzimierzu. Był kanonikiem honorowym oraz kanonikiem gremialnym Kapituły Ołyckiej i proboszczem konsultorem. Jego wikarym był ks. Józef Kazimierz Czurko, bardzo popularny wśród młodzieży z racji pełnienia funkcji katechety.

Druga parafia pw. Najświętszego Serca Jezusowego miała 3500 wiernych, mieszkających w 25 miejscowościach. Kres polskiemu Włodzimierzowi położył wrzesień 1939 r. 18 września dowodzący przygotowaniami do jego obrony generał Mieczysław Makary Smorawiński, nie widząc po wkroczeniu na Wołyń wojsk sowieckich sensu dalszej walki, ogłosił demobilizację i zwalnianie do cywila żołnierzy pochodzenia ukraińskiego i białoruskiego. Z pozostałych żołnierzy polecił sformować trzy bataliony piechoty i przerzucić je na zachodnią stronę Bugu w rejon Horodła. Dwom batalionom kazał jednak zawrócić dla utrzymania porządku w mieście. Zaczęło w nim bowiem dochodzić do antypolskich rozruchów. Część żołnierzy Ukraińców po zdemobilizowaniu zasililo bowiem bandy dywersyjne, które mordowały w okolicy uciekinierów cywilnych, osadników wojskowych i podpałyły osiedla polskie i osady wojskowe.

Po wkroczeniu 19 września do Włodzimierza wojsk sowieckich, generał Smorawiński podpisał kapitulację. Według relacji świadka został on jednak przez Sowietów oszukany. Jeden z nich wspomina to m.in.: *Znalazłem się w oddziale ochraniającym ludność polską przed mordami Ukraińców, wycofywaliśmy się w kierunku Horodła. Tam dotarła wiadomość o wkroczeniu bolszewików i rozkaz marszu na Włodzimierz. (...) Późnym wieczorem wkroczyliśmy do miasta, zakwaterowaliśmy się w ko-*



szarach Szkoły Podchorążych Artylerii i położyliśmy się spać w korytarzu, było ciasno. Dzięki temu znaleźliśmy się rano blisko oficerów, którzy przemawiali. Był wśród nich generał Smorawiński. Powiedział tak: „Wysłaliśmy parlamentariuszy do Sowietów. Nie wracają. Słychać warkot czołgów, więc idę do nich sam”. Czekaliśmy czy wróci? W sianej mgłę dostrzegliśmy trzy sylwetki. Wrócił... Oświadczył: „Nie mogłem uzyskać tego, byśmy z bronią w ręku mogli przejść do Bugu, gdzie mają nas puścić wolno. Udało mi się wynegocjować tylko to, że oficerowie zachowają broń boczną, a całość po rozbrojeniu zostanie uformowana w kolumnę i pod eskortą sowieckich czołgów, dla ochrony przed Ukraińcami, doprowadzona do Bugu. Nim złożyliśmy broń, generał powiedział: „Pamiętajcie, że żołnierz polski składa broń z honorem i z honorem będzie ją brał. Niech żyje Polska”. Nasze głosy odbiły się echem od koszarowych ścian. Ostatnim echem wolności. Ustawiono nas w szeregi i kolumną pomaszzerowaliśmy w stronę Bugu. Opodał koszar ‘palu’ zatrzymano nas, odebrano oficerom broń i wszystkich zawrócono do Włodzimierza. Tam stłoczono nas w więzieniu.

Oficerowie zatrzymani we Włodzimierzu przez Szpieców trafili do Kozielska, a z niego na miejsce mordy w Katyniu. Generał Smorawiński jako jeden z nielicznych ma tam swój odrębny grób. Jego zwłoki rozpoznał bowiem brat Stanisław, przywieziony do Katynia przez Niemców. Gdyby wydał mieszkańców Włodzimierza na łup ukraińskich band i wycofał się z wojskiem do Horodła, ocaliłby głowę. Dawni mieszkańcy Włodzimierza i ich dzieci powinni o tym pamiętać... Być może wielu z nich żyje dzięki ofierze złożonej przez niego i podkomendnych.

Niemal natychmiast po wkroczeniu do Włodzimierza wojsk sowieckich zawiązała się w nim niepodległościowa konspiracja związana ze Służbą Zwycięstwu Polski. Aktywnie zaczęli działać w niej księża z obydwu parafii z proboszczami na czele. Bardzo aktywnie zaangażowali się w nią



zwłaszcza księży z parafii Świętych Joachima i Anny proboszcz Bronisław Galicki i wikary Józef Kazimierz Czurko. Pomagali oni materialnie uciekinierom wojennym, dzieciom, osobom starszym i bezdomnym. Tym, którzy byli zagrożeni aresztowaniem, ułatwiali zdobycie fałszywych dokumentów. Podobnie postępował proboszcz drugiej włodzimierskiej parafii ks. Stanisław Kobyłecki. Kapłan ten pochodzący z Podola przybył do Włodzimierza w październiku 1939 r. Wcześniej jako doktor teologii był wykładowcą w Seminarium Duchownym diecezji łuckiej i asystentem kościelnym przy KSM. Po zamknięciu seminarium objął we włodzimierskiej parafii obowiązki proboszcza. Pełniąc tą funkcję, organizował pomoc dla uciekinierów z centralnej Polski, inspi-



62. Dom o. Leszka Koszlagi otwarty dla gości. Fot. Janusz Romaniuk

rował akcje wysyłania paczek żywnościowych mieszkańcom Włodzimierza, deportowanym przez władze sowieckie na Syberię i do Kazachstanu. Inicjował też modlitwy w ich intencji.

Działalność polskiego podziemia nie mogła oczywiście ująć uwadze sowieckich organów bezpieczeństwa. Te bowiem nad Włodzimierzem Wołyńskim rozciągały bardzo pieczołowitą „opiekę”. Ich funkcjonariusze doskonale zdawali sobie sprawę, że środowisko rodzin wojskowych, których sporo mieszkało we Włodzimierzu jest naturalnym zapleczem działalności niepodległościowej. Uwagę NKWD na pewno też zwrócił fakt, że wśród nich była też rodzina szefa SZP Michała Tokarzewskiego-Karaszewicza. Jego brat cioteczny Jerzy Lerch był kapitanem w szkole Podchorążych Artylerii.

NKWD od razu dokonało szeregu aresztowań, izolując profilaktycznie elementy „kontrewolucyjne” i „powstańcze”. Następnie w toku pracy operacyjnej zatrzymywało tych, którzy autentycznie działalność podziemną podejmowali. Uderzenia NKWD były niestety bardzo celne. Księża Galicki, Czurko i Kobylecki zostali aresztowani wiosną 1940 r. i po trzydniowym procesie skazani na śmierć za: *„aktywną, podstępną, antysowiecką działalność, utworzenie organizacji i uknuć spisku mającego na celu zbrojne oderwanie Wołynia od ZSRR”*. Księża Galicki i Czurko zginęli w czasie masakry około dwóch tysięcy wiernych 25. 06. 1941 r. w więzieniu w Łucku. Ksiądz Kobylecki przeżył cudem pod zwalami trupów.

Księża nie byli oczywiście jedynymi we Włodzimierzu ofiarami sowieckich represji. Latem 1940 r. NKWD wpadło na trop podziemnej organizacji założonej w miasteczku. 16 lipca 1940 r. narkom spraw wewnętrznych USRS Komisarz bezpieczeństwa państwowego 3 rangi Sierow w specjalnym

meldunku, adresowanym do samego ławrientija Berii donosił, że: „Wołyńskie UNKWD wykryło filię polskiej kontrrewolucyjnej organizacji powstańczej («ZWZ»), kierowanej z m. Lwowa. Na czele organizacji stał były podpułkownik Wojska Polskiego Czapliński.

Członkowie tej organizacji stawiali sobie za cel przygotowanie powstania zbrojnego, które doprowadziłoby do obalenia władzy sowieckiej i odrodzenia byłego państwa polskiego.

Aby móc zrealizować postawione zadania, organizacja prowadziła zakrojoną na szeroką skalę działalność werbunkową wśród Polaków i byłych oficerów Wojska Polskiego. (...) w m. Włodzimierzu Wołyńskim wykryto 14 członków k-r organizacji (...) osoby te zostały aresztowane.

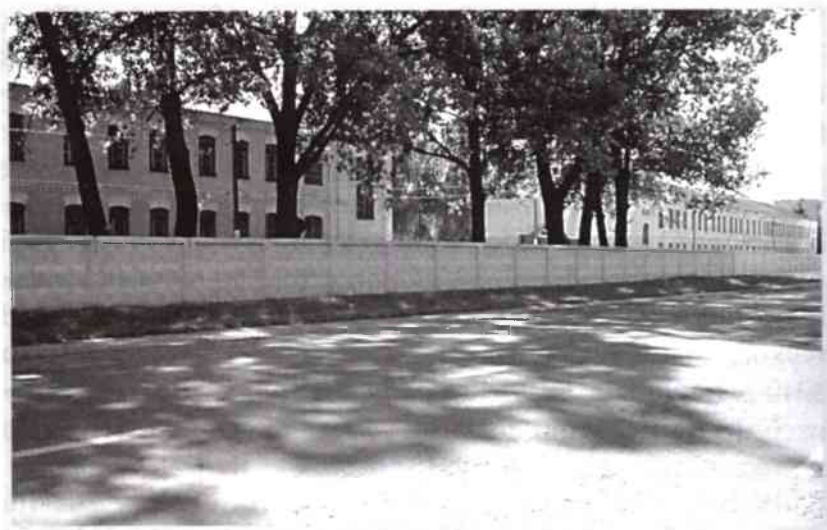
Podczas akcji skonfiskowano 21 granatów, 2 rewolwery, 5 szabli, 7 karabinów, nacjonalistyczne k-r ulotki i 2 nadajniki radiowe.

W toku śledztwa ustalono, że na terenie m. Włodzimierza Wołyńskiego działają szeroko rozwinięte k-r formacje: «Skuc», «POW», «SZP» (Służba Zbawienia Polski), stanowiący blok trzech k-r organizacji podporządkowanych wspólnemu kierownictwu w ramach «Związku Walki Zbrojnej».

Sowieckie organy bezpieczeństwa robiły oczywiście wszystko, by aresztować wszystkich polskich kontrrewolucjonistów. O natężeniu ich działań świadczy najlepiej stopień wypełnienia włodzimierskiego aresztu. Ten niewielki przybytek przewidziany na 115 aresztantów, w marcu 1941 r. był wykorzystany w 351 proc.! Wcześniej jeszcze w kwietniu 1940 r. z włodzimierskiej stacji w siedmiu bydłych wagonach do Kazachstanu zostali wywiezieni członkowie rodzin represjonowanych, w sumie 187 osób.

W tych trudnych czasach włodzimierscy Polacy znajdowali pociechę w kościele. Na miejsce aresztowanych księży do Włodzimierza przybył z polecenia bpa Szelażka, ks. Andrzej Gładysiewicz, wyświęcony w 1939 r., który wcześniej

był krótko wikarym w Łucku i Kowlu. Formalnie został proboszczem parafii Najświętszego Serca Jezusowego na miejscu ks. Stanisława Kobyleckiego. Starał się mimo braku kapłańskiego doświadczenia godnie go zastępować. Zasłynął ze swej patriotycznej postawy, zwłaszcza w czasie okupacji niemieckiej i krwawych wołyńskich rzezi, dokonywanych przez ukraińskich nacjonalistów. Tuż po wkroczeniu Niemców do Włodzimierza przyszło mu pochować 36 więźniów, zamordowanych we włodzimierskim więzieniu. Władze sowieckie pewnie z braku czasu nie zdążyły eksterminować pozostałych, pozwalając im uciec. Niemieckie czołgi były już na przedmieściach miasta. Wkroczenie do Włodzimierza Niemców oznaczało dla Polaków kolejną okupację. W mieście zaczęła się tworzyć Organizacja Ukraińskich Nacjionali-



63. Dawne koszary jednostki WP we Włodzimierzu Wołyńskim. Fot. Janusz Romaniuk

stów, która nie ukrywała swych intencji wobec Polaków. Pod kościołem Świętych Joachima i Anny jej działacze powiesili plakat, w którym wzywano do mordowania największych wrogów Ukrainy, czyli: Żydów, Polaków i Moskali. Pewną pociechą dla włodzimierskich Polaków był powrót ks. Stanisława Kobyłeckiego, który objął teraz probostwo parafii Świętych Joachima i Anny. Jego ocalenie z łuckiej masakry włodzimierzanie powszechnie uznali za cud. W końcu 1941 r. Niemcy zorganizowali we Włodzimierzu getto, które po niecałym roku wraz z policją ukraińską zlikwidowali, mordując kilkanaście tysięcy Żydów...

Ukraińscy nacjonaści współpracujący z hitlerowcami starali się zastraszać Polaków, dokonywali pojedynczych mordów, a także denuncjowali do gestapo działaczy pol-



64. Plac apelowy w jednostce WP we Włodzimierzu Wołyńskim. Fot. archiwum

skiego podziemia, starając się je sparaliżować. Ich ofiarą padło wielu Polaków. Niemcy sprzyjający ewidentnie wysługującym się Ukraińcom, nie podejmowali żadnych działań, by ich powstrzymać. Aresztowali próbującego interweniować ks. Stanisława Kobyleckiego. Od jesieni 1942 r. do lutego 1943 r. był więziony przez Niemców. Zwolnili go dopiero, gdy parafianie zebrali cztery tysiące marek okupu. Wiosną 1943 r. część ukraińskich policjantów uciekła do lasu, zasilając szeregi UPA. Pozostali dalej wysługiwali się Niemcom, koordynując jednocześnie swoje działania z OUN. Z tą chwilą mordy Polaków we Włodzimierzu nasiliły się. Upowcy i policjanci ukraińscy tylko w maju 1943 r. zabili w bestialski sposób kilkanaście osób. W czerwcowe noce okolice Włodzimierza rozjaśniały blaskiem łun. UPA przystąpiła do masowych rzezi. 7 czerwca 1943 r. na cmentarz we Włodzimierzu zwieziono ogromny transport zamordowanych Polaków. Jak wynika z relacji świadków, wśród nich były kobiety z obciętymi piersiami i rozciętymi brzuchami i mężczyźni przecięci na pół. Takie pogrzeby stały się odtąd codziennością.

W lipcu Włodzimierz zamienił się w prawdziwe piekło. Napłynęli do niego uciekinierzy nie tylko z najbliższych okolic, ale kilku sąsiednich powiatów. Tak po latach wspominał ją Jerzy Krasowski „Lech”, członek konspiracji i jeden z organizatorów polskiej samoobrony: *Po 11 lipca 1943 r. Włodzimierz przepełniony był uciekinierami, którym udało się uniknąć tortur i śmierci z rąk bandytów. Place i ulice miasta pełne były zrozpaczonej ludności. Szpitale przepełnione rannymi. Brak odzieży i głód zagrażał tym nieszczęśliwym. Miasto poważnie zagrożone atakiem UPA wobec szczupłej załogi niemieckiej. Na przedmieściach napady na uciekających i domy polskie. Nocami tłumy wywoływały grozę i popłoch wśród uciekinierów i ludności miejskiej, szykowano się do masowej ucieczki za Bug przez Uści-*



*ług. Leżało to w interesie banderowców, a Niemcy mieliby ludzi do wywiezienia na roboty. Trzeba było zapobiec temu, dać ochronę i ocalić młodzież polską – przyszłych żołnierzy. Działać trzeba było natychmiast, nie czekać na rozkazy, bowiem łączność z Inspektora-tem i Okręgiem AK w zaistniałej sytuacji była zerwana.*

Pośpieszne działania Polaków były tym bardziej uzasadnione, ponieważ szczupły niemiecki garnizon nie był w stanie udzielić im skutecznej pomocy. Miasto było bardzo rozległe i znajdowało się w nim sporo strategicznych obiektów, których musiał on chronić. Niemiecki gebietskomisarz bez ogródek oświadczył ks. Kobyleckiemu, że: *Niemcy nie są w stanie zapewnić obrony ludności polskiej, Polacy muszą sami za-troszczyć o swoje bezpieczeństwo.*

Aktyw włodziński, by zaradzić tej sytuacji zorganizował Komitet Obywatelski, na czele którego stanął ks. Kobylecki. Jego działania poszły w dwu kierunkach. Utworzenie samoobrony, odpierającej ataki UPA i przyjsie z pomocą uciekinierom z wyrzynanych wsi. Złagodziło to nieco dramatyczną sytuację w mieście. Na plebanii parafii Świętych Joachima i Anny został m.in. zorganizowany sierociniec dla uratowanych cudem z rzezi dzieci. Ksiądz Kobylecki starał się im znajdować w miarę szybko rodziny zastępcze.

Wielkie zasługi dla obrony ludności polskiej położył zorganizowany z niedobitków polskich oddział Schutzmann-schafen. Odparł on m.in. kilkanaście ataków UPA na miasto, a raczej na jego centrum. Obronę oddalonych przedmieść starała się zapewnić polska samoobrona. Nie zawsze jej działania były skuteczne. UPA starała się znaleźć luki w obronie i dokonywała napadów na polskie rodziny. W sumie, jak ustalili Władysław i Ewa Siemaszkowie w samym Włodzimierzu Ukraińcy wymordowali 111 Polaków.

Zasługą księdza Kobyleckiego w tamtym okresie było uratowanie Cudownego Obrazu Matki Boskiej Swojczow-



skiej z kościoła w Swojczowie, cieszącego się ogromnym kultem wiernych Ziemi Włodzimierskiej. Na maryjne święta przybywali do Swojczowa pielgrzymi z Włodzimierza i okolic, a także mieszkańcy miejscowości położonych po drugiej stronie Bugu. Dla ukraińskich nacjonalistów istnienie takiego ośrodka wiary i polskości było kamieniem obrazy. 31 sierpnia 1943 r. zaatakowali wieś, mordując wszystkich mieszkańców, którzy nie zdążyli uciec i schronić się we Włodzimierzu. Od razu zaczęli też z premedytacją niszczyć wszystkie ślady polskości. Usunęli z kościoła Cudowny Wizerunek, obrabowali go z wszelkich dóbr i wyposażenia, a następnie wysadzili w powietrze. Proboszcz parafii ks. Franciszek Jaworski, a zarazem dziekan dekanatu włodzimierskiego, przez trzy dni ukrywał się w krzakach, a następnie tak jak nieliczni parafianie, którzy ocalili z pożogi, schronił się we Włodzimierzu. Wiosną 1944 r. na wniosek dawnych parafian ks. Kobylecki zorganizował ekspedycję w celu odzyskania obrazu. Za obietnicę zapłaty złotem, wynajął do eskorty niemieckich żołnierzy, którzy odebrali ikonę i kościelne mienie, przywożąc je do Włodzimierza. Dzięki temu na krótko stał się on ośrodkiem kultu maryjnego. Píše o tym w swoich wspomnieniach ks. Kobylecki: *Wieść, że Matka Boża w obrazie słynącym łaskami jest w kościele włodzimierskim, rozeszła się szeroko. Nasza Matka Boża, jak ją nazywano, przybyła za nami. Przesiedlona ludność miała swoją Matkę, której wizerunek przypominał im pozostawione domy rodzinne, bliskich, których nie było już wśród żyjących. Niebezpieczne było gromadzenie się na dłuższy czas w kościele większej liczby ludzi. Dlatego zezwoliłem na przenoszenie obrazu do innych kościołów i kaplic. (...) Gromadzono się też na modlitwie przed obrazem słynącym cudami w domach prywatnych. Była to swego rodzaju peregrynacja.*

W miarę zbliżania się frontu do Włodzimierza, ks. Stanisławowi Kobyleckiemu przybywało obowiązków. Pośredni-

czył m.in. w zwolnieniu przez Niemców 400 zakładników w zamian za uwolnienie przez dowództwo AK 72 żołnierzy niemieckich, wziętych do niewoli przez 27 Dywizję Wołyńską AK. Wiosną 1944 r. z ramienia dowództwa AK objął obowiązki komendanta miasta. W lipcu 1944 r. wraz z większością parafian i uciekinierów przejechał na drugą stronę Bugu. Poleciał załadować najwartościowsze rzeczy kościelne na drabiniaste wozy i polecając się opiece MB Swojczowskiej, jadącej na jednym z wozów przez Uściług ruszył w stronę Hrubieszowa. W mieście pozostał z resztą parafian ks. Andrzej Gładysiewicz. Kapłan od dawna współpracujący z AK i oddziałami samoobrony. Był m.in. współtwór-



65. Cmentarz we Włodzimierzu Wołyńskim – symboliczne groby pomordowanych księży. Fot. Janusz Romaniuk

cą ośrodka samoobrony w Bielinie k. Włodzimierza Wołyńskiego, dzięki czemu uniknęła eksterminacji. W końcu sierpnia 1944 r. w piśmie do A. Szelażka tak opisywał sytuację we Włodzimierzu: *Najuprzejmiej przepraszam za jeremidową treść listu, ale cóż robić, skoro rzeczywistość następująco przedstawia się. W dwóch dekanatach horochowskim i włodzimierskim zdaje mi się, że pozostał tylko jeden kościół cały Fara we Włodzimierzu. (...)*

*Z duchowieństwa, na te dwa dekanaty pozostałem sam jeden. Inni księża wyjechali za Bug, na skutek zarządzonej ewakuacji. Również ksiądz kanonik Kobyłecki wyjechał z Włodzimierza twierdząc, że czułby się niedobrze z nowymi gospodarzami. (...)*

*Z wielkim bólem wspominam zawsze zniszczenie kościoła Najświętszego Serca Jezusa we Włodzimierzu. Po zarządzeniu ewakuacji postanowiłem nie wyjeżdżać, by część parafian również nie chciała usuwać się przypuszczając, że wyjazd będzie straszny, co się sprawdziło. (...) We środę, w nocy niemieccy żołnierze podminowali klasztor i punktualnie o 12 dwa silne zrywy rozniosły część gmachu i prezbiterium, demolując zupełnie i wewnątrz kościoła. Wprost nadziwić się nie mogę, że przy tak silnej eksplozji, kiedy ołtarze, ławki, drzwi zniszczyło zupełnie, ocalili ludzie w kościele, Najświętszy Sakrament, obraz Matki Boskiej i portal. Wspominam o tym, bo ołtarz zupełnie połamany. Opieka Boża była nad nimi silniejsza od złości ludzkiej.*

*Z nowymi gośćmi też jest niemało kłopotu, wszędzie wchodzi i ciągną, co się da. Po zniszczeniu kościoła przeniosłem się prawem intruza do kościoła farnego. Katolików we Włodzimierzu zostało niewiele, może około tysiąca.*

*Ci „nowi goście” po umocnieniu się we Włodzimierzu, od razu przystąpili do intensywnego rozpracowywania polskiego podziemia, co dla księdza Andrzeja Gładysiewicza nie oznaczało nic dobrego. NKWD rozpracowało szcztatkową siatkę polskiego podziemia, pozostawioną na Wołyniu. Księdza Gładysiewicza jego funkcjonariusze podejrzewali,*

że przechowuje finanse całej organizacji. Ostrzegany przez jedną z parafianek, odmówił. Według świadectwa Teresy Szymbar powiedział, że: *nie może ludzi zostawić bez opieki i będzie co Bóg da*. Po aresztowaniu został oskarżony początkowo o to, że: *„od sierpnia 1943 r. należał do antysowieckiej nacjonalistycznej organizacji Włodzimiersko-Wołyńskiego Obwodu PZP pod pseudonimem «Gołąb» i jako członek organizacji był związany z komendantem obwodu Dudkowskim Marcinem Leopoldowiczem”*. W trakcie dalszego śledztwa oskarżono go ponadto o to, że był: *„jednym z filarów delegatury rządu «DR» (...) i jako członek «DR» ze strony organizacji wchodził w skład tzw. «komitetu pomocy» Polakom w potrzebie, organizował zbiórki i wydawanie środków materialnych uczestnikom organizacji, utrzymywał związki z kierowniczymi osobistościami «PZP» – Kawalkiem Janem «Grot» Dutkowskim, a także czytał antysowiecką literaturę”*. Skazany na 10 lat łagrów i 5 lat pozbawienia praw publicznych został zesłany do Norylska i po pełnym odbyciu kary powrócił na Ukrainę i objął parafię w Połonnem, gdzie z ogromnym heroizmem pełnił posługę aż do śmierci w 1983 r. O rok wcześniej od niego wyszedł z łagrów ks. Marian Jasionowski, który przez kilka miesięcy 1944 r. wspierał go w posłudze duszpasterskiej. Po 9 latach łagru wrócił ponownie do Włodzimierza i objął tamtejszą parafię, otaczając opieką liczącą około 500 osób. Podkreślić trzeba, że w odróżnieniu od innych miejscowości we Włodzimierzu pozostało sporo Polaków, choć miejscowi Ukraińcy odgrzaży się, że jak tylko nadarzy się okazja, to ich wyrzną.

Ksiądz Jasionowski po objęciu parafii we Włodzimierzu był jedynym stałym duszpasterzem na całym Wołyniu w przedwojennych granicach Polski. Posługę swą pełnił przez 5 lat do 1959 r., kiedy to został odwołany do diecezji łomżyńskiej, z której pochodził. Jego przełożeni obawiali się, że jeżeli dłużej pozostanie we Włodzimierzu, to powtórnie

zostanie aresztowany i osadzony w łagrach. Na Ukrainie osiągała bowiem apogeum kampania antyreligijna, rozpęta-  
na przez Chruszczowa, w ramach której resztki wspólnot  
wyznaniowych były brutalnie niszczone. Wiernym udało się  
po jego wyjeździe obronić kościół przed zamknięciem do  
1962 r. Władze sowieckie po jego przejęciu zamieniły go na  
kawiarnię i salę koncertową. Cały obiekt został przy okazji  
zdewastowany. Usunięto z niego piękny, drewniany, baro-  
kowy ołtarz, rozebrano dzwonnice. Polskość i wiara zeszły  
we Włodzimierzu do głębokiego podziemia. Polacy, którzy  
trwali przy wierze, starali się jeździć do Lwowa, gdzie była  
czynna katedra, będąca dla nich najbliższą czynną świątynią.



66. Dawny kościół garnizonowy we Włodzimierzu Wołyńskim – obecnie  
cerkiew grekokatolicka. Fot. Janusz Romaniuk



Dopiero po 30 latach udało im się zarejestrować wspólnotę i odzyskać kościół. W styczniu 1992 r. została w nim odprawiona pierwsza po 30 latach Msza św. Dawny kościół pojezuicki nie wrócił już do prawowitych właścicieli. Po wyremontowaniu przez władze został przekazany Cerkwi prawosławnej Kijowskiego Patriarchatu.

Od początku wznowienia działalności parafii rzymsko-katolickiej we Włodzimierzu Wołyńskim obsługują ją Ojcowie Karmelici (trzewiczekowi), należący do polskiej prowincji zakonu. Pierwszym jej proboszczem, sprawującym tę funkcję do dziś został o. Leszek Koszlaga. Dla ojca Koszlagi urodzonego w 1957 r. i wyświęconego w 1989 r. Włodzimierz stanowił pierwszą proboszczowską placówkę. Wcześniej przez 2,5 roku pracował we Woli Lwowskiej. Dzięki jego energii wspólnota we Włodzimierzu szybko krzepła i stabilizowała



67. Powstający kościół w Nowowołyńsku. Fot. Janusz Romaniuk

się. Kapłan ten wykazał ogromną zaradność i przedsiębiorczość, by wyremontować odzyskaną w fatalnym stanie świątynię, a także stworzyć materialne warunki dla utworzenia w jej pobliżu placówki zakonnej. Władze odmawiały bowiem mimo licznych monitów, zwrotu parafii budynku dawnej plebanii. Ojciec Koszlaga od początku swojej posługi obsługiwał też dwie pobliskie wspólnoty w Nowowołyńsku i Uściługu i pełnił też funkcję Ojca Duchownego kapłanów diecezji łuckiej.

Wspólnota we Włodzimierzu, tak jak większość w diecezji nie jest oczywiście liczna. Wielu Polaków, którzy pozostali na ziemi przodków uległo zukrainizowaniu. W czasach sowieckich tutejsze władze starały się bowiem, by granica przebiegająca na Bugu stanowiła bardzo szczelny kordon, nie przepuszczający wpływów z pobliskiej Polski.

Ojciec Koszlaga, tworząc wspólnotę we Włodzimierzu starał się, by parafialna świątynia stanowiła ośrodek ekumeniczny, w którym pod patronatem św. Jozafata gromadziłoby się na modlitwie kapłani ze wszystkich Kościołów chrześcijańskich. Rokrocznie 12 listopada gromadzą się w nim kapłani rzymsko i grekokatolicki, a także prawosławni należący do patriarchatów kijowskiego i moskiewskiego. Jest to chyba jedyny tego typu przypadek na Ukrainie tak bardzo podzielonej pod względem religijnym. Dobre współzycie między przedstawicielami różnych wyznań nie sprowadza się oczywiście tylko do dnia spotkania. Znakiem tego jest chociażby to, że ulubionym miejscem zabaw dla dzieci księży prawosławnych jest podwórko domu zakonnego karmelitów.

Podkreślić trzeba, że we Włodzimierzu panuje również atmosfera korzystna dla polskości i współpracy z Polską. Nawiązał on m.in. współpracę partnerską z Hrubieszowem i Kętrzynem. Utrzymuje też kontakty z Zamościem, Kra-



snyrmstawem i Zakopanem. W organizowanych w lipcu Dniach Włodzimierza uczestniczy młodzież i goście z zaprzyjaźnionych miast. Goście z Polski przyjeżdżają również na odbywający się od 1993 r. Ogólnoukraiński Festiwal „Wołodymyr” i zapoczątkowany w 2000 r. Międzynarodowy Plener Malarski „Koloryt”. Włodzimierz Wołyński jest miastem, które z pewnością ma wiele do zaoferowania. Mimo, iż liczy on tylko 40 tys. mieszkańców i nie jest dużym miastem, stanowi ważny na Wołyniu ośrodek kultury i nauki. Jego chlubą jest Szkoła Pedagogiczna im. A. Krymskiego, a także Szkoła Rolnicza, Wyższa Szkoła Zawodowa, w mieście, w co aż trudno uwierzyć, funkcjonuje też pięć filii wyższych uczelni, utworzonych na bazie szkół policealnych. Intensyfi-



68. Cerkiew w Zimnem. Fot. Janusz Romaniuk

kacji kontaktów Włodzimierza z Polską sprzyja niewątpliwie nie tylko bliskość jej granicy, ale także świadomość, że ma ona dla niego żywotne znaczenie. To bowiem przygraniczny handel jest głównym motorem jego rozwoju ekonomicznego, a zwłaszcza rozwoju drobnego i średniego biznesu, a także handlu. W tym względzie ma istotnie się czym pochwalić. Obok dziesięciu przedsiębiorstw przemysłu spożywczego i obróbki drewna, powstało w nim w ostatnich latach 132 przedsiębiorstwa małego i średniego biznesu oraz 1800 sklepów.

Kontaktom mieszkańców Włodzimierza Wołyńskiego z Polską sprzyja niewątpliwie jego skomunikowanie autobusowe z Lublinem. Trzy razy w tygodniu z tego miasta przyjeżdża do niego autobus. Coraz częściej docierają nim do miasta z Polski także turyści zobaczyć to, co pozostało w nim z historycznej spuścizny. Miejscowe władze starają się, by „resztki” te należycie wyeksponować i zabezpieczyć przed zębem czasu. Decyzja ukraińskiej Rady Ministrów Włodzimierz Wołyński został uznany za Państwowy Historyczny Rezerwat „Włodzimierz Starożytny”. Dzięki temu statusowi Rada Miasta ma środki na prowadzenie systematycznej konserwacji i ochrony cennych zabytków architektonicznych.

## NA ZIEMI KRASICKICH I ORDÓW

---

W „Ilustrowanym Przewodniku po Wołyniu” pióra dra Mieczysława Orłowicza można przeczytać, że Kamień Koszyrski: *Za Kazimierza Wielkiego był to, podobnie jak Ratno i Datyn na podstawie ugody z r. 1366, graniczny zamek obronny od Litwy. Później stał się Kamień centrum dóbr Sanguszków-Koszyrskich, z których ostatni Adam, wojewoda wołyński, fundował w r. 1628 klasztor Dominikanów skasowany przez Rosjan. Po wygaśnięciu tej linii Sanguszków w r. 1650 dobra drogą posagu przeszły na Krasickich i Ordów. Po zamku, który zniszczyli Kozacy w r. 1649 zachowały się tylko wały. Hr. Krasicki posiadał tu w końcu XVIII w. galerię obrazów, w której sporo dzieł pijara ks. Łukasza Hubnera z połowy XVIII w.*

Chodząc po dzisiejszym Kamieniu Koszyrskim nie można już niestety posługiwać się przewodnikiem dra Orłowicza. Próżno już szukać w nim np. restauracji Bolesława Bobołowicza, czy znajdujących się niegdyś przy rynku Noclegowych Domów „Plussa Motela”, „Lermana” czy „Bonika Arona”. Aż trudno uwierzyć, że niewielkie rejonowe miasteczko, leżące między Kowlem a Lubieszowem ma tak wspaniałą historię. Ma typowe sowieckie akcenty i nie sprawia wrażenia starożytnego. Historia przeorała je bardzo mocno, zacierając ślady jego dziejów. Dwie ostatnie wojny obracały go w perzynę powodując, że zatraciło ono swój pierwotny charakter. Nawet Polacy, którzy jeszcze do 1944 r. w nim mieszkali mają kłopoty z jego rozpoznaniem. To już zasługa ukraińskich nacjonalistów, którzy po wypędzeniu Polaków starali się wykarczować w nim wszystko, co polskie. By dowiedzieć się, jak wyglądał Kamień Koszyrski,

gdy czuło się w nim jeszcze oddech Rzeczypospolitej trzeba sięgnąć do „Dziennika z kampanii rosyjskiej” Augusta Krasickiego, który 14 marca 1916 r. w ślad za wojskiem austriackim wkroczył do miasteczka i zatrzymał się w nim na nocleg. Dla niego była to podróż niejako sentymentalna. Szedł śladami przodków. Warto przytoczyć jego opis, bo gdy był w Kamieniu, to mimo toczącej się w jego pobliżu wojny, czuło się w nim jeszcze oddech Rzeczypospolitej. Pod datą 14 marca 1916 r. August Krasicki wówczas oficer ordynansowy gen. Stanisława Puchalskiego z Komendy Legionów Polskich, po kolacji na kwaterze u miejscowego Żyda aptekarza zapisał: *Kamień Koszyrski tj. reszta księstwa, miał obszaru 5000 dziesięcin, gdy skonfiskowany został Zygmuntowi Krasickiemu po roku 1863. Rząd zatrzymał lasy, a folwarki odsprzedał. Kupił to, ale na imię żony Rosjanki gen. Orda Polak. Od Ordów na krótko odkupił na podstawie tzw. zakładnej Jan Krasicki z Kniaży Krynicy, ale musiał wymienić z Moskałem Zajcewem na domy w Żytomierzu. Zajcew w końcu rozparcelował chłopom, przeważnie przybyłym Polakom z Kongresówki, zaś tzw. Zamek i domy w mieście kupił Polak Dmochowski. Następnego dnia po „przyzwoitym noclegu” i jazdą dalej August Krasicki zanotował: Przed wyjazdem oglądałem resztę zamku na górze w środku miasteczka, zostało mało z zamku, wygląda dziś na rodzaj lamusa, pozostałe wały i fosy zamkowe, dookoła miejsca gdzie stał zamek, stoi ta pozostałość. Obok stoi nowy dom, w którym mieścił się sąd. Z góry bardzo ładny widok na północno-wschodnią stronę. U stóp cerkiew, dalej kościół i łąki zalane wodą, w dali Worokomla. Dowiaduję się, że z Krasickich jest tylko Stanisław w Krynicy, Ignacy i Jan wyjechali. Wyjeżdżając z Kamienia zajechałem przed kościół, stojący obok miasta wśród zalanych łąk, jakby na wyspie. Proboszcza ks. Cieślaka wygonili Moskale, plebania zrujnowana. Kościół wewnątrz ograbili kozacy z chłopami; zabrali kielichy i lichtarze. Zresztą wewnętrzne urządzenie zostało. Kościół bez wieży, z przo-*



69. Kaplica w Kamieniu Koszyrskim. Fot. Janusz Romaniuk

*du, trzy arkady bez stylu. Był tu kiedyś klasztor Dominikanów, wewnątrz mało starych obrazów i ołtarzy. W bocznym ołtarzu stary obraz św. Dominika po Dominikanach. Część ołtarzy i konfesjonatów z Łucka z jakiegoś skonfiskowanego klasztoru. Kościół pod wezwaniem św. Michała, opowiadał to stary kościelny. Obok mauzoleum grobowe – były tu dawniej groby Krasickich, które Zygmunt Krasicki, któremu Kamień skonfiskowano, wywiózł po powrocie z zesłania, obecnie są tam groby Ordów.*

W okresie międzywojennym Kamień Koszyrski był niewielkim podupadającym miasteczkiem, liczącym zaledwie 2 tys. mieszkańców. Pełnił jednak funkcje stolicy najbardziej na południe wysuniętego powiatu województwa poleskiego.

Jako część Polesia został do niego przyłączony, po wyłączeniu z województwa wołyńskiego.

Przed drugą wojną światową Kamień Koszyrski był stolicą powiatu, a także dekanatu Kamieńsko-Koszyrskiego. W jego skład wchodziło 7 parafii: Kamień Koszyrski, Wielka Głusza, Małe Hołoby, Ratno, Buceń i Niesuchoże i Zabłocie.

Sama parafia Świętego Michała Archaniola, oprócz samego Kamienia obejmowała jeszcze 44 miejscowości. Wierni do niej należący żyli w niewielkich grupkach po kilka rodzin we wsiach ukraińskich. Liczący dwa tysiące mieszkańców Kamień Koszyrski był największą parafią. Polacy stanowili bowiem połowę jego obywateli. Zdecydowaną większość mieszkańców całego powiatu stanowili Ukraińcy. Znajdowali się oni pod znaczącym wpływem propagandy Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów. Wynikało to w znacznej mierze z biedy i zacofania miejscowej wsi. Przyniosło to niestety krwawe owoce w czasie II wojny światowej.

W czasie wojny proboszczem w Kamieniu Koszyrskim, a zarazem dziekanem dekanatu był ks. Jan Markul, urodzony w 1894 r., a wyświęcony w 1923 r. Nie miał on łatwego zadania. Życie religijne było w nim całkowicie zdeorganizowane. Na wieść o wkraczaniu na Wołyń Armii Czerwonej część księży uciekła, zostawiając swoje owieczki. Cztery parafie z siedmiu wchodzących w skład dekanatu pozostało bez kapłanów. Część wiernych ze wszystkich wspólnot zostało deportowanych przez władze sowieckie na Syberię i do Kazachstanu. Z samego Kamienia Koszyrskiego według relacji ks. Jana Markula wywieziono około trzysta osób, rekrutujących się głównie z miejscowej inteligencji. W piśmie do Kurii Biskupiej w Łucku z 27 lutego 1942 r. ks. Markul donosił jednak, że choć parafia zmniejszyła się znacznie, to: *życie parafii nie osłabło, wprost przeciwnie, nawet się wzmogło,*



choć agitacja bolszewicka usiłowała na wszelki sposób zachwiać wiarę. Frekwencja wiernych była w tym czasie dość wysoka, a co najbardziej cieszyło to fakt, że młodzież mimo akcji komunistów, była do siebie skaptowana, nie dała się zbałamucić i otwarcie garnęła się do Kościoła. Księgi parafialne metrykalne zostały zabrane przez bolszewików, wprowadzono urzędy stanu cywilnego, mimo to dzieci chrzczono w kościele, śluby – z wyjątkiem jednego – zawierano w kościele. W swoim raporcie dla Kurii koszyrski dziekan, narzekając na konfratrów, którzy w obawie o swoje życie uciekli z parafii podkreślał zasługi tych co pozostali, zwłaszcza zaś ks. Stefana Inwanickiego, który mimo zagrożenia aresztowaniem pozostał w parafii w Wielkiej Głuszy. Pisałem o nim m.in.: *Zabrano mu wszystką ziemię, wygnano z plebanii*



70. Kościół w Kamieniu Koszyrskim. Fot. Janusz Romaniuk



*tak, że zmuszony był prawie 1 i ½ roku mieszkać w wilgotnych pokojach czy kaplicy. Obłożono go nadmiernymi podatkami, szyskanowano na każdym kroku, a mimo to nie tylko pozostał na miejscu, ale śmiało i otwarcie bronił wiary. Śmiało i otwarcie nawoływał swych parafian, by pomagali tym, co zostali wysłani na Daleki Wschód. Zbierał żywność, wysyłała paczki zesłańcom. Obawiając się, by swą gorliwością nie zaszkodził sobie, nieraz markowałem jego zapał. Obecnie sytuacja jego polepszyła się znacznie. Odzyskał plebanię i część gruntu kościelnego. Materialnie jest mu dość ciężko i zmuszony jest raz po raz udawać się po pomoc do swych parafian.*

Po wkroczeniu Niemców na Wołyń teren dekanatu stał się miejscem masowych mordów tysięcy Żydów, przywożonych do lasów w rejonie Kamienia Koszyrskiego z getta w Kowlu i z innych miejscowości. Podkreślić trzeba, że w owym czasie, mimo swego dramatycznego położenia, wielu zamieszkujących Kamień Koszyrski Polaków starało się pomagać Żydom, którym udało się uciec z miejsca kaźni. Ratowała ich m.in. pani Ludwika Piasecka, która w czerwcu 2005 r. otrzymała pośmiertnie tytuł „Sprawiedliwa wśród narodów świata”. W 1942 r. uratowała ona od śmierci najpierw sześcioosobową rodzinę żydowską, a następnie piętnastoosobową grupę Żydów, którzy uciekli z transportu śmierci. Wszyscy, którym udzieliła ona schronienia przeżyli wojnę. Pani Piasecka w 1945 r. wyjechała do Polski i zamieszkała w Kaliszu Pomorskim. Zmarła wiele lat temu. W jej imieniu odznaczenie odebrały córki.

W 1943 r. przez powiat Kamieńsko Koszyrski zaczęła przewalać się fala mordów ludności polskiej, dokonywanych przez ukraińskich nacjonalistów.

Jej pierwsze uderzenie spadło na parafię w Wielkiej Głuszy. Jej proboszcz ks. Stefan Iwanicki cudem uniknął śmierci, chroniąc się u dziekana w Kamieniu Koszyrskim. Sotnia „bulbowców” podczas napadu spaliła świątynię wraz z ca-

łym wyposażeniem. Kilka tygodni potem, 12 maja 1943 r. ta sama sotnia „bulbowców” otoczyła zamieszkaną przez Polaków kolonię w Wielkiej Głuszy. Mieszkańców w liczbie 15 osób dorosłych i kilkoro dzieci, zgromadzono w zabudowaniach Pileckiego i Łukaszewicza, po czym w obecności mężczyzn zgwałcono wszystkie kobiety. Następnie zaś wszystkim, nie wyłączając dzieci wylupano oczy, obcięto języki, kobietom piersi, a mężczyznom genitalia, po czym zabudowania ze znajdującymi się w środku spalono.

Wcześniej jeszcze, bo 5 kwietnia 1943 r., w dekanacie został zamordowany pierwszy kapłan. W swym liście do Biskupa Adolfa Szelążka z dnia 14 kwietnia ks. Markul pisał: *Donoszę, że 5 kwietnia bieżącego roku został zamordowany śp. Ks. Józef Szostak, proboszcz z Małych Hołob. Wracał z Lubieszowa, gdzie pomagał spowiadać i w drodze do niedaleko granic swojej parafii został napadnięty przez trzech milicjantów, zawleczony do lasu i tam zastrzelony, a z nim zginął również brat Piotr, który go odwoził (z zakonu Pijarów w Lubieszowie).*

Z lektury kolejnego pisma ks. Jana Markula można wnioskować, że w końcu sierpnia 1943 r. oddziały ukraińskich nacjonalistów przypuściły szturm na miasteczko, ale stacjonujący w nim oddział węgierski sprzyjający Polakom bez trudu odparł napad. Sytuacja w miasteczku i okolicy dalej była jednak napięta i groźna. Ksiądz Markul tak ją opisuje: *Kościół nieco ucierpiał, w ścianie kościoła jest 30 śladów od kul. Plebania również ucierpiała. Po tym napadzie sytuacja znacznie się pogorszyła. Zaczęły się masowe mordy Polaków, zginęło 300 dusz z tutejszej parafii. Wsie i kolonie polskie opustoszały. Część parafian przybyła do miasta, reszta rozproszyła się na wszystkie strony. Parafia Małe Hołoby nie istnieje. Pozostał jeszcze kościół, ale i ten ostatnio został ograbiony. Ksiądz Chojecki wyjechał nie wiadomo gdzie. Na cały dekanat pozostało nas tylko dwóch – ks. Iwanicki i ja. Parafianie moi mieszkający w mieście korzystają z każdej oka-*

*zji, by wyjechać do Kowla, a stamtąd dalej do Chełmna. Radzę i mnie wyjechać. Ja jednak nie mam odwagi opuścić tę garstkę wiernych, jaka na razie pozostała.*

*Na razie więc pozostaję na miejscu. Wyjadę, gdy wszyscy będą wyjeżdżać, albo przynajmniej ogromna większość. Na plebanii przebywam obecnie tylko 9 godzin, to jest tylko w dzień. O zmroku wyruszam do miasta, by być wśród ludzi. Co przyszłość przyniesie, to tylko Bóg jeden wie.*

W wyniku masowej ucieczki Polaków z okolic Kamienia Koszyrskiego, a także z niego samego nie udało się tam utworzyć polskiej samoobrony. Polska ludność całkowicie była zdana na siebie, co przyspieszało tylko jej decyzję o wyjeździe na Zachód. Ksiądz Jan Markul wytrwał na posterunku do lutego 1944 r., wyjeżdżając jako jeden z ostatnich. Zanim do miasteczka wkroczyły wojska sowieckie, we władanie wzięli je ukraińscy nacjonaści. Mordowali nie-licznych Polaków, którzy nie wyjechali i palili domy tych, co zdążyli uciec. Niszczyli też wszelkie ślady polskości z nagrobkami Polaków na cmentarzu rzymskokatolickim włącznie. Jednym ze świadków tamtych zdarzeń jest Olga Horbaczewska urodzona w 1936 r. i mieszkająca w Kamieniu Koszyrskim do 1950 r., kiedy to wyjechała do Lwowa na naukę i w nim już pozostała. Oto jej świadectwo: *Po odejściu Niemców miejscowi nacjonaści zaczęli palić całe miasto, w tym i nasz kościół. Koło kościoła płonęły ogniska, w których palono inwentarz kościelny, a w kościele bandyci zrobili latrynę.*

*Mojego ojca zabrano w 1941 r. do Armii Czerwonej, a mama przechowywała nas w różnych miejscach, bo nacjonaści ukraińscy na nic nie zważając mordowali ludność polską. Pamiętam, jak dziadka i babcię Sobieszczuków z naszej rodziny związali drutem kolczastym, wrzucili do szopy i spalili żywcem. Potem jedna z sąsiadek znalazła ich kości i pochowała na cmentarzu. Po wielu latach przyjechał wnuk tych zamordowanych i ta pani pokazała mu*

*grób szczątków jego dziadka i babci. Każdego ranka sąsiedzi mówili o tych, kogo zamordowali. Ów czas dla Polaków był ciężki, że nie mogli nawet mówić i wspominać o tym bez wielkiego przeżycia... My po wojnie, cudem uratowani – bo Polacy, albo uciekli, albo zostali zamordowani – jeździliśmy do kościoła w Łucku. Kamień Koszyrski jest mi najdroższy na świecie, bo tu są pochowani moi krewni, tutaj się urodziłam i tutaj wyrosłam. Tutaj jest mój kościół, tutaj jest moja dusza. Każdego roku przyjeżdżam tu w listopadzie, z rodziną, aby oddać hołd swoim przodkom. Byli i są dobrzy ludzie, którzy nas przechowywali, którzy do dzisiaj mnie znają i zawsze są radzi, kiedy przyjeżdżam, chociaż nawet po wojnie w szkole słyszałam słowa: „Ty polska mordo, twoje miejsce jest na cmentarzu”.*

Po drugiej wojnie światowej wypalone mury kościoła zostały przez władze sowieckie włączone do fabryki słodczy zbudowanej w jego bezpośrednim otoczeniu. Dziś jego bryła jest trudna do rozpoznania. Nowi władarze dokonczyli też dzieła zniszczenia cmentarza rozpoczętego przez ukraińskich nacjonalistów. Podobnie postąpili w innych miejscowościach dekanatu. Gdy na początku lat dziewięćdziesiątych posługujący w Kowlu franciszkanie zaczęli penetrować okolicę Kamienia Koszyrskiego wydawało się, że Kościół katolicki został tam całkowicie unicestwiony.

Brat Adrian Brzózka, franciszkanin z Kowla, a także wrażliwy poeta po pierwszej wizycie na ziemi koszyrskiej w kwietniu 1994 r. napisał wstrząsający wiersz „Cisza”, oddający cały jej ból.

Wsluchaj się w ciszę  
A usłyszysz wołanie  
Tysięcy dusz  
Wychodzące z cmentarzy  
Których nie widać a są  
Na nieludzkiej ziemi.

Krew męczenników zawsze jednak wydaje owoce. Kościół w Kamieniu Koszyrskim odrodził się. Duży udział mają w tym ojcowie franciszkanie dojeżdżający z Kowla, którzy od początku objęli wiernych z Kamienia swoją opieką. Początkowo odprawiali oni nabożeństwa w tymczasowej kaplicy, ale gdy zaczęła się rozrastać postanowili zbudować stałą nową świątynię. Wzniesli ją na historycznym miejscu, czyli na dawnym polskim cmentarzu, na którym spoczywają kości zamordowanych przez ukraińskich nacjonalistów. 25 czerwca 2005 r. została ona poświęcona przez ordynariusza łuckiego bpa Marcjana Trofimiaka. Podczas uroczystości wypowiedział on znamienne słowa: *„Można zniszczyć świątynię, ale niemożliwym jest zniszczenie wiary. (...) Słowa Jezusa Chrystusa mówią, że bramy piekielne go nie przemogą i nie przemogły. Miłość wszystko zwycięża i zwycięży”*.

Należy wierzyć, że wspólnota w Kamieniu Koszyrskim będzie systematycznie rosła. Po poświęceniu świątyni w jej życiu rozpoczął się kolejny etap.

## NIE MA JUŻ MACIEJOWA

---

Niegdyś jadąc z Lubomla do Kowla mniej więcej w połowie drogi dojeżdżało się do Maciejowa. Dziś ta leżąca 25 km od Kowla miejscowość zwie się Łuków czyli po ukraińsku Łukiw. Dla Ukraińców to przechrzczenie to powrót do korzeni osady. Dla Polaków zaś zanegowanie jej polskiej historii i faktu, że przez kilka stuleci była ona ważnym ośrodkiem polskiej kultury na Wołyniu, który mimo upadku u schyłku XIX w. odrodził się jeszcze w okresie międzywojennym. W XVI w. dzisiejszy Łuków był dziedziczną wsią należącą do rodu Maciejowiczów. W 1557 r. Zygmunt August nadał jej prawa miejskie, pozwalając wznieść jej właścicielowi warownię. Przy okazji przemianowano ją na Maciejowicze. Z czasem stały się one Maciejowem. Należał on do wielu właścicieli. Z rąk pierwotnych gospodarzy trafił najpierw do Wiśniowieckich, a później do Sapiehów. W końcu XVII w. Maciejów nabył Atanazy Miączyński, protoplasta senatorskiej gałęzi rodziny i jej potęgi ekonomicznej. Jego następcy przebudowali obronny zamek na reprezentacyjną rezydencję, gromadząc w niej wspaniałe zbiory sztuki, mebli, a także archiwum i bibliotekę. Jak wielkiej rangi i klasy były te zbiory najlepiej świadczy fakt, że w momencie ich wyprzedaży znaczną ich część zakupiło British Museum. Po dziś dzień figura Diany, prowadzącej na smyczy 12 chartów, kuta w srebrze, wagi 200 funtów, ofiarowana po zwycięstwie pod Wiedniem przez Jana III Sobieskiego Atanazemu Miączyńskiemu wraz z dyplomem na łowczostwo wielkie koronne należy do jego cymeliów. Wiele przedmiotów zgromadzonych przez ród Miączyńskich znajduje się też w mu-

zeach Petersburga, podobnie jak jego archiwum. Sława mówiąca o skarbach zebranych przez Miączyńskich była tak duża, że wysłannicy carskiego dworu od razu pojawili się na wyprzedaży. Kupili oni m.in. ogromną kolekcję portretów rodziny Miączyńskich i osób z nią skoligaconych. Buszowali też w zbrojowni, w której Miączyńscy zebrali stare rzędy końskie i rozmaite uzbrojenie pochodzące jeszcze z czasów, gdy ich protoplaści brali udział w szarży siedmiu tysięcy husarzy na oblegające Wiedeń oddziały Kara Mustafy.

Po wyprzedaży majątku ruchomego, właściciel zadłużonego ponad miarę Maciejowa sprzedał go w 1903 r. Seminarium Prawosławnemu z Petersburga. Z woli cara zawsze polski Maciejów miał stać się na Wołyniu rozsądnikiem moskiewskiego prawosławia. Władze carskie od dawna zresztą ostrzyły sobie zęby na Maciejów. Po Powstaniu Styczniowym w ramach represji zarekwirowały archiwum rodowe Miączyńskich. Tylko część dokumentów Miączyńscy zdolali ukryć. W 1870 r. skonfiskowali kościół św. Anny i św. Stanisława Biskupa związanego z rodziną Miączyńskich i przekazali go na cerkiew prawosławną. Było to mocne uderzenie w polskość w Maciejowie. Świątynia stanowiła najstarszy zabytek miasta potwierdzający jego przynależność do łacińskiej kultury. Ufundowała go w 1596 r. Anna Sapieżyna, a odnowił w 1720 r. Atanazy Miączyński, który nadał mu liczne przywileje. Pełnił on funkcję kościoła farnego. Jego przemianowanie na cerkiew z praktycznego punktu widzenia było zbędne. Miączyńscy dbali bowiem również o wyznawców prawosławia. W 1797 r. Franciszek Ksawery Miączyński ufundował dla nich cerkiew pw. Cyryla i Metodego.

W 1901 r. władze carskie kończąc rugowanie katolicyzmu w Maciejowie zarekwirowały drugi barokowy kościół znajdujący się w miasteczku pw. Michała Archanioła, ufundowany na początku XVIII w. przez Atanazego Miączyńskiego,



który zresztą wraz z żoną został w nim pochowany. Nie przerobiły go na cerkiew prawosławną, bo z braku wyznawców nie miałyby się kto w nim modlić, ale po prostu poleciły zrównać z ziemią.

Przejęcie całkowitej kontroli nad Maciejowem nie byłoby możliwe bez współpracy ostatniego przedstawiciela rodu Miączyńskich. Ksawery Miączyński de facto nie miał jednak wyboru. Gdyby nie sprzedał Maciejowa, to ten i tak zostałby zlicytowany. Zgodnie z ówczesnym dyskryminacyjnym prawem carskim, dążącym do wyzucia Polaków z własności ziemskiej, Polakom na terenie zaboru rosyjskiego nie wolno było kupować ziemi. Miączyński musiał więc sprzedać ją Rosjanom, którzy zgodzili się zapłacić za pałac solidną cenę.



71. Ruiny kościoła w Łukowie (d. Maciejów). Fot. Janusz Romaniuk

Złośliwi historycy twierdzą, że car kupił go dla cerkwi, której był zwierchnikiem, by zawładnąć skarbami Międzyńskich ukrytymi w lochach pałacu przez Anatazego Międzyńskiego. Pułkownik nie tylko ponoć służył z odwagi, ale również zapobiegliwości i dbania o własne interesy. Z wyprawy pod Wiedeń wraz z tureckimi jeńcami miał przywieźć bardzo bogate łupy. Jeńców użył do zakopania skarbów, po czym by nie zdradzili, gdzie je ukryli, kazał wylupić oczy. Opowieść ta nie była tylko legendą. Wszyscy następcy pułkownika bardzo intensywnie penetrowali lochy, ale niestety nic nie znaleźli.

Po przejęciu rezydencji Międzyńskich władze carskie przystąpiły do jej adaptacji na potrzeby uczelni prawosławnej. Pałac został przeznaczony na obiekty dydaktyczne, a dla celów mieszkalnych przyszłych prawosławnych księży wzniesiono drugi bezstylowy budynek, kontrastujący z zażytkowym pałacem. Mieściła się w nim kaplica prawosławna i pokoje mieszkalne. Działalność ortodoksyjnej uczelni w Maciejowie nie trwała jednak długo. W 1915 r. został on zajęty przez wojska austriacko-niemieckie, prowadzące ofensywę przeciw Rosji. Wraz z nimi na Wołyń wkroczyły polskie legiony. Z zapisków ich oficera Augusta Krasickiego w „Dzienniku z kampanii rosyjskiej 1914–1916” możemy się dowiedzieć, jak wyglądał Maciejów we wrześniu 1915 r.: *Miasteczko Maciejów mała dziura, u zajazdu mały kościółek nowo zbudowany. W mieście dwie cerkwie, jak mnie poinformował Żyd, przerobione z kościołów. Zapewne jest tu w czasie deszczów wielkie błoto, gdyż trotuar z desek jest sklecony na wysokości pół metra nad ziemią, jak kładka. W ogrodach dużo tytoniu, a na ścianach suszą się wiązki liści.*

W Polsce międzywojennej Maciejów ponownie stał się ośrodkiem polskości emanującym na cały Wołyń. Osiedliły się w nim bowiem Siostry Niepokalanki, które utworzyły



72. Dawny klasztor ss. Niepokalanek w Maciejowie (ob. Łuków). Fot. *Janusz Romaniuk*

w dawnych dobrach Międzyńskich najpierw ochronę dla sierot, a później szkołę powszechną i seminarium nauczycielskie, które z powodzeniem funkcjonowało aż do 1939 r. Siostry przyjechały na Wołyń na prośbę księżnej Marii Lubomirskiej, damy organizującej dobroczynne poczynania, mające ratować tamtejsze sieroty. Siostry zaczęły swą posługę w Kowlu w 1919 r., gdzie tamtejszy proboszcz ks. Michał Giżyński założył sierociniec. Tamtejsze warunki nie pozwalały im jednak na rozwinięcie skrzydeł.

Przełożona placówki siostra Marta od Jezusa z domu Kazimiera Wołowska zaczęła szukać nowego dużego lokum, przemierzając pieszo okolice Kowla. Była to, jak przystało na

przyszłą błogosławioną osoba wybitna, obdarzona nie tylko wielką duchowością, ale ogromnymi zdolnościami organizacyjnymi. Pochodziła z rodziny ziemiańskiej. Jej ojciec był intelektualistą, społecznikiem i gorącym patriotą. Zapewnił jej staranne wykształcenie i nauczył, że na przedstawicielach jej klasy ciąży obowiązek zaangażowania społecznego. W 1901 r. wstąpiła do Zgromadzenia Sióstr Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Maryi Panny. Po złożeniu ślubów wieczystych w 1909 r. od razu skierowano ją jako przełożoną do domów przeżywających kryzys lub tworzonych od podstaw. Stworzenie domu w Maciejowie było jednym z jej największych dokonań. Przejmując duży obiekt, w Urzędzie Ziemskim w Łucku usłyszała jedynie, że nikt nie rości pretensji do dawnego „seminarium prawosławnego” i bez problemu będzie mogła objąć Maciejów na własność.

Siostra Marta od samego początku musiała wykazać wiele hartu, żeby podolać wszystkim trudnościom. Cały obiekt w Maciejowie był zdewastowany i rozkradziony. Trzeba go było remontować, adaptując na cele ochrony i pomieszczeń dydaktycznych, a także klasztor dla sióstr. Na pomoc okolicznych mieszkańców nie bardzo można było liczyć. Cała okolica była obrócona w perzynę. W wyniku działań wojennych w latach 1914–1920 zniszczeniu uległo większość wsi. Był to efekt długich walk pozycyjnych w pobliżu trójkąta miast twierdz: Kowla, Dubna i Równego w 1915 i 1916 r. Ogółem w tym rejonie było zniszczonych lub uszkodzonych 212 tys. budynków, 170 km dróg bitych, 380 mostów oraz sieć kanałów i rowów melioracyjnych. Zamiast odrabiać dystans w poziomie rozwoju cywilizacyjnego, na Wołyniu przez lata trzeba było odbudowywać to, co zniszczyła wojna.

Siostra Marta w swoich notatkach tak opisywała sytuację, z którą przyszło zmierzyć się jej wraz z innymi niepokalan-

kami w Maciejowie: *Kresy wschodnie naszej Polski padły ofiarą najboleśniejszej wojny. Krew się tam lała 7 lat, nie tylko wojny między mocarstwami, ale rewolucja rosyjska, rzezie, mordy, okropności. Szlachta nasza od wieków tu osiadła – wymordowana, resztki uchodziły z życiem. Lud rozbestwiony, z księży mało kto został, więc pogaństwo, głód i rozpacz. Na ten ledwo wyswobodzony i zajęty przez wojska polskie skrawek Wołynia wezwał Pan Bóg Zgromadzenie.*

W pierwszych miesiącach działalności siostry przyjmowały do tworzonego ośrodka sieroty z całego Wołynia, nie tylko polskie, ale również ukraińskie, rosyjskie i żydowskie, prowadząc jednocześnie prace adaptacyjno-remontowe maciejowskiego kompleksu.

W 1921 r. siostry uruchomiły w Maciejowie Szkołę Powszechną. Pomogło im w tym społeczeństwo Lwowa, które spontanicznie zorganizowało dla jej potrzeb zbiórkę zeszytów, książek i przyborów szkolnych.

Przez kilka lat po zakończeniu działań wojennych siostry mimo, że realizowały kolejne przedsięwzięcia oświatowe, nie zlikwidowały sierocińca. Polski Czerwony Krzyż odnajdował bowiem ciągle nowe polskie sieroty w Chinach, na Syberii i Dalekim Wschodzie i prosił o ich przyjmowanie. Gdy Szkoła Powszechna w Maciejowie już funkcjonowała, siostra Marta zaproponowała Kuratorium Oświaty w Łucku utworzenie w nim Seminarium Nauczycielskiego dla dziewcząt. Jego władze zgodziły się na to bez wahania, deklarując wszelką pomoc. Tworzone województwo wołyńskie bardzo bowiem potrzebowało nauczycieli. Po opuszczeniu Wołynia przez wojska rosyjskie, cały istniejący tu system oświatowy został zniszczony i trzeba było go tworzyć od podstaw. Po utworzeniu Seminarium Nauczycielskiego w Maciejowie szkoła podstawowa funkcjonowała oczywiście dalej. Została przemianowana tylko na siedmioklasową szkołę ćwiczeń.

Do funkcjonowania seminarium zgromadzenie przywiązywało dużą wagę. Kierowało tu swoje najlepsze „kadry”. Siostry nie żałowały trudu, żeby jak najlepiej wychować młode nauczycielki, które w przyszłości miały oddziaływać poprzez swoją pracę na wszystkie warstwy społeczne. System wychowawczy placówki był oparty na wskazaniach założycielki Sióstr Niepokalanek Matki Marceliny Darowskiej. Przygotowywał on podopieczne nie tylko do pracy zawodowej, ale do trudnego życia, do podejmowania pracy oświatowej na Kresach. Uczył ich poświęcenia, sumienności i obowiązkowości. Pozwalał też rozwinąć własny potencjał intelektualny. Ważną rolę w wychowywaniu przyszłych „nauczycielek kresowych” odgrywała „Sodalicia Mariańska”. Ukierunkowała je moralnie i ideowo. Moment przyjęcia do sodalicii był bardzo uroczysty. Każda z nowych członkiń otrzymywała od siostry Marty książeczkę „O naśladowaniu Chrystusa” św. Tomasza à Kempis. Siostra Marta zachęcała swe podopieczne do wiary w Pana Boga, zachęcała je, by mocno wierzyły i zawsze oddawały się opiece Matce Bożej.

Pierwszy kurs w maciejowskiej placówce rozpoczął się w 1921 r. W następnych latach przybywały inne. W 1925 r. w Maciejowie było już pełne seminarium nauczycielskie, złożone z pięciu kursów. Odbyla się w nim też pierwsza matura. Zakład otrzymał pełne prawa państwowe. Wszelkie wizytacje oceniały niezwykle pozytywnie zarówno poziom nauczania, jak i wychowania placówki. W 1926 r. siostra Marta twórczyni całego ośrodka, za pracę społeczną i patriotyczną została odznaczona Złotym Krzyżem Zasługi. Pod jej „rządami” dom w Maciejowie stał się znaczącym ośrodkiem kulturalnym, stanowiącym zapórę przed silnymi na Wołyniu wpływami bolszewizmu i antypolską propagandą. Ludność ukraińska odnosiła się z niechęcią do polskiej wła-



dzy. Sabotowała tworzenie jej struktur, wspomagała antypolskie bandy bolszewickie, kierowane przez Zakordonnyj Otdiel Komunistycznej Partii bolszewików Ukrainy. Jeszcze w 1925 r. wojewoda wołyński stwierdził istnienie oddziałów bolszewickich na terenie powiatów włodzimierskiego, horochowskiego i kowelskiego. Dopiero stworzenie oddziałów Korpusu Ochrony Pogranicza położyło kres przenikaniu grup dywersyjnych przez polską granicę.

Jak wynika z zachowanych przekazów absolwentki Seminarium Nauczycielskiego w Maciejowie, doskonale dawały sobie radę w wołyńskiej rzeczywistości. Wiele z nich otrzymywało przez szereg lat dodatek specjalny dla wybitnych nauczycieli.

Pełniąc rolę „kresowej stancji ducha” i ośrodka polskości, Maciejów daleki był w swoim oddziaływaniu od wszelkiego nacjonalizmu i szowinizmu. Było to zasługą siostry Marty, która jak wynika ze świadectw i wspomnień jej podwładnych, wychowanek i osób, które się z nią stykały, posiadała umiejętność dostrzegania istotnych spraw, a szacunkiem dla innych przekonań wyprzedzała swoją epokę, działając w duchu ekumenizmu. Przychodzili do niej po poradę popi i rabini. Początkowo miejscowy rabin chciał nawet, by żydowskie dziewczęta uczęszczały do szkoły Niepokalanek. Siostra Marta taktownie wytłumaczyła mu jednak, że ich placówka ma charakter chrześcijański i źle byłoby, gdyby młode Żydówki zaczęły się w niej nawracać.

Kiedy w miasteczku rozeszła się wieść, że kończy się okres przełożenstwa siostry Marty, społeczeństwo żydowskie złożyło prośbę o nieodwoływanie *„Naszej pani Marty, bo kto od biedy będzie ratował bezradnych, chorych i starych”*.

Gdy umarł kapelan zakładu ks. Prałat Adam Żółkiewski, zwany przez jego uczennice ze względu na swą dobroć nowym św. Franciszkiem z Asyżu, na jego pogrzeb przy-



było tysiące mieszkańców miasteczka, wśród których był również rabin i prawosławny ksiądz. Podobny charakter miały również w miasteczku uroczystości żałobne po śmierci marszałka Józefa Piłsudskiego. Wzięli w nich udział przedstawiciele wszystkich wyznań i narodowości w nim mieszkających.

Maciejów nie był wówczas oczywiście wielką metropolią. Liczył 3 tys. mieszkańców. Dwie trzecie z nich stanowili Żydzi, a resztę Polacy, Ukraińcy i przedstawiciele innych narodowości. Jak wynika z „Ilustrowanego Przewodnika po Wołyniu” pióra dra Mieczysława Orłowicza, oprócz ośrodka Sióstr Niepokalanek w osadzie funkcjonował jeszcze Hotel Mandelbauma przy ul. Włodzimierskiej, restauracja Mariana Dymowicza przy ul. Chełmskiej i Mojżesza Gayera przy ul. Kolejowej, a także kościół św. Anny i renesansowa cerkiew św. Paraski, niegdyś unicka. Obok cerkwi znajdowała się *„dzwonnica drewniana z podwójną galerią, piękny okaz polskiego budownictwa drewnianego”*. Między kościołem a cerkwią znajdowała się dawna brama miejska, używana za dzwonnice kościelną. W miasteczku była również synagoga z zewnątrz przebudowana, wewnątrz renesansowa.

Klasztor Sióstr Niepokalanek wraz z zakładem wychowawczym, składającym się ze szkoły powszechnej i Seminarium Nauczycielskiego był w tamtej rzeczywistości centralną instytucją w niewielkim miasteczku. Jego rozwój był oczywiście nie tylko zasługą siostry Marty, pełniącej funkcję przełożonej całego domu, ale wszystkich pracujących w nim niepokalanek, w tym zwłaszcza dyrektorek seminarium, sióstr Tymotei i Zofii. Siostra Zofia była ostatnią dyrektorką placówki. Pracowała w niej od 1935 do 1939 r., czyli do momentu wkroczenia na Wołyń wojsk sowieckich. Położyła duże zasługi dla rozwoju szkoły, za co przez władze została odznaczona Złotym Krzyżem Zasługi. Pochodziła ona z mie-

szanej polsko-ukraińskiej rodziny. Była jedną z pierwszych wychowanek Zakładu Sióstr Niepokalanego Poczęcia NMP w Niżniowie na Podolu. Po wstąpieniu do Sióstr Niepokalanek pełniła w zgromadzeniu różne funkcje, podnosząc stale swoje kwalifikacje. Bolesnie przeżywała konflikty polsko-ukraińskie, które po raz pierwszy dały o sobie znać w końcu I wojny światowej. Ofiarowała swe życie z gotowością na śmierć męczeńską w intencji pojednania obu narodów. Nie przypuszczała, że w 1944 r. w kilka lat po opuszczeniu Maciejowa, w okolicach Jazłowca zostanie bestialsko zamordowana przez UPA.

Zaznaczyć trzeba, że oprócz prowadzenia szkół i ochronki, ośrodek w Maciejowie stworzony przez Siostry Niepokalanek wspomagał także wskrzeszoną w 1925 r. diecezję łucką. Skupiona przy nim wspólnota licząca 35 sióstr była największą żeńską w diecezji i angażowała się w różne działania duszpasterskie. Siostra Marta na prośbę ordynariusza diecezji bpa Adolfa Piotra Szelążka opracowała program kursów dla katechetów i po zatwierdzeniu zaczęła je organizować w Maciejowie. Szereg sióstr uczyło też religii w okolicznych wsiach. Mimo ewidentnych sukcesów zakładu zgromadzenia w Maciejowie nie popadała w samouwielbienie. Z niepokojem obserwowała sytuację na Wołyniu i nasilające się na nim wpływy podziemnych komunistycznych i nacjonalistycznych organizacji i brak przeciwdziałania ze strony nieudolnej administracji państwowej. W liście do siostry Gertrudy pisała m.in.: *Tu stosunki administracyjne przesmutne i doprawdy cudu trzeba, by się Polska na Kresach utrzymała przy takim niepojęciu działań gospodarczych (...) W jakich my tu czasach żyjemy. Nie tylko tradycja cnoty, ale i znajomość elementarnej uczciwości i przyrodzonej moralności się zatarała. Toteż misja antybolszewicka, jaką tu mamy wymaga pracy od korzenia.*

Na dwa lata przed wybuchem wojny w liście do Matki Zenony Dobrowolskiej apelowała, by ta na spotkaniach międzyzakonnych namawiała przełożone zgromadzeń żeńskich, zajmujących się wychowaniem i katechizowaniem dzieci do przysyłania zakonnic na Wołyń. Przestrzegając, że Polska jest na najlepszej drodze do utraty Kresów. Pisał m.in.: *Polska znów żałować będzie (...), że nie wytężyła wszystkich sił dla ratowania tych stron.*

Kres polskiego Maciejowa nastąpił we wrześniu 1939 r. po wkroczeniu wojsk radzieckich na Wołyń. Zakład Niepokalanek został przez władze komunistyczne natychmiast zamknięty. Siostry musiały opuścić miasteczko. W miasteczku pozostała jeszcze parafia katolicka pw. Świętego Stanisława Biskupa i Męczennika i Świętej Anny. Liczyła ona 1320 wiernych, żyjących oprócz Maciejowa aż w 38 miejscowościach, rozrzuconych w dwóch gminach Stare Koszary i Maciejów, należących do powiatu kowelskiego.

Ośrodek opuszczony przez niepokalanki władze sowieckie przejęły na cele wojskowe. W 1941 r. jego gospodarzem stała się ukraińska policja pomocnicza, utworzona przez hitlerowców. Jej garnizon był stosunkowo silny i składał się z batalionu opatrzonego nr 103 i uzbrojonego w broń ciężką. Miał on chronić strategiczną linię kolejową, strzec granicy z Generalnym Gubernatorstwem oraz zwalczać partyzantkę sowiecką i polskie podziemie niepodległościowe.

W końcu 1941 r. Niemcy wraz z policją ukraińską utworzyli getto, które zlikwidowali latem 1942 r. Wiosną 1943 r. batalion policji ukraińskiej zdezerterował i z bronią ciężką przeszedł do UPA. Latem 1943 r. w okolicach Maciejowa, tak jak na całym Wołyniu, zaczęły się mordy ludności polskiej. Maciejów na krótko stał się jednym z punktów, w których Polacy ocaleli z pożogi szukali schronienia. Niemcy pozwolili im początkowo zatrzymywać się w dawnym klasztorze

niepokalanek, a także w kościele i na plebanii. Szybko jednak podstawili wagony i wywieźli uciekinierów do Chełma. Tu wyselekcjonowali młodych mężczyzn i wywieźli na roboty do Niemiec.

We wrześniu 1943 r. UPA zaczęła kolportować wśród mieszkańców Maciejowa informacje, że Polacy, którzy nie wyjadą z miasteczka, zostaną wymordowani.

O atmosferze panującej wówczas w miasteczku i okolicy świadczy najlepiej list ks. Franciszka Korwin-Milewskiego do bpa Adolfa Piotra Szelaźka z października 1943 r. Píše w nim m.in.: (...) *Następnie chciałbym pokrótce napisać o tym wszystkim, co zdarzyło się tu u nas. I tak: bandyci ukraińscy – po wcześniejszym niegodziwym ustaleniu postępowania – w wielu wsiach i koloniach mordowali naszych ludzi za pomocą siekier, widel, łopat i broni palnej. Ci, którzy mogli uciec, prawie wszyscy opuścili naszą diecezję. Nikt nie potrafi wyrazić i opisać bez nadziei, bólu i męczeństwa uciekających Polaków. Może wydać się to dziwne, ale w wyliczeniu tych okrucieństw nie ma przesady (...). Wszędzie na drogach uzbrojeni siekiernicy ukraińscy tropią i zabijają Polaków. Psy wyciągają trupy Polaków w lasach i wsiach. W mojej parafii, za wyjątkiem wojska, pozostało zaledwie 60–70 katolików. Wielu także zostało zabitych, inni opuścili ten region. Dopóki będzie można, chcę tu pozostać, aby schizmatycy nie przejęli kościoła, chociaż istnieje niebezpieczeństwo utraty życia.*

Ściągnięcie przez Niemców ze Starokonstantynowa 107 Batalionu polskiej policji pomocniczej, który w Maciejowie został zakwaterowany, uratowało resztę Polaków, którzy nie uciekli z niego od pogromu. Uspokoiło też nieco sytuację w okolicy. Głębokie rajdy dokonywane przez batalion budziły respekt wśród UPA, której oddziały atakujące bezbronne wsie, rzadko atakowały uzbrojonego przeciwnika. Relacje mieszkańców Maciejowa z policjantami batalionu od samego początku układały się bardzo dobrze. Batalion ma-

szerując przez miasteczko, śpiewał np. polskie pieśni legionowe i „Marsz, marsz Polonia”. Uznanie dla funkcjonariuszy batalionu zwiększyło się w miasteczku jeszcze bardziej, gdy przed świętami Bożego Narodzenia wszyscy przyszedli do kościoła i przystąpili do spowiedzi. W batalionie działała grupa konspiracyjna, utrzymująca kontakt z polskim podziemiem. W styczniu 1944 r. cały batalion przeszedł z bronią na jego stronę, zasilając szereg AK.

Po opuszczeniu Maciejowa przez batalion, nacjonaści dokonywali pojedynczych mordów na jego mieszkańcach, ale nie zdobyli się na przeprowadzenie na niego bezpośredniego ataku. Dlatego też m.in. liczba ofiar rzezi dokonywanych na Polakach nie była w porównaniu z innymi miejscowościami zbyt duża.

Po wkroczeniu na Wołyń wojsk sowieckich, proboszcz parafii w Maciejowie ks. Franciszek Korwin-Milewski wraz z resztką parafian wyjechał za Bug. Po wojnie opuszczony kościół popadł w ruinę. Pozbawiony dachów i sklepień wymagałby dużych nakładów, by go odbudować i przywrócić do dawnej świetności. Odrodzona wspólnota katolicka w Maciejowie jest zbyt mała, by porywać się na jej odbudowę. Obsługujący ją franciszkanie z Kowla wskrzesili do życia już trzy kościoły, niczego więc nie można wykluczyć.

## NA POLACH BERESTECKIEJ BITWY

---

**D**la miłośników „Trylogii” Henryka Sienkiewicza, a zwłaszcza „Ogniem i mieczem” wizyta w Beresieczku to szczególne przeżycie. To tu miał miejsce epilog powieści pisanej dla pokrzepienia serc. To tu król Jan Kazimierz, stojący na czele połączonych sił litewsko-polskich zagroził drogę idącej na podbój Rzeczypospolitej Kozaczyźnie, wspomaganej przez tatarskiego chana z wszystkimi ordami. *Przebudzona z odrętwienia Rzeczpospolita – jak pisał Sienkiewicz zrozumiała bowiem, że tylko miecz dłuższy spokój zapewnić może, więc gdy król ruszył przeciw nieprzyjacielskiej powodzi, szło z nim sto tysięcy wojska i szlachty prócz ciurów i czeladzi. Wśród nich byli wszyscy bohaterowie Henryka Sienkiewicza: Jeremi Wiśniowiecki z całą swą dywizją, w której po staremu służyli Skrzetuski i Wołodyjowski z wolentarzem Zagłobą; byli obaj hetmani Potocki i Kalinowski, czasu tego już z niewoli tatarskiej wykupieni. Był i pułkownik Stefan Czarnecki, późniejszy szwedzkiego króla Karola Gustawa pogromca i pan Przyjemski, który wszystką armatą dowodził, i generał Ubald, i pan Arciszewski, i pan starosta krasnostawski, i brat jego starosta jaworowski, późniejszy król Jan III i Ludwik Wejher, wojewoda pomorski i Jakub wojewoda malborski, i chorąży Koniecpolski, i książę Dominik Zasławski, i biskupi, i dygnitarze koronni i senatorowie – cała Rzeczpospolita z naczelnym swym wodzem królem.*

Choć Sienkiewicz nie był historykiem i dość często puszczal wodze fantazji, dość wiernie oddał znaczenie i rozmiar bitwy. Była ona niewątpliwie jedną z najważniejszych bitew ówczesnego świata, która przesadziła nie tylko o losach Rzeczypospolitej. Przypuszczać można, że oparł się on również



na zapiskach uczestnika bitwy księcia Albrychta Radziwiłła, który w swym dyariuszu przed bitwą zapisał: *Nadszedł więc pamiętny dzień, w którym los religii katolickiej, Rzeczypospolitej, króla i, żeby nie powiedzieć całego chrześcijaństwa zawisł od beresteckich pól*. Gdyby wojska koronno-litewskie przegrały bitwę, Polsce, jak zgodnie przypuszczają historycy, już wówczas groziłby rozbiór, do którego szykowali się: Chmielnicki, Turcja, Moskwa i Szwedzi.

Dzisiejsze Beresteczko, choć nosi ślady swojej dawnej miejskiej przeszłości, to de facto wieś, czyli po ukraińsku село. Liczy około dwóch tysięcy mieszkańców i w porównaniu z międzywojniem trzykrotnie zmniejszyło liczbę mieszkańców. W 1937 r. liczyło 6343 obywateli. Zniknęli z jego pejzażu Żydzi, wymordowani przez hitlerowców, którzy stanowili 80 proc. mieszkańców Beresteczka, a także Polacy, którzy opuścili miasteczko jeszcze przed wkroczeniem wojsk sowieckich w 1944 r., uciekając przed nożami UPA, której oddziały kilkakrotnie szturmowały miasteczko, by wymordować Polaków.

Obecnie Beresteczko leży niemal na końcu świata, z dala od znanych szlaków komunikacyjnych. Bez własnego samochodu nie ma się więc do niego co wybierać. W jego okolicach stykają się cztery obwody: wołyński, rówieński, tarnopolski i lwowski. Gdyby nie zdarzyła się pod nim historyczna bitwa, należąca do wspólnych dziejów zarówno polskiego, jak i ukraińskiego narodu, nikt by się pewnie nie kłopotał, gdzie się znajduje. Władze Obwodu Wołyńskiego niezbyt dbają o Beresteczko, bo wszystkie profity z tytułu stoczenia pod nim bitwy czerpie Obwód Rówieński. Pole bitwy znajduje się już na jego terytorium, za rzeką Styr, nad którą leży miasteczko. Król Jan Kazimierz oparł obóz polski o Styr i Ptaszówkę, po mistrzowsku wykorzystując ukształtowanie terenu. Jego boków z jednej strony broniła Ptaszówka i jej



bagna, a z drugiej puszcza. Trzydniowa bitwa stoczona w warunkach wybranych przez Jana Kazimierza dała jego wojskom wspaniałe zwycięstwo. Chan z Chmielnickim salwowali się ucieczką, zostawiając na polu bitwy tysiące zabitych, a także cały tabor z piechotą w ufortyfikowanym obozie. Po jego zdobyciu przez wojska polskie, straty kozackie wzrosły według historyków o co najmniej 30 tys. osób! Henryk Sienkiewicz opisując bitwę pod Beresteczkiem w Epilogu „Ogniem i mieczem” opierał się na współczesnej mu wiedzy historycznej i z grubsza rzecz biorąc dość wiernie oddał jej przebieg. Można się o tym m.in. przekonać, studiując najnowszą pracę dotyczącą bitwy pióra Romualda Romańskiego i zatytułowana „Beresteczko 1651”.

W samym Beresteczku nie zachowały się żadne z polskich czasów ślady obiektów, upamiętniających bitwę. Nigdy za wiele ich też nie było. Wciąż w nim znajduje się kościół św. Trójcy, na ścianach zewnętrznych którego znajdowało się malowidło przedstawiające bitwę pod Beresteczkiem, pędzla ks. Józefa Prechtla. Zostało ono zabielenie w 1853 r. przez ówczesnego proboszcza, który chciał ocalić go przed zniszczeniem przez Rosjan, którzy patrzyli na niego krzywo. W toku następnych remontów i konserwacji nie zostało odsłonięte i dziś nie wiadomo nawet, jak wyglądało. Sam trójnawowy bazylikowy, późnobarokowy kościół znajduje się, mimo prób ratowania, w ruinie. Szkoda, bo był on kiedyś ozdobą miasteczka i należał do najpiękniejszych na Wołyniu. W jego zakrystii przechowywana była też szabla księcia Jeremiego Wiśniowieckiego, którą waleczny wódz złożył po bitwie w drewnianym kościele świętego Andrzeja, który kilkadziesiąt lat po bitwie został zastąpiony przez murowany. Z szablą tą w ręku „straszliwy Jarema” bez zbroi i hełmu na głowie trzeciego dnia bitwy prowadził na lewe skrzydło kozacko-tatarskie osiemnaście chorągwi swojej dywizji. Szabla

Wisniowieckiego niestety zaginęła w 1920 r. Zrabowali ją plądrujący świątynię bolszewicy.

O bitwie stoczonej na beresteckich polach przypomina znajdujący się w Płaszowej, już w obwodzie rówieńskim, w rejonie radziwiłłowskim, zespół pomnikowy „Pole Beresteckiej Bitwy”, wcześniej noszący miano „Kozackich mogił”. Składa się on z dwóch cerkwi: św. Michała i św. Grzegorza, dzwonnicy oraz jednopiętrowego budynku byłego klasztoru, w którym obecnie znajduje się muzeum. Obiekt ten powstał w latach 1910–1914. W 1991 r. w 340-rocznicę bitwy wzbogaconego jeszcze o monument ku czci poległych Kozaków, a także kilka innych, umieszczonych na trasie ucieczki Kozaków ze zdobywanego taboru, w miejscach gdzie ich poszczególne grupy były doganianie przez pościg wojsk koronnych i bezlitośnie dorzynane.

Główną budowlą zespołu jest wysoka na 28 metrów cerkiew św. Grzegorza. Łącząca w sobie cechy ukraińskiego baroku oraz XX-wiecznej sztuki rosyjskiej. Ma ona kształt nawy centralnej, otoczonej pięcioma wielobocznymi absydami. Nawę przykrywa potężna kopuła na ośmiobocznym bębnie, w którym znajdują się okna oświetlające wnętrze. Główną fasadę zdobi fronton z wolutami. Wnętrze świątyni podzielone jest na dwie kondygnacje. Wyższa kondygnacja otwiera się na nawę szerokimi arkadami. Pod częścią centralną znajduje się druga podziemna cerkiew oraz grobowiec, w którym spoczywają szczątki poległych pod Beresteczkiem Kozaków. Wizyta w niej robi duże wrażenie tym bardziej, że nie pełni ona już tylko funkcji muzealnych, ale zwrócona w 1990 r. Cerkwi Prawosławnej Kijowskiego Patriarchatu ponownie jest świątynią, w której rozbrzmiewa modlitwa. Jej kształt jest też unikatowy i nie ma odpowiednika w budowlach wschodniego chrześcijaństwa. Górna świątynia pełni jak gdyby funkcję cerkwi polowej, jest otwarta w stronę bitew-

nego pola. Zaprojektowano ją tak, by mogły się przed nią odbywać wielkie polowe nabożeństwa z udziałem tysięcy ludzi. Wystrój jego ikonostasu zdaje się sugerować, że tutaj miała miejsce Golgota ukraińskiego ludu.

Z „kozackiego grobowca” podziemnym przejściem o długości 50 m przechodzi się do cerkwi św. Michała. Jest to najstarsza budowla zespołu, pochodząca z połowy XVI w. Należy też do najstarszych drewnianych cerkwi, zachowanych na Wołyniu. Przeniesiona tutaj została z niedalekiej wsi Ostrów i odremontowana. Była świadkiem bitwy. Wieś Ostrów znajdowała się na terenie kozackiego taboru. Tuż przed rozpoczęciem bitwy modlił się w niej Chmielnicki. Liturgii przewodniczył patriarcha jerozolimski Joasaf, który udzielił mu błogosławieństwa na wojnę za wiarę prawosławną, miał mu też wręczyć miecz poświęcony przy Grobie Chrystusa w Jerozolimie. Przeniesienie jej na teren „kozackiego sanktuarium” miało oczywiście wymiar ideologiczny. Miała ona przypominać odwiedzającym, że bitwa pod Beresteczkiem miała nie tylko wymiar militarny, ale także religijny, że była starciem w obronie zagrożonego przez Kościół rzymskokatolicki prawosławia... Autorzy tego zabiegu naciągnęli nieco fakty. Cerkiew znajdowała się na terenie kozackiego obozu, ale Chmielnicki się w niej nie modlił o zwycięstwo nad Lachami i nie otrzymał błogosławieństwa od patriarchy jerozolimskiego. Hetman na co dzień modlił się wraz ze starszyzną i dostojnikami prawosławnymi w wielkiej polowej cerkwi, upiętej z namiotu, w której nabożeństwom przewodniczył wspomniany Patriarcha Jerozolimy. W niej to pewnie udzielił błogosławieństwa Chmielnickiemu. Nie był on jedynym duchownym, który zagrzewał Kozaków do walki z Lachami. W obozie Chmiela byli także patriarcha aleksandryjski Eudoxy, metropolita kijowski Sylwester, poseł patriarchy Konstantynopola, biskup koriatycki

i wielu innych dygnitarzy greckiego obrządku, a także setki popów. Część z nich dało gardła podczas pogromu obozu. Był wśród nich m.in. patriarcha jerozolimski. Król Jan Kazimierz kazał go pochować przy najbliższej cerkwi, którą była właśnie cerkiew św. Michała w Ostrowie. Inicjatorzy wzniesienia „Kozackiego Memoriału” nie zwrócili na to jednak uwagi i nie dokonali ekshumacji szczątków hierarchy. Stało się to dopiero wiele lat później. Być może zdecydowały o tym względy polityczne. Inicjatorem powstania „Kozackich Mogił” była bowiem Poczajowska Ławra, czołowy rozsadnik na Wołyniu moskiewskiego prawosławia. Czyniła to oczywiście w porozumieniu z carem. Poprzez stworzenie kompleksu chciała ona, co jest swoistym paradoksem, przeciwdziałać tendencjom niepodległościowym ukraińskiego narodu, a zwłaszcza wykorzystywaniem do tego tradycji beresteckiej. Już w 1844 r. bitwą berestecką interesował się inicjator powstania „Bractwa Cyryla i Metodego”, pierwszej nowoczesnej organizacji politycznej, historyk Mykoła Kostomarow. Odwiedzał on pole bitwy i prowadził na nim badania. Wraz z komisją archeologów bywał na nim także Taras Szewczenko, poeta, malarz, prawodawca nowożytnej literatury ukraińskiej, twórca zrębów ukraińskiej ideologii narodowej. Swoimi utworami zaczął on wprowadzać Beresteczko do ukraińskiej świadomości narodowej.

Głównym zadaniem „memorialnego kompleksu” funkcjonującego pod patronatem Poczajowa miało być szerzenie przekonania, że naród ukraiński nie będzie doznawał takich klęsk jak pod Beresteczkiem, jeżeli będzie pozostawał w ścisłym związku z Rosją, korzystając z opieki cara.

„Kozackie sanktuarium” rodziło się jednak w bólach. Ofiary zebrane przez Poczajowską Ławrę były za małe, by rozpocząć jego budowę. Dopiero, gdy groszem sypnęli kupcy z Moskwy i Petersburga i do swojej szkatuły sięgnął car,

prace ruszyły do przodu, by zakończyć się tuż przed I wojną światową. W uroczystościach jego otwarcia brał m.in. udział pułk Kozaków Dońskich.

W odrodzonej Rzeczypospolitej „Kozackie Mogiły” były wykorzystywane przez ukraińskich nacjonalistów do organizowania antypolskich imprez i manifestacji. Stały się one, jak pisze autor przewodnika, wydane jeszcze w czasach sowieckich „symbolem walki o wolność narodu”. W 1930 r. Departament Wyznań MWRiP zaproponował nawet likwidację klasztoru prawosławnego w „Kozackich Mogiłach”, ponieważ, był permanentnie wykorzystywany „przez elementy wywrotowe na demonstracje antypaństwowe”. Stały się one miejscem licznych pielgrzymek w czasie dorocznych odpustów.

Funkcjonowanie „Kozackich Mogił” niewątpliwie przyczyniło się do wzrostu antypolskich nastrojów na Wołyniu, co odbiło się również w nasileniu mordów ludności polskiej w 1943 r. w okolicach Beresteczka. 29 sierpnia 1943 r. proboszcz miasteczka, a zarazem dziekan miejscowego dekanatu ks. Jerzy Zwoliński w piśmie do ordynariusza diecezji łuckiej bpa Adolfa Piotra Szelaźka pisał m.in.: *Wszystkie rodziny katolickie mojej parafii, a raczej niedobitki z okolic zjechały się do Beresteczka. Płacz wdowców, lamenty wdów i sierot półnagich i głodnych, niebo ustawicznie od pożarów czerwone, ryk bytła głodnego, wycie psów bezdomnych, oto atmosfera, którą przez szereg tygodni oddycham, a ponieważ w całym moim życiu kierowałem się więcej uczuciem niż rozumem, serce moje niemądre odmawia posłuszeństwa, bo cierpi za tysiące. Potęguje się ten ból tą okolicznością, że wobec tej żywiołowej klęski i bezmiaru cierpień zaradzić nie mogę najpotrzebniejszym wymogom biednego ludu.*

Dwa transporty tych biedaków odjechało na daleki Zachód, w przygotowaniu jest przedostatni, z ostatnim ja odjadę. Zostanie w całej parafii kilka rodzin mętów i szumowin zukrainizowanych.

*Rzeczy kościoła beresteckiego są zabezpieczone. Klucze oddałem burmistrzowi, czyniąc go surowo odpowiedzialnym za całość świątyni. Gdyby nastąpiło uspokojenie, jak zapowiadają nasi „przyjaciele” i pozostała mała gromadka wiernych, nie opuszczę Beresteczka.*

Wszyscy Polacy od razu jednak z miasteczka nie wyjechali. Utworzyli samoobronę, która skutecznie kilkakrotnie odpierała ataki UPA. Gdy na przełomie 1943 i 1944 r. zacieśnili oni pierścień wokół Beresteczka i szykowali się do ostatecznego szturmu, przybył im z odsieczą oddział Kozaków Dońskich, który urządził członkom UPA krwawą jatkę. Dzięki niemu straty ludności polskiej w Beresteczku na tle innych miejscowości są stosunkowo niewielkie...

W czasach stalinowskich władze sowieckie, zwalczające ukraiński nacjonalizm ani myślały pielegnować tradycje „Kozackich Mogił” uważając, że staną się one zakamuflowanym sanktuarium. OUN-UPA zamknęły cerkiew i klasztor, usuwając zakonników. Wpadły na pomysł zagospodarowania beresteckiego pobojuwiska. Postanowiły przekształcić go w sowchoz, zabudowany gigantycznymi fermami, z których wywożona gnojowica „użyźniałaby” pola zroszone wcześniej kozacką krwią. Dopiero w 1966 r. „Kozackie Mogiły” zostały uznane za rezerwat i objęte ochroną prawną. Podporządkowano je Muzeum Krajoznawczemu w Równem. W 1967 r. w dawnym klasztorze otwarto muzeum,apełnio-  
ne efektami prac wykopaliskowych na beresteckich polach. Ekspozycja w nim urządzona miała rzecz jasna określone przesłanie. Ilustrowała walkę, jaką: *lud pracujący Ukrainy podjął pod wodzą Bohdana Chmielnickiego o społeczne, narodowe, religijne wyzwolenie spod ucisku polskich magnatów, szlachty i kleru katolickiego*. Opiewała bohaterstwo Kozaków podkreślając, że ich ofiara nie poszła na marne. Ukraińcy zrozumieli bowiem, że tylko w sojuszu z Rosją uda im się zachować na-



rodową tożsamość i zawarli z nią Unię w Perejasławiu... Ekspozycja ta była zwiedzana przez tysiące wycieczek z całej Ukrainy, a także z zagranicy. Miała ona niewątpliwie wpływ na kształtowanie jednostronnego widzenia stosunków polsko-ukraińskich przez wielu Ukraińców i utrwalenia wizji Polski jako okupanta ziem ukraińskich.

W niepodległej Ukrainie oddziaływanie „beresteckiego zespołu” jeszcze bardziej się nasiliło. Został wzbogacony o nowe obiekty. Zyskał też nowych popularyzatorów w postaci Bractw UPA, które na Wołyniu wprost sięgnęły do kozackich tradycji. Utworzyli Ukraińskie Kozactwo „Wołyńska Sicz” z własnym koszowym atamanem.

Władze polskie jak dotąd nie wykorzystywały Beresteczka do budowania polsko-ukraińskich mostów i pojednania. Prezydenci naszych państw nie podali sobie tu rąk ani też nie uczestniczyli w nabożeństwie ekumenicznym za dusze poległych. Szkoda, bo co wydarzyło się na Wołyniu w 1943 r. było niejako dopełnieniem beresteckiej bitwy. *Nienawiść* – jak pisał Sienkiewicz – *wzrosła w serca i zatrula krew pobratymczą*. Beresteczko jest naszą wspólną tradycją i nie powinno nas dzielić, ale łączyć.

Pamiętać też powinniśmy, że w Beresteczku odrodziła się katolicka parafia. Jest ona jednak niewielka. Liczy zaledwie kilkunastu członków. Spotykają się oni na modlitwie w niewielkiej cmentarnej kaplicy. Dojeżdżali do nich – z Dubna ks. Tadeusz Bernat, z Łucka ks. Aleksander Hamalijczuk, a od niedawna ks. Grzegorz Oważany. Bez pomocy z kraju nie będzie ona w stanie zająć się niszczącą świątynią, w której modlili się ich przodkowie.





## SPIS ILUSTRACJI

---

1. Trzy krzyże na cmentarzu w Pawliwce (d. Poryck). *Fot. Irena Androszczuk*
2. Pomnik nad grobem ofiar na cmentarzu w Pawliwce (d. Poryck). *Fot. Irena Androszczuk*
3. Kolumny – pozostałość po zniszczonym kościele w Pawliwce (d. Poryck). *Fot. Irena Androszczuk*
4. Msza św. z okazji 65. rocznicy tragicznych wydarzeń w Poryku–Pawlika, 12 lipca 2008 r. *Fot. Irena Androszczuk*
5. Kościół parafialny w Zaturcach. *Fot. ze zbiorów autora*
6. Wieża kościoła parafialnego w Zaturcach. *Fot. ze zbiorów autora*
7. Kościół w Zaturcach od strony południowej. *Fot. ze zbiorów autora*
8. Kościół w Zaturcach od strony północnej. *Fot. ze zbiorów autora*
9. Kolejny remont ścian kościoła w Zaturcach. *Fot. ze zbiorów autora*
10. Obraz boczny w kościele w Zaturcach. *Fot. ze zbiorów autora*
11. Zniszczone ściany kościoła w Zaturcach. *Fot. ze zbiorów autora*
12. Grób Władysława i Marii Lipińskich na cmentarzu katolickim w Zaturcach. *Fot. ze zbiorów autora*
13. Wieża Zamku Lubarta w Łucku. *Fot. Janusz Romaniuk*
14. Dziedziniec Zamku Lubarta w Łucku. *Fot. Janusz Romaniuk*
15. Grób Pański w katedrze łuckiej. *Fot. ze zbiorów autora*
16. Kapłani diecezji łuckiej ze swoim Pasterzem przy ołtarzu w katedrze. *Fot. ze zbiorów autora*
17. Jaselka w katedrze łuckiej. *Fot. ze zbiorów autora*
18. Kopia Całunu Turyńskiego w kaplicy katedry łuckiej. *Fot. ze zbiorów autora*
19. Nawiedzenie białoruskiej kopii Całunu Turyńskiego w katedrze łuckiej. *Fot. ze zbiorów autora*
20. Ks. kan. Jan Buras błogosławi dzieci. *Fot. ze zbiorów autora*
21. Nabożeństwo w katedrze łuckiej poświęcone pamięci ks. bpa Adolfa Piotra Szelażka. Obok bpa Marcjana Trofimiaka bp Jan Purwiński z Żytomierza i bp Leon Dubrawski z Kamieńca Podolskiego. *Fot. ze zbiorów autora*
22. Pamiątkowe zdjęcie w katedrze łuckiej. *Fot. ze zbiorów autora*

23. Siostry Terezjanki na audyencji u ks. bpa Marcjana Trofimiaka. *Fot. ze zbiorów autora*
24. Kościół parafialny w Torczynie. *Fot. ks. Witold Józef Kowalów*
25. Ks. Grzegorz Oważany, administrator parafii w Hołobach, razem z wiernymi w oczekiwaniu na Biskupa. *Fot. ze zbiorów autora*
26. Najmłodszy parafianin w Hołobach witają Pasterza diecezji łuckiej. *Fot. ze zbiorów autora*
27. Bp Marcjan Trofimiak i ks. kanclerz Jan Buras wśród wiernych w Hołobach. *Fot. ze zbiorów autora*
28. Msza św. pontyfikalna w Hołobach. Obok ks. bpa Marcjana Trofimiaka ks. kanclerz Jan Buras i ks. Grzegorz Oważany. *Fot. ze zbiorów autora*
29. Msza św. pontyfikalna w Hołobach. Obok ks. bpa Marcjana Trofimiaka ks. kanclerz Jan Buras, ks. Tomasz Czopor i ks. Grzegorz Oważany. *Fot. ze zbiorów autora*
30. Słowo kapłana prawosławnego w czasie uroczystej Mszy św. w Hołobach. *Fot. ze zbiorów autora*
31. Bp Marcjan Trofimiak w otoczeniu pielgrzymów z Łucka i miejscowych parafian w Hołobach. *Fot. ze zbiorów autora*
32. Kościół pw. Najświętszego Serca Pana Jezusa w Kiwercach. *Fot. ze zbiorów autora*
33. Wnętrze kościoła parafialnego w Kiwercach. *Fot. ze zbiorów autora*
34. Plebania w Kiwercach. *Fot. ze zbiorów autora*
35. Fasada kościoła w Rożyszczach. *Fot. ze zbiorów autora*
36. Pierwsza komunie św. w Rożyszczach. *Fot. ze zbiorów autora*
37. Pamiątkowe zdjęcie we wnętrzu kościoła w Rożyszczach. *Fot. ze zbiorów autora*
38. Pamiątkowa fotografia z ks. Romanem Burnikiem. *Fot. ze zbiorów autora*
39. Kościół parafialny w Dubiszczu. *Fot. ze zbiorów autora*
40. Budujący się kościół w Dubiszczu. *Fot. ze zbiorów autora*
41. Ks. Roman Burnik z parafianami w Dubiszczu. *Fot. ze zbiorów autora*
42. Wnętrze kościoła pw. Świętych Apostołów Piotra i Pawła w Ołyce. *Fot. ze zbiorów autora*
43. Ks. Jerzy Pohnerybka głoszący Słowo Boże. *Fot. ze zbiorów autora*
44. Ks. Jerzy Pohnerybka udzielający Chrztu św. *Fot. ze zbiorów autora*

45. Ks. Jerzy Pohnerbyka. *Fot. ze zbiorów autora*
46. Obraz Matki Bożej Klewańskiej. *Fot. archiwum*
47. Klewań, 1993 r. Msza św. odpustowa wewnątrz zniszczonego kościoła z 1630 r. Od prawej: ks. Antoni Andruszczyszyn, ks. Witold Józef Kowalów, diakon Tomasz Trzebunia. *Ze zbiorów M. Matyjaszewskiej*
48. Klewań, 2000 r. Kościół pw. Zwiastowania Najświętszej Marii Panny z 1630 r. *Ze zbiorów M. Rakowskiej*
49. Klewań, 2001 r. Wnętrze kościoła. *Ze zbiorów J. Rutkowskiego*
50. Kości Czarторыskich w kościele w Klewaniu. *Fot. Kazimierz Karolczak*
51. Kościół pw. Przemienienia Pańskiego w Maniewiczach. *Fot. Leon Popek*
52. Ks. Edmund Domański (1908–1984) – w czasie II wojny światowej proboszcz parafii Karasin i Maniewicze. *Fot. archiwum*
53. Kościół parafialny w Kowlu. *Fot. Krzysztof Kołtun*
54. O. Polikarp Strzałkowski OFM. *Fot. Janusz Romaniuk*
55. O. Henadij Siciński OFM. *Fot. Janusz Romaniuk*
56. Klasztor oo. Franciszkanów w Kowlu. *Fot. Janusz Romaniuk*
57. Kościół i dzwonnica w Lubomlu. *Fot. Janusz Romaniuk*
58. Kościół parafialny we Włodzimierzu Wołyńskim. *Fot. Janusz Romaniuk*
59. Tablica ku czci ks. dra inf. Stanisława Kobyleckiego we włodzimierskiej farze. *Fot. Janusz Romaniuk*
60. Pamiątkowa tablica w kościele farnym we Włodzimierzu Wołyńskim. *Fot. Janusz Romaniuk*
61. Nowa plebania we Włodzimierzu Wołyńskim. *Fot. Janusz Romaniuk*
62. Dom o. Leszka Koszłagi otwarty dla gości. *Fot. Janusz Romaniuk*
63. Dawne koszary jednostki WP we Włodzimierzu Wołyńskim. *Fot. Janusz Romaniuk*
64. Plac apelowy w jednostce WP we Włodzimierzu Wołyńskim. *Fot. archiwum*
65. Cmentarz we Włodzimierzu Wołyńskim – symboliczne groby pomordowanych księży. *Fot. Janusz Romaniuk*
66. Dawny kościół garnizonowy we Włodzimierzu Wołyńskim – obecnie cerkiew grekokatolicka. *Fot. Janusz Romaniuk*

67. Powstający kościół w Nowowołyńsku. *Fot. Janusz Romaniuk*
68. Cerkiew w Zimnem. *Fot. Janusz Romaniuk*
69. Kaplica w Kamieniu Koszyrskim. *Fot. Janusz Romaniuk*
70. Kościół w Kamieniu Koszyrskim. *Fot. Janusz Romaniuk*
71. Ruiny kościoła w Łukowie (d. Maciejów). *Fot. Janusz Romaniuk*
72. Dawny klasztor ss. Niepokalanek w Maciejowie (ob. Łuków). *Fot. Janusz Romaniuk*

## SPIS TREŚCI

---

|                                           |     |
|-------------------------------------------|-----|
| Przedmowa .....                           | 5   |
| Prawdy nie plugawić .....                 | 8   |
| Lipińscy wracają nad Turę .....           | 22  |
| W cieniu Lubartowej wieży .....           | 38  |
| Polacy nad Styrem .....                   | 57  |
| W biskupim Torczyniu i Hołobach .....     | 64  |
| W kolejarskiej parafii .....              | 76  |
| Rożyszcze i Dubiszcz .....                | 86  |
| Radziwiłłowska Ołyka .....                | 97  |
| U Czartoryskich na Klewaniu .....         | 110 |
| U gościnnych Poleszuków .....             | 122 |
| Tam, gdzie się kształcił Kościuszko ..... | 140 |
| Kowel na progu Kresów .....               | 154 |
| Z Krakowa na Kowelszczyznę .....          | 168 |
| Parafia króla Jagiełły .....              | 184 |
| We Włodzimierzu nad Bugiem .....          | 192 |
| Na ziemi Krasickich i Ordów .....         | 219 |
| Nie ma już Maciejowa .....                | 229 |
| Na polach beresteckiej bitwy .....        | 243 |
| Spis ilustracji .....                     | 253 |





## OŚRODEK „WOŁANIE Z WOŁYNIA”

Od 1997 roku Ośrodek „Wołanie z Wołynia” zajmuje się publikowaniem książek wydawanych przez „Wołanie z Wołynia” – pismo religijno-społeczne ukazujące się na Ukrainie od 1994 roku. Wokół pisma skupionych jest kilka osób, które wzięły na siebie trud dokumentowania najnowszej historii i ukazywania aktualnych problemów Kościoła Katolickiego na Ukrainie, ze szczególnym uwzględnieniem Wołynia i diecezji łuckiej. Zainteresowania naszej redakcji obejmują także: sytuację wiernych w społeczeństwach krajów postsowieckich, kontakty katolicko-prawosławne, wysiłki ekumeniczne, stosunki polsko-ukraińskie, kultura i osiągnięcia myśli filozoficznej Ziemi Wołyńskiej, wybitni Wołynianie. Równocześnie z pismem ukazuje się seria wydawnicza: Biblioteka „Wołanie z Wołynia”. W latach 1997–2008 wydaliśmy 60 tytułów-książek.

### ZAPRASZAMY DO WSPÓŁPRACY!!!

Dotychczas nakładem Ośrodka „Wołanie z Wołynia” ukazały się:

- T. 1. „Хресна Дорога”, Острог 1997.
- T. 2. Br. Adrian Wacław Brzózka, *Milczące cienie*, Ostróg 1997.
- T. 3. O. Ян Попель, „Розмови про молитву”, Білий-Дунаєць 1997.
- T. 4. O. Remigiusz Kranc OFMCap., *W drodze z Ostroga na Kołymę* pod red. ks. Witolda Józefa Kowalowa i o. Józefa Mareckiego OFMCap., Biały Dunajec–Kraków 1998.
- T. 5. O. Едвард Станек, „Педагогічні принципи Вчителя з Назарету”, Білий-Дунаєць, 1998.
- T. 6. Tadeusz Kukiz, *Wołyńskie Madonny i inne obrazy sakralne z diecezji łuckiej*, Biały Dunajec 1998.
- T. 7. Ks. Witold Józef Kowalów, *Zmartwychwstały Kościół cz. 1, Diecezja łucka 1989–1998: odrodzenie Kościoła Rzymskokatolickiego w obecnym dekanacie rówieńskim*, Biały Dunajec 1998.
- T. 8. O. Альбін Яноха OFM Cap., „Отець Серафим-Алоїз Кашуба (1910–1977)”, Білий-Дунаєць, 1999; O. Albin Janocha, „O. Serafin Alojzy Kaszuba (1910–1977)”, Biały Dunajec 1999.

T. 9. Ks. Witold Józef Kowalów, Ks. *Michał Stanisław Głowacki „Świętopelk” (1804–1846). Folklorysta i współorganizator powstania*, Biały Dunajec–Ostróg 1999.

T. 10. Ks. Witold Józef Kowalów, *Sursum corda. W górę serca. Wybór artykułów prasowych z lat 1992–1997*, Biały Dunajec–Ostróg 1999.

T. 11. Krzysztof Koltun, *Szelest róży*, Biały Dunajec–Ostróg 1999.

T. 12. С. Михайлина Алєкса RM, “Слуга Божий Архієпископ Зигмунт-Щенський Фелінський (1822–1895). Син Волинської Землі”, Білий-Дунаєць, 1999.

T. 13. О. Андрій Зволінський, “Ясько”, Білий-Дунаєць–Остріг, 1999.

T. 14. О. Ієронім Варахім OFMCap., “Духовний силует Слуги Божого О. Серафима Кашуби OFMCap.”, Білий-Дунаєць–Остріг, 2000; О. Hieronim Warachim OFMCap., *Duchowa sylwetka Sługi Bożego O. Serafina Kaszuby*, Biały Dunajec–Ostróg 2000.

T. 15. *Ostróg. Ilustrowany przewodnik krajoznawczy*, Biały Dunajec–Ostróg 2000.

T. 16. Ks. Władysław Knapiński, *Sprawa o Kościół w Ostrogu na Wołyniu*, Biały Dunajec–Ostróg 2000.

T. 17. Leon Karłowicz, *Nie zostawiajcie mnie tu... Obrazy z życia deportowanych do Kazachstanu*, Biały Dunajec–Ostróg 2000.

T. 18. О. Иоанн Павел Мухарский OFMCap., “И ты утверждай своих братьев. К Великому Юбилею 2000 года”, Biały Dunajec–Ostróg 2000.

T. 19. Галина Гандзілевська, “Чекатиму тебе...”, Biały Dunajec–Ostróg 2000.

T. 20. Krzysztof Rafał Prokop, *Sylwetki biskupów łuckich*, Biały Dunajec–Ostróg 2001.

T. 21. *Listy z Kozielska burmistrza miasta Ostroga*, Biały Dunajec–Ostróg 2001.

T. 22. Ks. Władysław Bukowiński, *Do moich przyjaciół*, Biały Dunajec–Ostróg 2001.

T. 23. *Spotkałem człowieka. Ks. Władysław Bukowiński w pamięci wiernych i przyjaciół*, Biały Dunajec–Ostróg 2001.

T. 24. Krzysztof Koltun, *Wołyńska litania*, Biały Dunajec–Ostróg 2001.

T. 25. Ks. Witold Józef Kowalów, *Szkice z dziejów kościelnych Ostroga i okolicy*, Biały Dunajec–Ostróg 2001.

T. 26. Romuald Wernik, *W Zdobunowie zakwitły kaczeńce*, Biały Dunajec–Ostróg 2001.

T. 27. Ks. Andrzej Kwiczala, *Dzieje parafii rzymskokatolickiej w Ostrogu na Wołyniu (1939–2000)*, Biały Dunajec–Ostróg 2001.

T. 28. Богдан Колосок, “Кафедральні споруди Луцька. Історико-архітектурне дослідження”, Biały Dunajec–Ostróg 2002.

T. 29. Maria Przybylska, *Karawana ze Wschodu*, Biały Dunajec–Ostróg 2002.

T. 30. O. Ієронім Варахим OFM Cap., “Апостол Церкви Мовчанья. О. Серафим Кашуба OFM Cap.”, Білий-Дунаєць–Остріг, 2002; O. Hieronim Warachim OFM Cap., *Apostoł Kościoła Milczenia. O. Serafin Kaszuba OFM Cap.*, Biały Dunajec–Ostróg 2002.

T. 31. Ks. Kamil Kantak, *Juliusza Słowackiego życie i idee religijne*, Biały Dunajec–Ostróg 2003.

T. 32. Krzysztof Rafał Prokop, *Biskupi kijowscy obrządku łacińskiego XIV–XVIII w. Szkice biograficzne*, Biały Dunajec–Ostróg 2003.

T. 33. O. Hieronim Warachim OFM Cap., *Kapucyńska Odyseja przez Podole i Wołyń*, Biały Dunajec–Ostróg 2004.

T. 34. Marek A. Koprowski, *Wołynia dzień dzisiejszy*, Biały Dunajec–Ostróg 2004.

T. 35. “Старий Кривин: дослідження та матеріали з історії Південно-Східної Волині”, вступ, нарис, упорядкування Тарас Вихованець, Ігор Тесленко, Biały Dunajec–Ostróg 2005.

T. 36. *Krzemieniec*, Biały Dunajec–Ostróg 2005.

T. 37. Ulas Samczuk, *Wołyń*, Biały Dunajec–Ostróg 2005.

T. 38. „Стародруки Речі Посполитої XVI–XVIII ст. у зібраннях Музею книги та друкарства м. Ostroga і Волинського краєзнавчого музею. Каталог”, Луцьк 2005.

T. 39. Stanisław J. Kowalski, *Powiat buczacki i jego zabytki*, Biały Dunajec–Ostróg 2005.

T. 40. *Materiały do dziejów diecezji łuckiej. Relacje o stanie parafii i dekanatów 1941–1944*, oprac. Maria Dębowska, Biały Dunajec–Lublin–Łuck–Ostróg 2005.

T. 41. O. Kasjan Korczyński, *Katedra kijowska*, Biały Dunajec–Ostróg 2005.

T. 42. Інна Шостак, *“Луцько-Житомирська Римо-Католицька дієцезія наприкінці XVIII – у першій половині XIX століття”*, Біалы Dunajec–Ostróg 2005.

T. 43. Adrian Waclaw Brzózka, *Zawieszeni w czasie*, Біалы Dunajec–Ostróg 2005.

T. 44. Ks. Witold Józef Kowalów, *Memores Domini. Pamiętający o Panu. Wybór artykułów prasowych z lat 1998–2002*, Біалы Dunajec–Ostróg 2005.

T. 45. Swietłana Pyza, *Życie heroiczne i myśl ojca Serafina Kaszuby*, Біалы Dunajec–Ostróg 2005.

T. 46. Tomasz Kempa, *Akademia i drukarnia Ostrogska*, Біалы Dunajec–Ostróg 2006.

T. 47. Henryk Dąbkowski, *Polesie – moja mała Ojczyzna. Wybór artykułów prasowych z lat 1989–2000*, Біалы Dunajec–Ostróg 2006.

T. 48. Paweł Grabczak, *Seminaria duchowne łucko-żytomierskiej diecezji w latach 1798–1842*, Біалы Dunajec–Ostróg 2006.

T. 49. *Biesiada Krzemieniecka*, zeszyt 1, Біалы Dunajec–Ostróg 2006.

T. 50. *Spotkałem człowieka. Ks. Władysław Bukowiński w pamięci wiernych i przyjaciół*, cz. 2, Біалы Dunajec–Ostróg 2006.

T. 51. Michał Rudzki, *Notatnik wołyński*, Біалы Dunajec–Ostróg 2006.

T. 52. Ks. Władysław Bukowiński, *Wspomnienia z Kazachstanu*; O. Serafin Alojzy Kaszuba OFMCap., *Zapiski z Kazachstanu*, Біалы Dunajec–Ostróg 2006.

T. 53. „*Стародруки Речі Посполитої XVII–XVIII ст. ст. у Волинських книгозбірнях. Каталог*”, Луцьк 2006.

T. 54. *Biesiada Krzemieniecka*, zeszyt 2, Біалы Dunajec–Ostróg 2007.

T. 55. Krzysztof Rafał Prokop, *Biskupi kamienieccy od średnio-wiecza do współczesności. Szkice biograficzne*, Біалы Dunajec–Ostróg 2007.

T. 56. Teresa Tyszkiewicz, *Archipelag śladów Boga*, Біалы Dunajec–Ostróg 2007.

T. 57. Józef Dunin Karwicki, *Wędrówka od źródeł do ujścia Horynia*, Біалы Dunajec–Ostróg 2007.

Reprint szczególnego itinerarium, które powstało w Mizocz na Wołyniu w 1889 roku, a drukiem zostało ogłoszone dwa lata później

w Krakowie nakładem J. K. Żupańskiego & K. J. Heumana. I dzisiaj odbywając podróże po Wołyniu ciekawe jest odwołanie się do Karwickiego i uczynienie konfrontacji jak wiele zmieniło się na przeciągu ostatnich stu dwudziestu lat.

**T. 58. Br. Adrian Wacław Brzózka OFM, *Sny utraconej ziemi*, Biały Dunajec–Ostróg 2007.**

Na *Sny utraconej ziemi*, składają się wiersze opublikowane wcześniej, w trzech oddzielnych tomikach – *Ciche wyznanie* (1995), *Milczące cienie* (1997) i *Ziarno gorczycy* (1997). Warto sięgnąć po *Sny utraconej ziemi*, by z Autorem powrócić na Wołyn, do tych którzy na niego czekają i z radością przyjmą w progach swoich domów, podobnie jak wówczas, kiedy pracował wśród polskich i ukraińskich katolików. Oczekują go Czytelnicy, miłośnicy poezji, jego poezji, która dojrzewała nad złocistym brzegiem morza, gdzie wiatr pieści muzy, gdzie kamienne mogiły, w których spoczywają Orleża Lwowskie i tam, gdzie czuć oddech anioła, który zakotał cichuteńko do pamięci w dalekim stepie.

**T. 59. Jan Paweł II – Йоан Павло II, *Tryptyk rzymski* – Римський тріпункс, Biały Dunajec–Ostróg 2008.**

Jest to szczególne poetyckie słowo skierowane do współczesnego człowieka. Zbiór medytacji, który skłania do zamyśleń nad naturą świata i człowieka oraz sensem Odkupienia. Dzięki pracy Swietłany Pyza z Łucka powstał jego przekład na język ukraiński. Dwujęzyczne wydanie „*Tryptyku rzymskiego*” umożliwi obcowanie zarówno z oryginałem, jak i jego przekładem.

**Wymienione książki można zamawiać  
pod następującymi adresami:**

**Ośrodek „Wołanie z Wołynia”  
skr. poczt. 9, 34-520 Poronin  
<http://www.wolaniecom.parafia.info.pl/>  
e-mail: [kovaliv@ostroh.uar.net](mailto:kovaliv@ostroh.uar.net)**

**lub**

**“Волення з Волинні”  
вул. Кардашевича, 1  
35800 м. Остріг, Рівненська обл.  
Україна**



## **„Wołanie z Wołynia”**

Pismo religijno-społeczne  
Rzymskokatolickiej Diecezji Łuckiej

To tytuł dwumiesięcznika, który wydajemy w diecezji łuckiej. Pismo to jest redagowane przeze mnie w rzymskokatolickiej parafii pw. Wniebowzięcia NMP w Ostrogu na Wołyniu. Na łamach „**Wołanie z Wołynia**” zamieszczamy m. in. rozmaite opisy, relacje i wspomnienia dotyczące przeszłości wołyńskiej ziemi, kościołów i duszpasterzy. Celem tych tekstów jest uchronienie przed zapomnieniem chociaż części wołyńskiego dziedzictwa. Zwracam się do wszystkich ludzi pochodzących z Wołynia, którzy osiedlili się w różnych częściach Polski i Za Granicą, aby nadsyłali swoje wspomnienia, refleksje, spostrzeżenia lub materiały do opublikowania ich w dwumiesięczniku „**Wołanie z Wołynia**”. Mile widziane będą także zdjęcia dawnych duszpasterzy kościołów.

***ks. Witold Józef Kowalów***

Zainteresowanych współpracą z redakcją naszego pisma proszę o kontakt listowny w Polsce:

**Ks. Witold Józef Kowalów**  
**skr. poczt. 9, 34-520 Poronin**  
**<http://www.wolaniecom.parafia.info.pl/>**  
**e-mail: [kovaliv@ostroh.uar.net](mailto:kovaliv@ostroh.uar.net)**

**lub telefoniczny w Ostrogu:**  
**tel./fax +380 (3654) 2-30-38**







Autor jest reporterem podróżnikiem od prawie 20 lat zajmującym się problematyką wschodnią. Jako wysłannik różnych pism odbył ponad 110 wypraw, od Brześcia po Władywostok, Kamczatkę i Sachalin. Ich plonem było siedem książek. Obecna ósma jest dopełnieniem wydanej przez „Ośrodek Wołanie z Wołynia” książki *„Wołynia dzień dzisiejszy”*. Traktuje ona o historii Polaków na zachodniej części Wołynia i Polesia między Bugiem, a Styrem, czyli w dzisiejszym Obwodzie Wołyńskim z niewielkim zachaczeniem o Obwód Rówieński.

Autor jest obecnie związany z Tygodnikiem Rodzin Katolickich „Źródło” i Tygodnikiem Konserwatywno-Liberalnym „Najwyższy Czas”, w których zamieszcza materiały dotyczące Wschodu.

